Cóż za piękny romans w tym pięknym romansie!
JULIA QUINN
Póki starczy nam książąt
TESSA DARE
AMBER
Romans historyczny

TESSA DARE

# *Póki starczy nam książąt*

Przekład
Katarzyna Przybyś-Preiskom
Aleksandra Januszewska

AMBER

Korekta
Renata Kuk
Magdalena Stachowicz

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© llhedgehogll/Fotolia

Tytuł oryginału
Any Duchess Will Do

Copyright © 2013 by Eve Ortega
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6160-7

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

*Bibliotekarzom i księgarzom z całego świata, za to że gromadzą książki i dają schronienie wrażliwym duszom.*

# 1

Griff z trudem uniósł powiekę. Przenikliwy ból powiedział mu, że to był błąd. Pośpiesznie zamknął oczy, jęknął i zasłonił je dłonią.

Chyba stało się coś okropnego.

Powinien się ogolić. I wykąpać. I być może zwymiotować.

Próba przypomnienia sobie wydarzeń z poprzedniego wieczoru sprawiła, że znowu skrzywił się z bólu.

Usiłując zignorować pulsowanie w skroniach, skupił się na pluszowym, miękkim oparciu, jakie wyczuwał pod plecami. To na pewno nie było jego łóżko. Albo nawet w ogóle nie było to łóżko. Czy to jego oszołomiony mózg płatał mu takie figle, czy to coś rzeczywiście poruszało się do przodu?

– Griff! – usłyszał jak przez gęstą mgłę. Głos był stłumiony, ale niewątpliwie kobiecy.

Halford, na litość boską. Następnym razem, kiedy zdecydujesz się pójść z kobietą do łóżka po miesiącu postu, przynajmniej zrób to na trzeźwo, żebyś rano pamiętał, co nabroiłeś.

Przeklął się w duchu za głupotę. Skusiła go ta… kimkolwiek była… tylko i wyłącznie dlatego, że tak niewyobrażalnie długo pościł. Nie miał pojęcia ani jak ona wygląda, ani jak się nazywa. Wyczuwał tylko kobiecą obecność obok siebie. Wciągnął w nozdrza zapach nieokreślonych, ale na pewno kosztownych perfum.

Do diabła. Żeby się z tego wykaraskać, trzeba będzie kupić jej jakieś klejnoty.

Coś ukłuło go w bok.

– Obudź się.

Skąd znał ten głos? Jedną ręką wciąż zasłaniał oczy, drugą zaczął macać wokół siebie. Natrafił na ciężką, jedwabną suknię. Zjechał w dół, dotykając kostki w pończosze. Westchnął przepraszająco i potarł ją kciukiem.

W odpowiedzi zabrzmiał przenikliwy, oburzony pisk. Coś trzasnęło go w głowę, i to solidnie. Do pulsowania i szumu w uszach doszło jeszcze donośne dzwonienie.

– Griffinie Eliocie Yorku! Co ty sobie…

– Cholera jasna!

Usiadł błyskawicznie, nie dbając o ból głowy i oślepiający blask słońca – i po raz kolejny uderzył się w głowę, tym razem o niski sufit. Zamrugał, przyjmując do wiadomości nieoczekiwaną sytuację, w jakiej znalazł się z niepojętych powodów. Wcale nie był w swojej sypialni, tylko w powozie. A siedząca naprzeciw niego kobieta była mu doskonale znana. Ten podwójny sznur rubinów na jej szyi, elegancko upięte siwe włosy…

Popatrzyli na siebie z przerażeniem.

– Mama?

Znowu trzepnęła go złożoną parasolką.

– Obudź się…

– Przecież nie śpię. Już wstałem.

Zamachnęła się znowu, więc podniósł ręce w geście poddania.

– Wielki Boże, może już nigdy nie odważę się zasnąć…

Choć w powozie było gorąco jak w piekarniku, zadygotał. Naprawdę potrzebował kąpieli.

Wyjrzał przez okno. Jak okiem sięgnąć, zielone wzgórza i stada owiec jak białe chmurki na łąkach. Sądząc po cieniu rzucanym przez powóz, było już południe.

– Gdzie my, do diabła, jesteśmy? I dlaczego?

Próbował połączyć w myśli wspomnienia z poprzedniego wieczoru. Nie pierwszy raz w życiu budził się w nieznanym miejscu, z obolałą głową, dzwonieniem w uszach i piekłem w żołądku… ale od pewnego czasu tego unikał. Myślał, że ten okres ma już za sobą. Co się w takim razie stało?

Na kolację wypił nie więcej wina niż zwykle. Przypomniał sobie, że kiedy podano rybę, wzór na półmisku zaczął mu tańczyć przed oczyma i zrobiło mu się niedobrze.

Potem już nic sobie nie mógł przypomnieć.

Do diabła. Domieszano mu coś do wina.

I porwano.

Oprzytomniał do reszty, opuścił nogi na podłogę powozu i usiadł wyprostowany jak świeca.

Na pewno są uzbrojeni. A on nie ma przy sobie ani sztyletu, ani pistoletu, tylko pięści, doskonały refleks i błyskawicznie powracającą przytomność umysłu. Gdyby był sam, miałby z nimi równe szanse. Ale ci łajdacy porwali też jego matkę.

– Nie denerwuj się – powiedział jej.

– Do głowy by mi to nie przyszło. Szkodzi na cerę – odparła, dotykając podwójnego sznura rubinów na szyi.

Rubiny? To go zastanowiło.

Jakim durniem musiałby być porywacz powozu, który zostawiłby na szyi jednej z ofiar naszyjnik wart kilkanaście tysięcy funtów?

O do diabła.

– Ty…

– Hm? – Matka uniosła brwi z niewinną miną.

– Ty to zrobiłaś. Dosypałaś mi czegoś do wina i wsadziłaś mnie do tego powozu. – Przeczesał dłonią włosy. – Boże. Nie mogę uwierzyć, że…

Wyjrzała przez okno, wzruszając ramionami. Zrobiła to jak prawdziwa księżna: nie napięła mięśni jak byle prostaczka, tylko subtelnie pochyliła głowę.

– Nigdy byś ze mną nie pojechał z własnej woli…

Nie do wiary.

Griff zamknął oczy. W takich chwilach trzeba pamiętać, że człowiek ma tylko jedną matkę, a ta matka ma tylko jednego syna. Nosiła go w łonie, rodziła w bólach i tak dalej, i tym podobne. W tym momencie jednak nie miał ochoty myśleć o jej łonie, bo próbował wygnać z myśli fakt, że ma zgrabne kostki.

– Gdzie jesteśmy?

– W Sussex.

Sussex. Akurat w tym hrabstwie nie mieli żadnych posiadłości.

– A jaki jest cel tej pośpiesznej wyprawy?

Cień uśmiechu wygiął jej wargi.

– Jedziemy na spotkanie z twoją przyszłą żoną.

Spojrzał na nią oszołomiony. Dopiero po chwili był w stanie wykrztusić coś sensownego.

– Jesteś podłą, podstępną kobietą, która ma za dużo wolnego czasu…

– A ty jesteś ósmym księciem Halford – odparła. – Wiem, że to dla ciebie niewiele znaczy. Twoje wyskoki w Oksfordzie, hazard, lata bezsensownej rozpusty… uparłeś się, żeby zostać wyrodnym dziedzicem szlachetnej spuścizny rodu. Przynajmniej daj początek nowemu pokoleniu teraz, kiedy mam jeszcze dość czasu, żeby je ukształtować. Jesteś odpowiedzialny za…

– Za kontynuowanie linii. – Zamknął oczy i uszczypnął się w nasadę nosa. – Ciągle mi to powtarzasz.

– W tym roku kończysz trzydzieści pięć lat, Griffy.

– Owszem. Więc jestem już za stary, żebyś na mnie mówiła Griffy.

– Co więcej, ja mam pięćdziesiąt osiem. Potrzebuję wnuków, zanim odejdę.

– Odejdziesz? – wybuchnął śmiechem. – Mamo, jest jakiś sposób, żeby to przyśpieszyć? Poza wypchnięciem cię z…

Uniosła brew.

– Spróbuj tylko.

Westchnął. Matka… to matka. Nie ma drugiej takiej w całej Anglii, a reszta świata powinna się modlić, żeby dobry Pan Bóg rozbił w drobny mak formę, w której ją ukształtował. Judith York uwielbiała klejnoty, i jak one była niewiarygodnym połączeniem zewnętrznego szlifu i wewnętrznego ognia.

Przez większość roku żyli z dala od siebie. Tylko przez kilka miesięcy sezonu mieszkali w tej samej londyńskiej posiadłości. Ale zdaje się, że i to było za wiele.

– Do tej pory byłam cierpliwa – powiedziała. – Teraz ogarnia mnie rozpacz. Musisz się ożenić, i to szybko. Znajdowałam ci najbardziej uzdolnione piękności w całej Anglii. Żadna cię nie skusiła. W końcu zrozumiałam, że nie chodzi o jakość, tylko o ilość.

– O ilość? Zabierasz mnie do komuny, gdzie kwitnie wolna miłość i każdy może mieć tyle żon, ile zechce?

– Nie bądź głupi.

– A ja już zacząłem mieć nadzieję.

Skrzywiła się lekko.

– Jesteś okropny.

– Dziękuję. Robię, co mogę.

– I bardzo mi z tego powodu przykro. Gdybyś z takim samym zapałem zajął się… czymś innym…

Griff zamknął oczy. Temat „kiedy się wreszcie ożenisz?” był tylko trochę mniej nużący niż „bardzo mnie rozczarowałeś”. Nie ma drugiej takiej rodziny, w której zyskowne zarządzanie olbrzymim majątkiem, sześcioma posiadłościami, setkami pracowników i tysiącami dzierżawców określano by mianem rozczarowania. Każdy inny uznałby to za wielki sukces. Tylko nie Halfordowie. Jeśli ktoś nie zreformuje Parlamentu albo nie odkryje nowego szlaku handlowego do Patagonii, dla nich jest nieudacznikiem.

Spojrzał przez okno. Właśnie wjeżdżali do jakiejś wioski. Uchylił szybę i poczuł zapach morza.

– Ładnie tu – powiedziała matka. – Czysto i spokojnie. Rozumiem, dlaczego młode damy tak chętnie tu przyjeżdżają.

Byli już w centrum. Zielony skwer otaczał piękny, średniowieczny kościół. Griff rozglądał się wokół. Miejscowość była za mała na Brighton albo…

– Chwileczkę. – Zaczął coś podejrzewać.

Przecież chyba nie…

To niemożliwe.

Lokaj otworzył drzwi powozu.

– Dzień dobry, jaśnie państwu. Jesteśmy już w Spindle Cove…

– O cholera…

Drogą jechał elegancki powóz, ale Pauline ledwie rzuciła na niego okiem. Nie pierwszy to i nie ostatni. Do wsi ciągle ktoś przyjeżdżał. Mówiono, że pobyt w Spindle Cove koi delikatne nerwy dam z wyższych sfer.

Ale Pauline nie pochodziła z wyższych sfer i życie stawiało przed nią konkretne wyzwania. Na przykład takie, że właśnie weszła w kałużę i zabłociła rąbek sukienki. I że jej siostra już drugi raz tego dnia była bliska łez.

– Lista – powiedziała Daniela. – Gdzieś zginęła.

Psiakrew.

Nie zdążą po nią wrócić na farmę. Za parę minut musi być w gospodzie. Była przecież sobota, czyli dzień cotygodniowego spotkania dam ze Spindle Cove, czyli najbardziej pracowity dzień Pod Bykiem i Pączkiem Róży. Pan Fosbury był dobrym szefem, ale potrącał pieniądze za spóźnienia. A ojciec bacznie tego pilnował.

Zrozpaczona Daniela przeszukiwała kieszenie. W oczach błyszczały jej łzy.

– Nie ma… nie ma…

– Nie martw się, wszystko pamiętam. – Pauline przebiegła listę w pamięci. – Suszone porzeczki, czesana wełna, gąbka. I ałun w proszku. Mama potrzebuje go do przetworów.

W sklepie Brightów panował niesłychany ścisk. W soboty damy spotykały się na pogawędkach, a mieszkańcy zawsze robili zakupy. Na przykład pani Whittlecombe, wiekowa wdowa, która raz w tygodniu zostawiała swą zaniedbaną farmę i przychodziła po tygodniowy zapas słodyczy i „leczniczego” wina. Spojrzała na nie z pogardą.

Pauline ledwo mogła dostrzec blond fryzurkę po drugiej stronie lady. Klienci tłoczyli się w trzech rzędach, a Sally Bright i jej brat Rufus co chwila biegali po coś na zaplecze.

Na szczęście obie siostry przyjaźniły się z Brightami od niepamiętnych czasów. Nie potrzebowały obsługi.

– Odłóż jajka – powiedziała Pauline do siostry. – Pójdę na zaplecze po gąbkę i wełnę. Ty weź porzeczki i ałun. Miarkę porzeczek i dwie miarki ałunu.

Daniela uważnie postawiła na ladzie kosz brązowych, cętkowanych jaj i weszła między pojemniki, szukając słoja z napisem PORZECZKI. Potem, skupiona, wsypała miarkę do tutki z brązowego papieru.

Upewniwszy się, co robi siostra, Pauline poszła na zaplecze. Kiedy wróciła, Daniela już czekała z zakupami w dłoni.

– Za dużo ałunu – powiedziała, sprawdziwszy zawartość. – Miała być tylko jedna miarka.

– Ojej. Ojejej…

– Nic nie szkodzi – uspokoiła ją. – Zaraz odsypiemy.

Miała nadzieję, że siostra nie spostrzegła pogardliwej miny pani Whittlecombe.

– Chyba przestanę tu kupować – warknęła wdowa. – Wpuszczają tu debili za ladę.

Sally Bright uśmiechnęła się słodko.

– Proszę mi tylko dać znać, kiedy mamy przestać sprowadzać dla pani laudanum.

– To jest tonik leczniczy.

– Jasne – odparła sucho Sally.

Pauline podeszła do książki, żeby wpisać zakupy. Uwielbiała ten moment. Powoli kartkowała rejestr, przeglądając notatki i wyliczenia Sally.

Pewnego dnia będzie miała własny sklep i własne księgi. Nawet najbliższej przyjaciółce nie powiedziała o tym marzeniu, tylko powtarzała je sobie w duchu, kiedy bardzo ciążyła jej praca na farmie i w gospodzie.

Pewnego dnia.

Znalazła w końcu właściwą stronę. Po wpisaniu przychodu z jajek i wydatków na zakupy była dłużna tylko sześć pensów. Świetnie.

Trzask!

Poderwała głowę, przestraszona hałasem.

– Dobry Boże, dziecko! Co ty wyprawiasz? – Pani Whittlecombe znowu uderzyła dłonią w ladę.

– Jaa… sypię a-ałun… z po-powrotem – jąkała się Daniela.

– Ale to nie a-aun – przedrzeźniała ją kobieta. – To cukier!

O cholera.

Pauline skrzywiła się. Powinna to zrobić sama, ale tak bardzo chciała pochwalić się samodzielnością Danieli przed tą wstrętną starą wiedźmą.

A teraz babsko rechotało z radości.

Daniela, nic nie rozumiejąc, także wybuchnęła śmiechem.

Ten śmiech złamał serce Pauline. Wiekowo był między nimi tylko rok różnicy, ale umysłowo… Daniela nie najlepiej radziła sobie z wymową spółgłosek na końcu słów, z odejmowaniem powyżej dziesięciu… ale najtrudniej przychodziło jej zrozumieć ludzkie okrucieństwo. Zresztą, w rodzinie Amosa Simmsa było to raczej

błogosławieństwem.

– O nie, w cukrze będzie pełno gliny – jęknął Rufus Bright.

Sally pacnęła go w ucho.

– Słój był prawie pełny… – tłumaczył, pocierając bok głowy.

– Teraz wszystko jest do niczego – dokończyła z satysfakcją pani Whittlecombe.

– Zapłacę za cukier – odpowiedziała Pauline. Zrobiło jej się niedobrze, jakby sama zjadła naraz całe pięć funtów tego specjału. Biały cukier był drogi.

– Nie musisz – szepnęła do niej Sally. – Przecież jesteśmy jak siostry. Naprawdę mogłybyśmy być rodziną, gdyby mój brat Errol miał choć odrobinę rozsądku.

Pauline pokręciła głową.

Rozstali się z Errolem wiele lat temu i dawno przestała do niego wzdychać. Nie miała ochoty być mu nic dłużna.

– Zapłacę – powtórzyła stanowczo. – To był mój błąd. Sama powinnam to zrobić, ale śpieszyło mi się.

Teraz na pewno spóźni się do pracy. Z każdą chwilą robiło się gorzej.

Daniela zrozumiała wreszcie, co zrobiła.

– Wyjmę go z powrotem – powiedziała, próbując wybrać szufelką zawartość słoja i odsypać ją z powrotem do pojemnika z ałunem i skrapiając wszystko łzami. – Wszystko naprawię…

– Już dobrze, kochanie. – Pauline delikatnie wyjęła jej z ręki cynową szufelkę. – Policz wszystko – powiedziała twardo do Sally. – Zdaje się, że mam kredyt w rejestrze.

Nie zdawało jej się. Wiedziała o tym. Kilka stron za rodzinnymi rozliczeniami Simmonsów była strona z napisem „Pauline”. Zapisano na niej dokładnie dwa funty, cztery szylingi i osiem pensów kredytu. Od dłuższego czasu oszczędzała każdego pensa, przechowując pieniądze u Sally. Taki niby-bank kelnerki z gospody.

Całoroczne oszczędności na przyszłość, dla niej i dla Danieli. Na lepsze czasy.

– Odlicz należność.

Kilka ruchów pióra Sally i kredyt zniknął. Zostało jedenaście szylingów i osiem pensów.

– Za ałun nie policzyłam – mruknęła Sally.

– Dzięki. – Niewielka pociecha, ale zawsze. – Rufus, odprowadzisz moją siostrę do domu? Muszę iść do gospody, a ona jest niespokojna.

Rufus, wyraźnie zawstydzony swoim wcześniejszym zachowaniem, wyciągnął rękę.

– Jasne. Chodź, Danny. Pojedziemy bryczką.

Daniela opierała się, ale Pauline objęła ją i szepnęła:

– Wracaj do domu, a ja ci przyniosę twojego pensa.

Twarz dziewczyny pojaśniała na tę obietnicę. Daniela codziennie zbierała jajka, czyściła i przygotowywała na sprzedaż. Za to Pauline co tydzień dawała jej pensa.

Co sobotę patrzyła, jak Daniela troskliwie wrzuca pieniążek do starej, pogiętej puszki po herbacie, potrząsa nią i śmieje się, słysząc grzechotanie. Obie lubiły ten rytuał. W niedzielę ten sam pens szedł na tacę w kościele.

– Idź już. – Odesłała siostrę z uśmiechem, choć raczej nie czuła radości.

Kiedy oboje wyszli, pani Whittlecombe aż zapiała z satysfakcji.

– Niech to będzie dla ciebie lekcja, żebyś nie sprowadzała tej debilki do wioski.

– Spokojnie, pani Whittlecombe – odezwał się ktoś z tłumu. – Przecież pani wie, że miały dobre chęci.

Pauline skrzywiła się w duchu. Tylko nie ty. Przez całe życie słyszała tę frazę. Zawsze wypowiadaną tym samym litościwym tonem: „Dajcie spokój Simmsównom… przecież wiecie, że miały dobre chęci”.

Innymi słowy, nikt nie oczekiwał, że rzeczywiście zrobią coś dobrze. Jakżeby inaczej? Dwie niechciane córki w rodzinie, w której nie było synów. Jedna opóźniona w rozwoju, druga kompletnie pozbawiona kobiecego wdzięku.

Żeby chociaż raz w życiu zamiast dobrych chęci coś jej po prostu poszło dobrze w życiu…

Ale to nie dziś. Dziś nie tylko wszystko poszło źle, ale nawet dobrych chęci nie starczało, gdy człowiek sobie popatrzył na panią Whittlecombe. Pauline ogarnął gniew; kłuł jak igłą i zaciskał macki na gardle.

Wdowa wsadziła do siatkowej torby dwie butelki toniku. Zabrzęczały, wzmagając gniew dziewczyny.

– Następnym razem zostaw tę idiotkę w domu…

Zacisnęła pięści. Oczywiście, nie pobije się z tą babą jak kiedyś z kolegami w szkole, zrobiła to instynktownie.

– Daniela to nie idiotka. To osoba…

– To debilka. Ma siedzieć w domu i już.

– Każdy może się pomylić. Ona też. – Pauline sięgnęła po słój z zanieczyszczonym cukrem. Zapłaciła za niego. – Ja na przykład jestem straszną niezgrabą, wszyscy to wiedzą…

– Pauline… – mruknęła Sally ostrzegawczo. – Nie rób tego…

Za późno. Wściekła Pauline wyrzuciła zawartość w powietrze.

Biały pył eksplodował w całym sklepie. Pani Whittlecombe znalazła się w samym środku zamieci, plując i klnąc w chmurze proszku. Kiedy wszystko opadło,

przypominała żonę Lota, z tą różnicą, że stała się słupem cukru, a nie soli.

Pauline ogarnął błogosławiony spokój. Zemściła się wreszcie… To było warte niemal każdych, ciężko zarobionych pieniędzy.

Niemal.

Upuściła słój na podłogę.

– O mój Boże… jaka ze mnie gapa!

Griff patrzył, jak matka uśmiecha się z wyższością. Tym razem posunęła się za daleko. To już nie było mieszanie się w jego sprawy, tylko szatański plan.

Wszystko, tylko nie Spindle Cove.

Wiele słyszał o tym miejscu, choć nigdy tu nie był. Nadmorska wioska, do której stare panny przyjeżdżały, żeby wyszywać, a suchotniczki, żeby schnąć dalej.

Księżna wysiadła z powozu, wspierając się na dłoni lokaja.

– Rozumiem, że pełno tu niezamężnych młodych dam z towarzystwa.

Wskazała dłonią na pensjonat. Nad drzwiami wisiał szyld z nazwą „Rubin Królowej".

Griff sceptycznie spojrzał na zielone okiennice i optymistyczne pelargonie w doniczkach. Wolałby pływać w morzu z rekinami.

Ruszył w przeciwną stronę.

– Dokąd to? – Poszła jego śladem.

– Tam. – Wskazał głową gospodę. Napis nad pomalowanymi na czerwono drzwiami głosił, że to gospoda Pod Bykiem i Pączkiem Róży.

– Wypiję tu piwo i coś zjem.

– A ja?

Szerokim gestem wskazał otoczenie.

– Czuj się jak u siebie w domu. Wynajmij sobie apartament. Ciesz się powiewem morskiej bryzy. Za parę tygodni przyślę po ciebie powóz.

Albo za parę lat, mruknął pod nosem.

Lokaj z szacunkiem trzymał się z tyłu, trzymając nad głową księżnej otwartą parasolkę.

– Nic z tych rzeczy – odparła. – Wybierzesz sobie tu żonę, i to dziś.

– Nie rozumiesz, jakie kobiety tu przyjeżdżają? Takie, których nikt nie chce.

– Dokładnie. Idealna sytuacja. Żadna z nich cię nie odrzuci.

Na te słowa zatrzymał się jak wryty.

– Nie odrzuci mnie?

Z oczywistych powodów nie opowiadał jej o swoich romansach. Trzymał się z dala od kobiet nie dlatego, że któraś go odtrąciła. Wiele dam – pięknych,

wyrafinowanych, zmysłowych – chętnie przyjęłoby go do łóżka, byle tylko się zgodził, nawet dziś. Miał ochotę jej to powiedzieć, ale z matką nie rozmawia się na takie tematy.

Zresztą i tak wiedziała, co ma na myśli.

– Nie chodzi mi o sprawy cielesne. Nie jesteś dobrym kandydatem na męża. Twoja reputacja pozostawia wiele do życzenia. – Strzepnęła niewidzialny pyłek z jego rękawa. – Do tego dochodzi problem wieku…

– Wieku?!

Miał trzydzieści cztery lata. Lekko licząc, jego dłuto będzie jeszcze zdolne do pracy przez co najmniej trzydzieści lat.

– Owszem, wyglądasz nie najgorzej. Ale są przystojniejsi od ciebie…

– Czy ty aby na pewno jesteś moją matką?

Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

– Prawda jest taka: większość panien z towarzystwa przestała się tobą interesować jako kandydatem na męża. Wioska pełna zdesperowanych starych panien to dokładnie to, czego nam trzeba. Sam przyznasz, że ten gałgan, twój przyjaciel lord Payne, nie najgorzej na tym wyszedł.

Na litość boską. A więc o to jej chodzi. Niech szlag trafi tego drania Colina Sandhursta i jego żonę, tego mola książkowego w okularach. W zeszłym roku jego kumpel od hazardu wylądował w tej wioszczynie bez grosza przy duszy, i wyrwał się stąd, uciekając z jakąś emancypantką. Po drodze do Szkocji zatrzymali się nawet w Winterset Grange, wiejskiej posiadłości Griffa.

Ale oni byli w zupełnie innej sytuacji. Jemu nie brakowało pieniędzy. Towarzystwa zresztą też nie.

Małżeństwo po prostu nie było dla niego.

Matka wbiła w niego wzrok.

– Czekałeś na prawdziwą miłość?

– Co takiego?

– Proste pytanie. Czy przez tyle lat odkładałeś małżeństwo, bo chciałeś się naprawdę zakochać?

Owszem, pytanie jest proste. Ale odpowiedź już nie.

Mógłby ją zaprosić do tej gospody, zamówić parę szklanic wina i poświęcić parę godzin, żeby jej wszystko wyjaśnić. Że nie zamierza się żenić ani teraz, ani wcześnie. Że jej jedyny syn rzeczywiście będzie wyrodnym dziedzicem szlachetnej spuścizny rodu Halfordów i w dodatku ją zakończy. Że rodowe dobra, które tak sobie ceniła, przepadną na zawsze. Że nadzieje na wnuki obrócą się wniwecz.

Ale nie potrafił tego zrobić. Nawet dziś, kiedy doprowadziła go do szału. Lepiej pozostać w jej oczach zwykłym łobuzem niż złamać jej serce z bezlitosnym spokojem.

– Nie – odparł zgodnie z prawdą. – Nie czekam na prawdziwą miłość.

– To świetnie. Załatwimy to w jeden dzień. Nie szukaj żadnej elegantki. Wybierz sobie dziewczynę, wszystko jedno którą, a ja ją oszlifuję. Kto lepiej wyszkoli przyszłą księżną Halford niż obecna księżna?

Stanęli przed gospodą. Matka znacząco spojrzała na klamkę. Lokaj pośpiesznie otworzył drzwi.

– Popatrz tylko – powiedziała, wchodząc. – Ależ mamy szczęście. Wszystkie tu są.

Griff zajrzał do środka. Było gorzej, niż sobie wyobrażał.

Gospoda wcale nie przypominała porządnego pubu, tylko jakąś herbaciarnię. Przy wszystkich stolikach siedziały młode damy, pochylone w skupieniu nad jakimiś absurdalnymi ręcznymi robótkami, które miały jakoby dowieść ich artystycznych talentów. Tym razem chyba bawiły się pergaminem. Wyrywały karty ze starych ksiąg i składały je w jakieś zabaweczki czy dziwaczne tacki.

Popatrzył na leżący obok stos identycznych książek. *Mądrości pani Worthington dla młodych dam.* Co za koszmar.

Czegoś takiego unikał od lat. Sala pełna nudnych panienek, uważanych za świetne kandydatki na żonę.

Jedna z nich, zachęcona kuksańcem przez sąsiadkę, wstała z krzesła i złożyła ukłon.

– Czym możemy pani służyć?

– Waszej wysokości…

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Proszę?

– Jestem księżna Halford. Proszę się do mnie zwracać „wasza wysokość”.

– Aha. Rozumiem. Czym możemy służyć waszej wysokości? – poprawiła się dziewczyna, a jej koleżanka zachichotała nerwowo.

– Wyprostuj się, dziewczyno, żeby mój syn mógł cię dobrze obejrzeć.

Księżna rozejrzała się wokół.

– Wstańcie wszystkie. Wyprostować mi się.

Ból znowu przeszył czaszkę Griffa, bo w sali zaszurały krzesła. Jedna po drugiej, młode damy posłusznie wstawały od stołów.

Tu i ówdzie widać było dzioby po ospie. Któraś miała krzywe zęby. Żadna nie była odrażająco brzydka, ale wszystkie kruche i delikatne. Albo opalone.

– Proszę bardzo – powiedziała księżna, stając na środku. – Same nieoszlifowane diamenty. W niektórych przypadkach bardzo nieoszlifowane. Ale wszystkie z dobrych rodzin, więc przy odrobinie szlifu… – Zwróciła się ku niemu. – Wybieraj, Halford. Wybieraj z tej sali, którą tylko zechcesz. Zrobię z niej księżnę.

Wszystkim obecnym opadły szczęki ze zdziwienia.

Wszystkim, z wyjątkiem Griffa.

Pomasował pulsujące skronie i zaczął przygotowywać w myślach krótką przemowę.

Miłe panie, błagam was, nie zwracajcie uwagi na to, co plecie ta wariatka. Wkrótce nas opuści.

Nagle pomyślał sobie, że to za mało, żeby ją porządnie ukarać. Że najbardziej da się matce we znaki, robiąc dokładnie to, czego sobie zażyczyła.

– Twierdzisz więc, że z każdej z tych dziewczyn potrafisz zrobić księżnę? – zapytał.

– To nie ulega wątpliwości.

– A kto osądzi, czy ci się to udało?

Uniosła brew.

– Oczywiście, że socjeta. Wybierz kandydatkę, a do końca sezonu cały Londyn znajdzie się u jej stóp…

– Cały Londyn, powiadasz? – zaśmiał się z powątpiewaniem.

Rozejrzał się po sali po raz drugi. Postanowił, że wybierze najmarniejszą, najbrzydszą, najbardziej przeciętną dziewczyninę i oświadczy, że zakochał się w niej bez pamięci. A potem będzie patrzył, jak matka krztusi się ze złości.

Na ten widok damy zaczęły wymieniać między sobą rozbawione spojrzenia, co powiedziało mu, że są obdarzone większą odwagą i poczuciem humoru, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Wcale nie były głupie. Choć każda z nich miała swoje wady i niedoskonałości – któż ich nie ma? – żadna nie była beznadziejnie, szokująco nieodpowiednia.

Do diabła. Chciał udzielić matce lekcji. Ale w tej sytuacji lepiej będzie wymamrotać jakieś przeprosiny, zaciągnąć ją z powrotem do powozu, zawieźć po drodze do wariatkowa, a potem spokojnie wrócić samemu do domu.

Nagle zaskrzypiały zawiasy, trzasnęły tylne drzwi…

…i nadeszło jego zbawienie.

Potknęła się, przechodząc przez próg, zaczerwieniona i zdyszana. Buty i skraj sukienki miała całe w błocie, a resztę odzieży pokrywał dziwny, biały proszek.

Na szyi powiewał fartuch kelnerki. Kiedy zebrała tasiemki i związała je z tyłu, okazało się, że ma szczupłą, niemal chłopięcą figurę. Żadnych kształtnych

krągłości.

– Spóźniłaś się dziesięć minut, Pauline – skarcił ją męski głos z kuchni.

– Wybaczcie, panie Fosbury. Jużem przyszła! – odkrzyknęła.

Akcent i wymowa tych słów były nie tylko prostackie i wiejskie, ale wręcz dziwaczne. Dopiero kiedy się odwróciła, zrozumiał dlaczego. Sepleniła, bo w zębach trzymała spinkę do włosów.

W dłoni zaciskała drugą i właśnie zamierzała ją wsunąć w plątaninę włosów na czubku głowy. Kiedy jej zielone, lśniące inteligencją oczy napotkały spojrzenie Griffa, znieruchomiała w połowie gestu.

Boże, co za włosy. Słyszał, jak damy nazywają swoje fryzury „węzłami" albo „koczkami", ale to było zwykłe wronie gniazdo. Zdaje się, że między kosmykami naprawdę tkwiły źdźbła słomy i trawy.

Zdaje się, że miała nadzieję przemknąć się niezauważona, ale nagle stała się ośrodkiem zainteresowania. Ten tajemniczy proszek, który pokrywał ją całą… światło odbijało się od niego, strzelając milionem iskierek.

Nie był w stanie oderwać od niej wzroku.

Spóźnialska, zadyszana kelnerka przenosiła wzrok z Griffa na jego matkę i rozbawione młode damy w sali. Nagle jej fryzura rozpadła się do reszty. Gęste loki opadły na ramiona, poddając się sile ciążenia, upokorzenia albo obu naraz.

W takiej chwili zwykła kelnerka spuściłaby głowę, uciekła z sali i czekała na wybuch gniewu swego pracodawcy. Do tego zalałaby się łzami albo przynajmniej załkała.

Ale ta była wyraźnie inna. Znalazła w sobie dość dumy, by zadrwić z etykiety, a nawet zdrowego rozsądku.

Dumnie potrząsnęła głową, by loki koloru brandy ułożyły się równo na plecach, odwróciła się i wypluła z ust spinkę.

– Cholera jasna – mruknęła ledwie dosłyszalnie.

Griff z trudem ukrył uśmiech. Była idealna. Nieokrzesana, niewykształcona, pozbawiona wszelkiego uroku. Może trochę za ładna. Brzydsza lepiej by się nadała do tego celu. Ale pomijając urodę, będzie świetna.

– To ta – powiedział. – Ją sobie wybieram.

# 2

**P**rzyjechał kolejny książę dla którejś z tych dam.

Ta myśl przebiegła Pauline przez głowę na widok elegancko ubranego mężczyzny w drzwiach.

Zdarzało się to co kilka miesięcy. Młode damy szukały wytchnienia w Spindle Cove z najróżniejszych powodów. Ich gra na harfie pozostawiała wiele do życzenia, kolor oczu nie spodobał się na królewskim dworze… a potem – ku zdziwieniu wszystkich, z wyjątkiem Pauline – na horyzoncie pojawiał się przystojny hrabia lub wicehrabia i brał z nimi ślub.

Na kelnerkę nikt nawet nie spojrzał.

Ciekawe, do której przyjechał? Na pewno czeka ją dostatnie życie. Widać to było już po jego wyglądzie – od guzików z kości słoniowej po robione na miarę skórzane rękawiczki. Ubranie mówiło o bogactwie, a to, co kryło się pod nim – o sile i potędze. Bogacze często bywali rozlaźli i grubi, ale nie ten. Obcisły surdut ukazywał szerokie bary i muskularne ramiona.

Twarz też była wyrazista. Zdecydowana linia nosa, kwadratowa szczęka i szerokie, pewne siebie usta. Nie był ładny, ale emanował męskim urokiem.

Krótko mówiąc, było na co popatrzeć.

Zresztą, nawet gdyby nie, i tak nie potrafiłaby oderwać od niego spojrzenia.

Bo i on nie odrywał od niej wzroku.

Sposób, w jaki na nią patrzył – jakby była odpowiedzią na wszystkie pytania, których nigdy nie próbował zadać – sprawiał, że serce jej biło jak złapanemu w sidła szarakowi.

– To ta – powiedział. – Ją sobie wybieram.

– Nie możesz! To kelnerka…

Pauline posłała jej szybkie spojrzenie. Siwowłosa kobieta, drobnej postury, ale o wielkim poczuciu godności. Była wyprostowana jak świeca. Nic dziwnego, dźwigała przecież na sobie w klejnotach całą fortunę.

– To dziewczyna – odparł mężczyzna spokojnie, nie odwracając wzroku od Pauline. – To dziewczyna i jest w tej sali. Powiedziałaś, że mogę wybrać, którą

tylko zechcę z tej sali.

– Jej wtedy tu nie było.

– Ale jest teraz. Od kiedy ją zobaczyłem, nie interesuje mnie nikt inny. Jest idealna.

Idealna?

Pauline spojrzała w okno, spodziewając się, że ujrzy za nim śpiewającą rybę. A do tego świstającego raka. Pewnie w dodatku po walijsku.

Mężczyzna podszedł do niej. Każdy jego stanowczy, mocny krok uświadamiał jej, jak bardzo ma rozczochrane włosy i ubłoconą sukienkę. Jedyną pociechę stanowiły oznaki jego ludzkich słabostek. Z bliska okazało się, że jest nieogolony, a oczy ma czerwone z braku snu, z przepicia albo z obu tych powodów.

Pauline powoli wciągnęła powietrze. Pachniał męską, piżmową wodą kolońską. Zapach wniknął w jej ciało i zamieszkał tam, rozgrzewając ją od dołu, w intymnych miejscach.

– Powiedz, jak masz na imię – poprosił.

Miał niski, bogaty i ewidentnie magnetyczny głos. Czuła, że wszyscy obecni aż pochylili się ku niemu, żeby lepiej słyszeć.

– Jestem Pauline, sir. Pauline Simms.

– Lat?

– Dwadzieścia trzy.

– Czy jesteś zamężna albo zaręczona?

Stłumiła śmiech, zaskoczona.

– Skądże znowu.

– Świetnie. – Pochylił głowę. – Jestem Griffin Eliot York, ósmy książę Halford.

Książę?

– O panie – mruknęła pod nosem.

– Raczej „wasza wysokość”, Simms. Tak się do mnie należy zwracać.

Spuściła wzrok na podłogę i dygnęła niezgrabnie.

– Wasza wysokość…

Machnął ręką na te spóźnione próby okazania szacunku i mówił dalej:

– Moja matka się niecierpliwi, że się nie żenię. Zobowiązała mnie, żebym wybrał dowolną kobietę z tej sali, a ona uczyni z niej księżniczkę. Wybrałem ciebie.

– Mnie?

– Ciebie. Jesteś idealna.

Idealna. Znowu to powtórzył. Umysł Pauline nie był w stanie z tym wszystkim się uporać. Musiała podzielić te informacje na mniejsze części.

Ten nieprzyzwoicie przystojny, pewny siebie, cudownie pachnący mężczyzna był ósmym księciem Halford.

Ze wszystkich dam w tej sali wybrał ją, kelnerkę.

Na żonę i przyszłą księżnę.

Jesteś idealna.

Przeszył ją dreszcz od podstawy szyi do stóp i pozbawił oddechu. Albo cały świat oszalał, albo po dwudziestu trzech latach bycia nieudacznicą… stała się idealna dla jednego człowieka – dla księcia.

Księżna rzuciła synowi lodowate spojrzenie.

– Ty wyrodku! Chcesz zniweczyć sens mego życia.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – odpowiedział spokojnie. – Robię dokładnie to, o co poprosiłaś.

– Bądź poważny!

– Ależ jestem. Wybrałem właśnie dziewczynę. To ona. – Wskazał okrągłym gestem Pauline, od splątanych włosów po zabłocone buty. – Proszę bardzo. Zrób z niej piękną księżniczkę.

Aha. Teraz wszystko zrozumiała. W jego oczach rzeczywiście była idealna. Idealnie beznadziejna. Idealnie okropna. Idealnie nieodpowiednia na księżnę. Wybierając ją, chciał dać matce nauczkę.

Ale spryciarz. Nieznośny, okropny do szpiku kości.

To twoja wina, Pauline. Na tę jedną chwilę zrobiłaś z siebie idiotkę.

Nie podobał się jej już. Ale w dalszym ciągu cudownie pachniał. Niech go szlag.

W sali zapanowała cisza. Nikt nie śmiał przerwać milczenia, jakby wszyscy siedzieli na mistrzostwach świata i książę właśnie zdobył ostateczną przewagę.

Wszyscy wpatrywali się w księżnę, czekając na jej ruch.

Nie zamierzała się poddać.

– Świetnie. Pojedziemy więc do rodziców dziewczyny.

Idzie na całość, pomyślała Pauline. Dwa punkty dla ciebie.

– Doskonale. – Halford obciągnął surdut. – Tylko że ja muszę już wracać do miasta, a jestem pewny, że Simms nie może opuścić miejsca pracy.

– Oczywiście, że mogę – wtrąciła Pauline.

Książę i jego matka spojrzeli na nią jednocześnie, wyraźnie zirytowani, że śmie im przerywać. Tym bardziej że to właśnie o nią się spierali.

– W każdej chwili mogę stąd wyjść – potwierdziła, krzyżując ramiona. – Wcale nie potrzebuję tej pracy, prawda? W końcu mam zostać księżną.

Książę spojrzał na nią, oszołomiony.

Wyraźnie nie oczekiwał takiej reakcji. Pewnie myślał, że zacznie się jąkać,

protestować, obleje się rumieńcem i ucieknie do kuchni.

Co za pech. Wybrał niewłaściwą dziewczynę.

Naturalnie wiedziała, że chodziło mu właśnie o to, żeby wybrać niewłaściwą. Tylko że teraz wybrał niewłaściwie niewłaściwą. Pauline uwielbiała żarty, ale dzisiaj miała naprawdę zły dzień. Nie zamierzała stracić resztek honoru.

– Panie Fosbury – zawołała w kierunku kuchni, rozwiązując fartuch. – Wychodzę. Dziś już raczej nie wrócę. Muszę zaprowadzić księcia do chaty, bo chce poprosić ojca o moją rękę.

Na te słowa zdumiony Fosbury wychynął z kuchni, wycierając w fartuch umączone dłonie.

Pauline puściła do niego oczko, żeby go uspokoić. Potem z szerokim uśmiechem odwróciła się do księżnej.

– Chodźmy, wasza wysokość – zachichotała sztucznie. – Och, przepraszam, a może mam już mówić „mamo”?

W sali rozległy się przyciszone chichoty. Wyraz arystokratycznego niesmaku na twarzy księżnej był niesłychanie satysfakcjonujący.

Książę z matką wyraźnie toczą między sobą jakąś pełną uporu i pozbawioną uczuć rozgrywkę, ale niezależnie od wszystkiego, właśnie włączyła się w nią trzecia osoba, czyli Pauline.

Co więcej, postanowiła ją wygrać.

Spojrzała na księcia i oszacowała go odważnym, prostolinijnym spojrzeniem. Tu nie było żadnego oszustwa. Prawdziwie męski typ, od szerokich ramion po muskularne uda. Jeśli on może się na nią gapić, czemu nie miałaby mu odpłacić tym samym?

– Jeju – powiedziała to z najbardziej prostackim akcentem, na jaki mogła się zdobyć. Rzuciła okiem na jego umięśniony, arystokratyczny tyłek. – Będziemy się dobrze bawić w noc poślubną.

Oczy błysnęły mu na moment, ale to wystarczyło, żeby coś ścisnęło ją w dołku. Czy za żarty z księcia można zadyndać? Na pewno mógł sprawić, by pożałowała nieopatrznych słów

Ale wtedy damy ze Spindle Cove zgodnie wybuchnęły śmiechem, i Pauline wiedziała już, że będzie dobrze. Nie należała do ich towarzystwa. Była służącą, a nie arystokratką na wakacjach. Mimo to wszystkie stanęłyby po jej stronie, bez różnicy.

Panna Charlotte Highwood wstała i ujęła się za nią:

– Wasze wysokości, jesteśmy zaszczycone odwiedzinami, ale nie mamy ochoty rozstawać się dziś z Pauline.

– Obawiam się, że to stoi w sprzeczności z naszymi zamiarami – odparł książę. – Bo ja nie zamierzam rozstawać się z nią przez resztę życia.

Twarde zdecydowanie brzmiące w jego głosie obudziło w Pauline dziwne uczucia. A więc zamierzał upierać się przy tej farsie? W jego rodzinie upór jest chyba dziedziczny, tak jak zielone oczy u Simmsów.

Księżna wskazała głową drzwi.

– Chodźmy zatem. Powóz czeka.

I w ten sposób Pauline Simms, kelnerka z gospody i córka farmera, zaprosiła księcia z matką na herbatkę u siebie w domu.

No cóż, właściwie czemu nie?

Jeśli oni zamierzali zawstydzić ją przed całą Spindle Cove, powinni w zamian za to poświęcić nieco swojej godności. Nie mogła się doczekać, aż zobaczy minę księżnej, gdy powóz zatrzyma się przed ich ubogą chatą. Dobrze zrobi tym arystokratom, gdy zobaczą, jak mieszkają zwykli ludzie, posiedzą na twardych stołkach i napiją się z poszczerbionych kubków. Będzie razem z Sally Bright pękać ze śmiechu na samo wspomnienie, przez resztę życia.

Dała wskazówki stangretowi i dosiadła się do nich do powozu. Przesunęła dłonią po skórzanym obiciu. Nigdy w życiu nie dotykała tak miękkiej skóry, nawet na żywym cielęciu.

Na pewno nikt z wioski nigdy w życiu nie przejechał się takim powozem. Sądząc po ponurych minach księcia i jego matki, wcale im się nie podobało, że towarzyszy im obsypana cukrem, zabłocona służąca. To tylko wzmogło jej zdecydowanie. Zamierzała wydobyć z tej sytuacji cały komiczny potencjał.

Przez dziesięć minut podróży zachowywała się najgorzej, jak potrafiła. Podskakiwała na siedzeniach, sprawdzając siłę sprężyn. Bawiła się zasuwką, opuszczając i podnosząc szybę chyba z dziesięć razy.

– Czym się zajmuje pani ojciec, panno Simms? – spytała księżna.

Poza tym, że wrzeszczy, klnie, ma ataki szału i wszystkich zastrasza?

– Pracuje na roli, wasza wysokość.

– Dzierżawca?

– Nie, ma własną ziemię. Około trzydziestu arów.

Naturalnie, dla tych bogaczy to nic takiego. Pewnie mają z tysiąc razy więcej.

Wyjeżdżając z miasteczka, minęli pola Willettów. Najstarszy z chłopaków akurat pracował przy chmielu. Pauline po raz trzynasty opuściła szybę, wysunęła rękę i wesoło pomachała do niego.

Potem wsadziła do ust dwa palce i gwizdnęła przenikliwie.

– Gerry! – zawołała. – Geraldzie Willett, patrz! To ja, Pauline! Będę księżną,

Ger!

Kiedy z powrotem usadowiła się w powozie, dostrzegła, jak książę z matką wymienia spojrzenie. Oparła łokieć pod oknem, zasłoniła usta dłonią i wybuchnęła śmiechem.

Gdy dojeżdżali do chaty, zastukała w dach, dając sygnał stangretowi. Powóz zatrzymał się, więc złapała za klamkę.

– Nie. – Księżna zatrzymała jej dłoń rączką parasolki. – Mamy od tego ludzi.

Pauline zamarła. Przecież to ona była „człowiekiem od takich rzeczy". A może starsza pani o tym zapomniała?

Książę odsunął parasolkę.

– Na litość boską, mamo. Przecież to nie zbłąkana owieczka…

– Wybrałeś ją sobie. Mam z niej zrobić księżnę. Więc może od razu zacząć naukę.

Pauline wzruszyła ramionami. Jeśli starszej pani tak na tym zależy, poczeka, aż ten fagas otworzy drzwi, opuści stopień i poda jej dłoń w białej rękawiczce.

Gdy księżna z synem wysiedli z powozu, Pauline przypadła do ziemi w przesadnie niskim ukłonie.

– Witajcie w naszym skromnym domu, wasze wysokości.

Otworzyła bramę i poprowadziła ich przez ogrodzony kurnik. Gąsior dopadł ich natychmiast, trąbiąc i trzepocąc skrzydłami. Majorowi nikt by nie przetłumaczył, że stoi niżej od księcia. Księżna próbowała zmrozić go spojrzeniem, ale szybko zrezygnowała i zasłoniła się parasolką.

– Wystarczy, Major. – Pauline klasnęła w dłonie. Potem zaprosiła gości do środka. – Tędy, wasze wysokości. Proszę się nie krępować. Nasz dom jest waszym. Jesteśmy przecież teraz rodziną.

Framuga drzwi była nisko, a książę wysoki. Musiał się pochylić, żeby nie uderzyć się w głowę. Zatrzymał się w progu. Pauline przez moment myślała, że się odwróci, wskoczy do powozu i z kopyta popędzi do Londynu.

Ale nie zrobił tego. Zgiął się w pasie i jednym płynnym ruchem przekroczył próg.

Uśmiechnęła się bezwiednie. Arogancki książę skłonił się nisko, by wejść do jej rodzinnej chaty.

Goście rozejrzeli się po ciasnym, ubogo umeblowanym pomieszczeniu. Można je było bez trudu ogarnąć jednym spojrzeniem. Kamienne palenisko, kilka szafek, stół i krzesła. Wyblakłe drukowane zasłony na frontowych oknach. Z boku drzwi do jedynej sypialni. Drabina na stryszek, gdzie nocowały obie z Danielą.

Tylne drzwi prowadziły na podwórko, gdzie zawsze robiło się pranie. Słychać

było pluskanie wody – ktoś zmywał po południowym posiłku.

– Mamo! – zawołała. – Zobacz, kogo przyprowadziłam do domu spod Byka i Pączka Róży. Dziewiąty książę Halstone z mamą…

– Halford – poprawiła ją księżna. – Mój syn to ósmy książę Halford. A poza tym markiz Westmore, hrabia Ridingham, wicehrabia Newthorpe i lord Hartford-on-Trent.

– Och. Jasne. Pewnie będę musiała się tego wszystkiego dokładnie nauczyć, prawda? No bo w końcu to będzie też moje nazwisko, co nie? – Uśmiechnęła się szeroko do księcia. – Ale numer…

Wargi mu zadrgały. Trudno powiedzieć, czy z irytacji, czy z rozbawienia.

– Czy wasza wysokość usiądzie? – spytała księżnę.

– Nie.

– Jeśli wasza wysokość chce do klozetu – odpowiedziała poufnym tonem – to trzeba wyjść tymi drzwiami, obejść stos drewna, a potem w lewo przy świniach.

– Pauline? – Matka weszła tylnymi drzwiami, wycierając dłonie ręcznikiem.

– O, jesteś, mamo. Ojciec poszedł w pole?

– Nie – odparł Amos Simms i stanął w progu. – Nie poszedł. Jeszcze nie.

Wstrzymała oddech, gdy ojciec przyglądał się najpierw księciu, a potem księżnej.

W końcu posłał złowróżbne spojrzenie Pauline.

Zrobiło jej się ciepło między łopatkami. Będzie musiała zapłacić za to wszystko później, co do tego nie ma dwóch zdań.

– O co w tym wszystkich chodzi? – spytał ojciec.

Pauline wskazała gości.

– Ojcze, pozwól sobie przedstawić jego wysokość, ósmego księcia Halford i jego matkę. Przychodzą w pewnej sprawie… – mówiąc to, zwróciła się w stronę Griffa: – …ale to już książę sam ci wyjaśni.

Wspaniale. Wrobiła go w wyjaśnienia.

Griff westchnął i przeczesał dłonią włosy. Sam nie wiedział, jak to wyjaśnić. I co robi w tej przeklętej norze.

Coś ostrego wbiło mu się w bok, wypychając go do przodu. Znowu ta cholerna parasolka.

Ach, tak. Teraz sobie przypomniał. Rzeczywiście, miał powód, żeby tu być. I ten powód powinien dostać porządną lekcję od życia.

Wyrwał matce parasolkę i podał żonie farmera.

– Proszę przyjąć ten drobiazg z podziękowaniem za gościnność.

Pani Simms była drobna, przygarbiona i równie wyblakła, jak ścierka, którą

trzymała w zaczerwienionych dłoniach. Patrzyła na złożoną parasolkę, jakby zafascynowała ją rączka z kości słoniowej.

– Nalegam.

Niechętnie przyjęła parasolkę.

– To bardzo miło ze strony waszej wysokości…

– Nigdy nie przychodzi się w gości z próżnymi rękami. Matka mnie tego nauczyła. – Posłał księżnej znaczące spojrzenie. – Siadaj, mamo.

Pociągnęła nosem.

– Nie mogę uwierzyć, że…

– Tutaj. – Odsunął nogą drewnianą ławę od stołu. Nogi mebla zaszurały po posypanej słomą polepie. – Siadaj sobie. Jesteś gościem w tym domu.

Usiadła, rozkładając fałdy sukni. Bynajmniej nie zadawała sobie trudu, żeby wyglądać na zadowoloną. Tym bardziej że wszyscy się na nich gapili.

– Pani Simms – odezwał się Griff w końcu. – Może przygotuje nam pani coś do picia. Chciałbym zamienić parę słów z pani mężem.

Kobieta z wyraźną ulgą pociągnęła córkę w stronę kuchni. Griff odsunął od stołu wyplatane krzesło i usiadł. Simms rozsiadł się na drugim, mrużąc oczy.

– Czym mogę służyć waszej wysokości?

– Chodzi o pana córkę.

Farmer mruknął coś pod nosem.

– Wiedziałem. Co ta dziewucha znowu narobiła?

– Nic takiego. Ale moja matka ma w stosunku do niej pewne plany.

Simms posłał księżnej bystre spojrzenie.

– Znaczy się, że wasza wysokość szuka dziewuchy do sprzątania?

– Nie. Matka szuka synowej. Uważa, że potrzebuję żony. I twierdzi, że zrobi z waszej dziewczyny prawdziwą księżnę – powiedział Griff, ogarniając niedbałym ruchem ręki kuchnię.

Farmer zamilkł na moment. Potem jego usta rozciągnęły się w szczerbatym uśmiechu. Zarechotał cicho i nieprzyjemnie.

– Pauline księżną – powiedział tylko.

– Mam nadzieję, że nie poczuje się pan urażony, panie Simms, jeśli powiem, że osobiście wątpię w sukces tego przedsięwzięcia.

– Księżna. – Farmer potrząsnął głową i śmiał się dalej.

Niski, odpychający dźwięk jego śmiechu sprawił, że Griff poprawił się na krześle. Rzeczywiście, pomysł był absurdalny. Ale czy ojciec mimo wszystko nie powinien bronić własnej córki?

Odchrząknął.

– Oto moja oferta. Człowiek ma tylko jedną matkę, postanowiłem więc spełnić jej kaprys. Co by pan powiedział, gdybym wziął pana córkę do Londynu? Moja matka postara się przerobić ją ze służącej na kulturalną damę, godną ręki księcia.

Simms znowu zarechotał.

– Oczywiście, jeżeli to się nie uda, co jest bardzo prawdopodobne, córka wróci do pana. Ale przynajmniej z nowymi sukienkami i znajomością nieco bardziej atrakcyjnych stron życia.

– Moja córka nie potrzebuje nowych sukienek. Ani żadnych atrakcji.

W tym momencie rzeczona córka zaczęła nakrywać do stołu. Postawiła przed Griffem najbrzydszą filiżankę, jaką widział w życiu – tanią, malowaną skorupę, która ewidentnie zmieniła już kilku właścicieli. Ale zanim postawiła spodeczek na stole, szybkim ruchem obróciła go tak, że po stronie gościa znalazł się paskudny, kiczowaty kwiatek, a wyraźna szczerba po przeciwnej.

Sens tego gestu nie umknął jego uwadze. Bez wątpienia miała swoją dumę. Do tego była wygadana i na tyle odważna, żeby igrać z księciem i jego matką smoczycą. Żadna z tych cech nie była pożądana u służącej, a już na pewno nie u panny młodej.

Za to on sam bardzo je sobie cenił. Zaczął podziwiać tę całą Pauline Simms. Tylko trochę i tylko w duchu. Nie było jej kilka minut, ale przez ten czas zrobiła porządek z włosami. Figurę dalej miała nieciekawą, ale za to była śliczna. Wysokie kości policzkowe, ładny nosek, skośne kąciki oczu jak u kota. Typowa wiejska uroda. Wszyscy robotnicy pewnie tu za nią szaleją.

Przysiągłeś nie zadawać się z kobietami, skarcił go wewnętrzny głos.

No cóż, trzeba będzie nieco przerobić tę przysięgę. Przysiągł, że się nie będzie z nikim wiązał. Ale przecież oczu sobie nie wydłubie. Odrobina podziwu jeszcze nikomu nie zaszkodziła, a tej akurat kobiecie może nawet całkiem sporo pomóc.

– Skoro ją sobie, panie, upatrzyłeś, możemy pogadać. – Simms podrapał się w szczękę. – Ale nie puszczę jej tak łatwo.

Dobrze, pomyślał Griff. Żaden ojciec przy zdrowych zmysłach nie puściłby od siebie ładnej córki.

Mężczyzna podniósł głos.

– Chodź no tu, Paul.

Usłuchała. Ale zacisnęła wargi w cienką kreskę.

– Spójrz, panie, na te rączki – powiedział Simms, ujmując w palce jej przegub i podsuwając przedramię Griffowi do obejrzenia.

Miała szczupłe, ładne palce, ale na dłoni pełno było odcisków i blizn od fizycznej pracy – znacznie cięższej niż podawanie herbatki starym pannom.

Niewątpliwie harowała też na farmie.

Simms potrząsnął ręką córki.

– Nikt inny nie ma tak drobnych rączek ani szczupłych ramion. – Bez trudu otoczył drobny przegub jej dłoni swoimi palcami. – Kobyła będzie mi się źrebić. Nikt inny na tej farmie nie da rady wsadzić ręki do środka i złapać źrebaka za przednią nogę. W razie potrzeby.

Przesunął palce aż po łokieć, pokazując, na jaką głębokość wchodzi to ramię do wnętrza klaczy.

Griff ucieszył się, że jednak nie zjadł dziś śniadania.

– Patrz pan tylko – tłumaczył Simms. – Potrafi sięgnąć aż do macicy…

– Ojcze! – Pauline wyrwała rękę.

– To ma swoją cenę, co nie? – oświadczył farmer. – Nie puszczę jej bez wynagrodzenia. I to z góry.

Nie do wiary.

Simms był farmerem. Bez wątpienia biednym, ale nie zubożałym. Miał trzydzieści arów. Chata była skromna, ale solidnie zbudowana. Nikt tu nie głodował. Nagle pojawił się w tym domu zupełnie obcy szlachcic. I ten człowiek tak po prostu chce mu sprzedać własną córkę?

A jeśli coś jej się stanie? I co będzie z jej reputacją? Griff nie miał zwyczaju kupować sobie panienek do rozdziewiczania, ale Simms o tym nie wiedział. W takiej chwili każdy porządny ojciec – do diabła, każdy porządny facet – zażądałby przynajmniej jakiegoś zapewnienia. Albo wprost powiedziałby Griffowi, żeby poszedł do diabła z takimi feudalnymi propozycjami.

Ale panu Simmsowi nawet się to nie śniło. Co oznaczało, że był beznadziejnym ojcem i mężczyzną. W ogóle nie dbał o zdrowie ani o reputację córki. Zależało mu tylko na wynagrodzeniu z góry. Za ewentualne trudności przy źrebieniu.

– Naprawdę nie ma pan innych zastrzeżeń? – spytał, żeby dać tamtemu szansę.

Simms spochmurniał.

– Owszem, mam.

No, dzięki Bogu.

– Przynosi do domu zarobek – dodał tamten. – Też trzeba mi to wynagrodzić.

– Zarobek…

Griff miał ochotę komuś przyłożyć. Komuś odzianemu w szorstką koszulę domowej roboty, ubłocone buty, z gębą wykrzywioną chciwością. Koniec z tym. Matka dostanie swoją lekcję kiedy indziej. Trzeba się stąd zabierać, bo ta rozmowa źle się skończy, jeśli jej nie przerwie.

Wstał, zachowując zimną krew, z której jego książęcy ród słynął od pokoleń.

– To był chyba nieprzemyślany plan. Pańska córka nie ma praktycznie żadnych szans na sukces wśród londyńskiej socjety, a ryzyko jest dla niej zbyt wielkie.

Ruszył ku drzwiom, zatrzymując się tylko po to, by chwycić matkę za ramię i pomóc jej wstać.

– Za pozwoleniem, musimy już ruszać…

– Piątaka – zawołał farmer.

– Przepraszam?

– Puszczę ją z wami za pięć funtów.

Griff wytrzeszczył na niego oczy.

– Wielki Boże, czy ty mówisz poważnie, człowieku?

Tamten pokręcił głową.

– No dobra. Za cztery funty osiem szylingów. Ale ani pensa mniej.

Do ciężkiej cholery. Griff przesunął dłonią po twarzy. Wyglądało to, jakby się o nią targował, chcąc zrujnować jej życie za możliwie najwyższą cenę.

– Świetnie się wytargowałeś – głos matki ociekał ironią. – Taniej nikogo byś nie znalazł.

– Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolona – odparł Griff.

Uniosła brew, odbijając piłeczkę w jego stronę.

– A ty?

Wcale nie. Czuł się jak ostatni dureń. Myślał, że jest bardzo sprytny, wybierając służącą z tłumu starych panien. A teraz wdarł się do jej domu i zmusił, by patrzyła, jak ojciec chce za jej zdrowie i szczęście aż cztery funty i osiem szylingów.

Panna Simms pojawiła się znowu i podeszła do stołu z imbrykiem w dłoni. Spotkali się wzrokiem. Nigdy przedtem nie widział takiego intensywnego odcienia zieleni. Przypominał nieprzebytą, dziewiczą puszczę, która czekała na swego odkrywcę. W tej dziewczynie było coś o wiele lepszego niż całe to domostwo.

Nagle zdarzyło się coś, co pozwoliło mu dopowiedzieć sobie resztę jej historii.

Z tyłu za domem rozległ się jakiś hałas. Pauline Simms zaklęła pod nosem i potknęła się, rozlewając herbatę na klepisko.

– Paul, mówiłem ci… – Jej ojciec uniósł rękę groźnym gestem.

A Pauline, stojąca zaledwie cztery kroki dalej – ta dziewczyna, która potrafiła postawić się księciu – uchyliła się nagle.

Teraz wiedział już wszystko.

– Mamo, idź, proszę, do powozu.

Gestem ręki stłumił jej protest, a potem odwrócił się do dziewczyny.

– Panno Simms, proszę na zewnątrz na słówko. Na osobności.

# 3

**P**auline wyszła za nim przed dom i poprowadziła go pod ścianę wychodzącą na południe, w której nie było okien. Siedząca w powozie księżna też nie mogła ich tu dostrzec. Byli tylko we dwoje. Sami, pod rozkwitłą jabłonią.

Miała nadzieję, że pośmieją się z całej tej żałosnej sytuacji i rozstaną na zawsze. Trzeba brać się do roboty przed wieczorem. Jak na jeden dzień wystarczy jej książąt.

On również doszedł do podobnych wniosków. Przemierzał podwórko długimi krokami. W tę i z powrotem.

– Podjąłem decyzję.

Ułamał suchą gałąź jabłonki i postukał nią w płot.

– Simms, jedziesz ze mną do Londynu. Jeszcze dziś.

Na moment straciła oddech.

– Ale… ale dlaczego? Po co?

– Żeby zostać księżniczką.

– Przecież chyba się ze mną nie ożenisz na serio…

Zatrzymał się nagle.

– Oczywiście, że nie.

No cóż. Świetnie, że to od razu wyjaśnili.

– Ustalmy parę spraw od samego początku – powiedział. – Może i jestem elegancko ubrany, jeżdżę wspaniałym powozem i wdarłem się w twoje życie jak trąba powietrzna albo coś w tym rodzaju. Dla postronnych może to nawet być romantyczne. Ale życie to nie bajka, a każdy, kto mnie zna, powiedziałby ci… że nie jestem księciem.

Zaśmiała się lekko.

– Z całym szacunkiem, wasza wysokość, jestem tego samego zdania. Dawno przestałam wierzyć w bajki.

– Podejrzewam, że jesteś na to zbyt wielką realistką.

Skinęła głową.

– Jestem gotowa ciężko pracować, żeby dostać w życiu to, czego pragnę.

Niestety, jej włosy i sukienkę w dalszym ciągu pokrywał pył, którego koszt pochłonął jej całoroczne zarobki.

– Doskonale. Bo właśnie chciałem zaproponować ci pracę. Chcę cię zatrudnić jako coś w rodzaju towarzyszki dla mojej matki. Pojedziesz z nami do Londynu, poddasz się jej szkoleniu i okażesz się katastrofalnie niewyuczalna. Nie powinno ci to sprawić trudności.

Pauline poruszyła szczęką, ale nie odezwała się ani słowem.

– W zamian za tę pracę zapłacę ci tysiąc funtów. – Machnął gałęzią w stronę chaty. – Nigdy w życiu nie będziesz już uzależniona od tego człowieka.

Tysiąc funtów.

– Wasza wysokość, jak… – Nie wiedziała, co powiedzieć. Czy nazwać tę ofertę nieznośną, czy absurdalną, czy przyznać, że to byłoby spełnienie jej marzeń?

Niemożliwe. Tak to trzeba określić.

– Ale ja nie mogę. Po prostu nie mogę.

Podszedł bliżej. Słońce obudziło bursztynowe iskierki w jego ciemnobrązowych oczach.

– Owszem, możesz. I zrobisz to. Ja ci to…

Popatrzyła na chatę, zbita z tropu jego władczym zachowaniem i tym upartym, kuszącym zapachem. Budził w niej poczucie zaufania.

– Nie przejmuj się ubraniem ani rzeczami – powiedział. – Zostaw wszystko. Dostaniesz nowe…

– Wasza wysokość…

Smagnął gałęzią cholewę swego buta.

– Nie udawaj, że masz opory. Co cię tu może trzymać? Podawanie herbaty starym pannom? Praca na farmie, spanie w przeciągach na strychu? Brutalny ojciec, który chętnie sprzeda cię za pięć funtów?

Zacisnęła zęby.

– Dla takich jak my pięć funtów to nie byle co.

Zresztą nawet gdyby nie była to duża kwota, to zawsze większa niż „kompletne zero”. W ten sposób ojciec zwykle określał wartość kobiet.

– Niech i tak będzie – powiedział. – Ale to o wiele mniej niż tysiąc. Nawet wiejska dziewczyna bez wykształcenia potrafi to policzyć.

Potrząsnęła głową. Zdumiewające. A już myślała, że wyczerpał wszelkie możliwości obrażenia jej albo poniżenia.

– Moja matka ma za dużo wolnego czasu. Potrzebuje się kimś zająć, zabrać na zakupy, nauczyć prawidłowej wymowy. Żeby nie miała czasu mnie swatać. Bardzo proste rozwiązanie.

– Proste? Zabrać mnie do siebie do domu… kupić nowe rzeczy… zapłacić tysiąc funtów. Tylko po to, żeby matka przestała się mieszać w nie swoje sprawy?

Wzruszył ramionami na potwierdzenie.

– Nie powiedziałabym, że to proste, wasza wysokość. Łatwiej byłoby jej powiedzieć, że nie chcesz się żenić. Prawda?

Zmrużył oczy.

– Zdaje mi się, że lubisz utrudniać ludziom życie. Co czyni cię idealną kandydatką do tej pracy.

Pauline nie wiedziała, jak ma to potraktować. Raz w życiu stała się czyimś ideałem. Niestety, tylko idealną zadrą w czyimś boku.

Mimo wszystko, oferta była kusząca. Wreszcie nie przeżywałaby porażek po drodze do sukcesu, tylko sukcesy po drodze do porażki. Nikt by już nie mówił: „Przecież chciała dobrze". Książę bynajmniej nie życzył sobie, żeby chciała dobrze.

– Nieważne. I tak nie mogę wyjechać ze Spindle Cove – powiedziała w końcu.

– Proponuję ci bezpieczeństwo finansowe na resztę życia. W zamian za to proszę tylko o parę tygodni bezczelności. Pomyśl, że otwiera się przed tobą szansa na napisanie bajki dla praktycznych dziewczynek. Pojedziesz do Londynu moim fikuśnym powozem. Będziesz miała piękne suknie. Nie zmieniaj się tylko. I nie zakochaj się we mnie. Potem rozstaniemy się na zawsze. A ty będziesz żyła dostatnio do końca swoich dni. – Spojrzał w stronę powozu. – Zgódź się, Simms. Musimy już ruszać…

Jak go przekonać? Podniosła głos, wymawiając każde słowo najwyraźniej, jak tylko mogła:

– Ja. Nie. Mogę. Pojechać.

Odpowiedział takim samym tonem:

– A ja nie mogę cię zostawić.

Cały świat nagle ucichł. Książę znieruchomiał. Wyglądałby jak posąg, gdyby nie opadły kwiat jabłoni na ramieniu i wiatr, rozwiewający jego ciemne włosy. Gdzieś w górze zaśpiewał ptak szukający pary.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Dlaczego nie?

– Nie wiem…

Przechylił głowę i wpatrywał się w nią ze skupieniem. Próbowała się nie rumienić ani nie kręcić, kiedy podchodził do niej powoli, miarowymi krokami. W końcu znalazł się o krok, tak blisko, że widziała każdy włosek na jego brodzie. Były jaśniejsze od włosów, prawie rude. Przynajmniej w tym świetle.

– Jest w tobie coś takiego… – Dłoń bez rękawiczki dotknęła jej włosów i lekko je pogłaskała. Na ziemię opadł deszcz kryształków. – Coś takiego… cała jesteś taka…

Wielki Boże. Dotykał jej – bez pozwolenia i bez żadnego sensownego powodu. Powinna być wstrząśnięta, ale wydało jej się to dziwnie naturalne. Takie proste, niewymuszone, jakby robił to co dnia.

Nie miałaby nic przeciw temu. Mógłby ją tak dotykać. Jakby pomimo całej prozy życia było w niej coś cennego i kruchego, i czekało, by ktoś to ujawnił.

Strzepnął biały proszek z jej ramienia.

– Co to takiego? Cała jesteś tym obsypana…

– Cukier – odpowiedziała szeptem.

Podniósł kciuk do ust, żeby spróbować. I wygiął wargi z niesmakiem.

– Pomieszany z ałunem – wyjaśniła.

– Dziwne, ale pasuje. – Wyciągnął znowu rękę w jej stronę, by pogłaskać ją wierzchem dłoni.

Nieświadomie pochyliła się ku niemu, szukając tego dotyku.

– Pauline? – odezwał się znajomy głos. – Pauline, kto to jest?

Odskoczyła jak oparzona i odwróciła się w tamtą stronę. Daniela przyglądała im się zza rogu domu. Pauline zawahała się na moment, ale potem poleciła jej gestem, by podeszła. W ten sposób najłatwiej będzie jej wyjaśnić powody odmowy. Niech sam zobaczy, o co chodzi.

– Wasza wysokość, pozwolę sobie przedstawić moją siostrę Danielę. Danielo, nasz gość jest księciem. To znaczy, że musisz dygnąć i zwracać się do niego „wasza wysokość”.

Daniela dygnęła.

– Dzień dobry, wasza wysokość.

Słowa były bardzo niewyraźne i gardłowe, jak zwykle, gdy była zdenerwowana.

– Książę właśnie odjeżdża.

Daniela dygnęła jeszcze raz.

– Do widzenia, wasza wysokość.

Pauline przyglądała mu się bystro, czekając na reakcję.

Ludzie z jego sfery oddawali swoich rodzinnych nieudaczników do szpitali albo płacili pielęgniarzom, by się nimi zajmowali gdzieś na wyższych piętrach – byle nie na widoku. Mimo to, powinien się zorientować.

Wzbierał w niej znajomy gniew, gorący i opiekuńczy – tej reakcji nauczyła się przez długie lata chronienia siostry przed obelgami i poniżeniem. Zacisnęła pięści.

Pewnie nie będzie jej wyzywał od idiotek, debili, półgłówków ani prostaków. To

byłoby poniżej książęcej godności, prawda?

Ale na pewno jakoś zareaguje. Jak oni wszyscy. Nawet ci, którzy nie mieli nic złego na myśli, zawsze zachowywali się obraźliwie, traktowali Danielę jak zwierzątko domowe albo niemowlę, a nie jak młodą kobietę.

Pewnie skrzywi się z niesmakiem. Albo odwróci wzrok, udając, że Daniela nie istnieje. Może będzie chichotał, wzruszał ramionami… i rozgniewa tym Pauline na tyle, by kazała mu odejść.

Nie zrobił niczego takiego.

Odezwał się zupełnie spokojnym, rzeczowym tonem:

– Bardzo mi miło, panno Danielo.

Pauline mogła tylko patrzeć, jak książę – na litość boską, ten cholerny książę – uniósł dłoń jej siostry do ust. I pocałował ją.

Boże wielki, na moment ogarnęła ją miłość do tego człowieka. Pal diabli ten obiecany tysiąc funtów. Teraz mógłby kupić jej duszę za szylinga.

Przymknęła oczy i powtórzyła w duchu powody swojej niechęci do niego. I wypowiedziała ten najbardziej małostkowy i najgłupszy:

– Mnie nie pocałowałeś w rękę.

– Oczywiście, że nie. Wiem przecież, gdzie czasem ją wsadzasz.

Zarumieniła się na wspomnienie zachowania swojego ojca.

– Rozumiem, że to ze względu na nią nie chcesz wyjechać? – zapytał.

Skinęła głową.

– Nie mogę jej zostawić. A ona nie może opuścić domu.

Przez chwilę milczał, a potem zwrócił się do Danieli.

– Panno Danielo, chciałbym zabrać pani siostrę do Londynu.

Zbladła. Podbródek jej zadrżał, a w oczach zabłysły łzy.

– Ale przywiozę ją z powrotem – obiecał. – Daję słowo. A książę nigdy nie łamie danego słowa.

Pauline uniosła brew ze sceptyczną miną.

Wzruszył ramionami, przyznając jej rację.

– Dobrze. Ten konkretny książę nie złamie tego konkretnego słowa.

– Nie.

Siostra objęła ją tak mocno, że Pauline zachwiała się na nogach.

– Nie jedź. Nie chcę, żebyś jechała.

Serce ścisnęło się jej aż do bólu. Do tej pory nigdy się nie rozstawały. Nawet na jedną noc. Dla księcia to był krótki wyjazd, dla Danieli cała wieczność. Będzie przez cały czas nieszczęśliwa, opuszczona… ale potem…

Tysiąc funtów.

Z takimi pieniędzmi będą mogły zrobić wszystko. Na początek uciekną od ojca. Kupią sobie domek. Będą hodować kurczaki i gęsi, od czasu do czasu zatrudnią kogoś, żeby wykonał cięższe prace w obejściu. Jeśli będą mądrze postępować, z samych odsetek wystarczy im na syte, bezpieczne życie.

A ona będzie mogła otworzyć własny sklep.

Własny sklep. Do tej pory mogła o nim tylko marzyć. Teraz mógłby stać się rzeczywistością.

Marzenia przerwał jej głos księcia:

– Na litość boską, tylko nie ty…

Major, wiekowy i wojowniczy gąsior, odnalazł ich wreszcie i bez ogródek dał księciu do zrozumienia, że jest niemile widziany. Wyciągnął szyję najdalej jak mógł, nadął się i przyjął wojownicza pozę. A potem zaatakował but księcia.

Halford odgonił go od siebie gałęzią, a potem przytknął jej tępy koniec do piersi ptaka i trzymał go na odległość od siebie.

– Ten ptak jest opętany przez ducha jakiegoś szalonego kozaka…

– Nie lubi cię. Jest bardzo inteligentny – wyjaśniła Pauline.

Major zatrzepotał i uwolnił się, a potem znowu ruszył do walki z księciem.

Halford przyjął pozycję szermierczą, celując w ptaka gałęzią jak szpadą.

– Skrzydlaty potworze, pozbawię cię wątroby – zagroził.

Major nie pozostał mu dłużny, rzucając gwałtowne obelgi w swoim języku.

Daniela przestała płakać i zachichotała.

Ucisk w piersi Pauline zelżał.

– Danielo, zaprowadź Majora do zagrody. A potem wróć do nas.

Siostra rozłożyła ręce i przepędziła gąsiora na tyły domu. Kiedy znalazła się poza zasięgiem głosu, Pauline skrzyżowała ramiona na piersi i odwróciła się do księcia.

– Jeśli się na to zgodzę… – zmusiła się, by opanować drżenie głosu. – Jeśli pojadę z tobą, przywieziesz mnie tu z powrotem po tygodniu?

– Po tygodniu? – Odrzucił patyk na bok. – To nie do przyjęcia.

– To jedyna możliwość. Tydzień. Mamy z Danielą własny rytuał w soboty. Jeżeli obiecam, że wrócę w następną sobotę, zrozumie, że nie odjechałam na zawsze.

Zawahał się, więc dodała:

– Zapewniam, że w ciągu tygodnia na pewno okażę się kompletną porażką.

– W to nie wątpię.

Zamyślił się.

– Dobrze, niech to będzie tydzień. Ale wyjedziemy już dziś.

– Kiedy tylko pożegnam się z siostrą.

Spojrzała przez ramię.

Daniela właśnie wróciła z kurnika.

– Potrzebuję jednego pensa. Ale szybko – poprosiła Pauline.

Pogrzebał w kieszeni i podał jej monetę.

Spojrzała na nią.

– To nie pens, tylko suweren.

– Nie mam nic drobniejszego.

Przewróciła oczami.

– Książęta i ich problemy. Zaraz wracam.

Odciągnęła siostrę na bok i wyprostowała się. Musi być zdecydowana, żeby Daniela się nie załamała. Musi być silna za nie obie, jak zwykle.

– Masz tu pieniądze za jajka. – Położyła jej monetę na dłoni i zamknęła palce, zanim siostra zdążyła zauważyć, że jest innego koloru. – Idź na górę i od razu włóż ją do puszki. Jutro oddasz ją na tacę w kościele.

Daniela skinęła głową.

– Ja teraz pojadę z księciem do Londynu – dodała Pauline.

– Nie…

– Tak. Ale tylko na tydzień.

– Nie jedź. Nie jedź.

Po zaczerwienionych policzkach Danieli znowu popłynęły łzy.

Błagam cię, nie płacz tak. Nie zniosę tego.

Pauline o mało się nie poddała. Ale wyobraziła sobie złotą monetę w dłoni siostry. A potem tysiąc takich monet, leżących w równych stosikach. Dziesięć na dziesięć… i znowu dziesięć na dziesięć…

Jaka szkoda, że nie potrafi wyjaśnić Danieli, co to dla nich oznacza. I jaką zmianę na lepsze przyniesie w ich życiu. Tylko że ona nie lubiła zmian. Wolała rutynę i poczucie bezpieczeństwa. Znajome czynności, powtarzane każdego tygodnia.

– Wrócę w sobotę dać ci pieniądze za jajka. Przysięgam. Ale musisz na nie zarobić. Musisz ciężko pracować, jak mnie nie będzie. Nie możesz leżeć w łóżku i płakać, słyszysz? Zbieraj jajka codziennie. Pomagaj mamie przy gotowaniu i sprzątaniu. Ja wrócę po tygodniu. W następną niedzielę pójdziemy razem do kościoła.

Ujęła okrągłą twarz siostry w dłonie.

– Potem już nigdy cię nie zostawię.

Objęła ją mocno i pocałowała w policzek.

– Idź teraz do domu.

– Nie. Nie wyjeżdżaj.

Nie można było tego przedłużać. Rozstanie stawałoby się coraz trudniejsze. Pauline puściła siostrę, odwróciła się i przeszła przez furtkę. Idąc do powozu, cały czas słyszała za sobą łkanie Danieli.

– Pauline? – zawołała matka stojąca na schodku przed drzwiami.

– Wrócę za tydzień, mamo.

Nie odważyła się spojrzeć za siebie.

Zawahała się dopiero przy samym powozie. Książę podał jej rękę. Kiedy mocne, nieokryte rękawiczką palce zamknęły się na jej dłoni, przeszył ją dreszcz.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Drugą ręką uspokajająco musnął jej szyję.

Pauline wzięła głęboki oddech. Miała ochotę przytulić się do niego, szukając pociechy, ale odepchnęła tę pokusę.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała.

– Jeśli potrzebujesz więcej czasu…

– Nie.

– Nie powinnaś do niej pójść? – zapytał.

Nie. To tylko pogorszyłoby sytuację.

Nie było sensu mu wszystkiego tłumaczyć. Zresztą, czy to ma jakieś znaczenie, że on uzna ją za pozbawioną uczuć? Nie szuka przecież jego akceptacji. Robi to dla pieniędzy.

– Moja siostra zawsze płacze, ale jest silniejsza, niż się wydaje. – Puściła jego rękę i wsiadła do powozu o własnych siłach. – Ja również.

Na Griffie niełatwo było zrobić wrażenie. Spędził niejedno popołudnie na królewskim dworze, patrząc, jak odznaczają oficerów i dygnitarzy. Niektórzy zasługiwali na wstęgi, tytuły i ordery, ale większość na pewno nie. Irytowała go cała ta pompa i ceremonia. On sam nie miał inklinacji do bohaterstwa. Ale zdecydowanie potrafił dostrzec prawdziwą odwagę u innych.

Miał wrażenie, że właśnie był świadkiem czegoś takiego. Ta dziewczyna była twarda jak stal. To się czuło, nawet przy dotyku.

Doskonale. Przyda jej się ta cecha, jeśli ma spędzić kilka kolejnych dni z księżną Halford.

– Masz na to tydzień – powiedział do matki, sadowiąc się w powozie.

– Tydzień? – Na jej policzki wystąpiły rumieńce, odpowiadające intensywnością rubinom na szyi.

– Tydzień. Rodzina nie może puścić Simms na dłużej.

– To niemożliwe, żeby osiągnąć coś takiego w tydzień.

– Jeśli Stwórca w sześć dni stworzył niebo, ziemię i wszystkie żywe istoty, to tobie na pewno uda się uformować księżnę…

Sapnęła z urazą.

– Doskonale wiesz, że nie jestem…

– Poczekaj, nie kończ tej myśli. – Zaczął przeszukiwać kieszenie, cicho klnąc pod nosem.

– Czego ty tam szukasz, do licha? – spytała matka.

– Kartki i czegoś do pisania. Zamierzałaś właśnie powiedzieć, że nie jesteś Bogiem albo czymś w tym rodzaju. Zamierzam to zapisać, z datą i godziną. A potem w każdym pomieszczeniu w Halford House zawiśnie plakietka z tym cytatem.

Zacisnęła wargi w cienką kreskę.

– Powiedziałaś, że potrafisz sprawić, by cały Londyn padł do stóp dowolnej kobiecie. Jeśli uda ci się to w tydzień z Simms, to się z nią ożenię. A jeśli nie, to nigdy więcej nie będziesz mnie zmuszać do małżeństwa. Ani w tym sezonie, ani w następnym. Ani w tej dekadzie. Ani w tym życiu…

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie, nie odzywając się ani słowem.

Griff uśmiechnął się tylko, wiedząc, że dopiął swego.

Odchylił się do tyłu, założył nogę na nogę i położył rękę na oparciu siedzenia.

– Jeśli te warunki ci nie odpowiadają, możemy nawet w tej chwili zawrócić…

Nie zaprotestowała.

Więc pojechali dalej.

Po drodze księżna wygłosiła długi wykład na temat historii rodu Halfordów, a Griff przez cały czas udawał, że drzemie. Gdy doszła do czasów współczesnych i zaczęła rozwodzić się nad nim, czyli zakałą rodziny, musieli się zatrzymać w pobliżu Tonbridge Wells, żeby zmienić konie i coś zjeść.

Dzięki Bogu.

– To jedna z najlepszych przydrożnych oberży w Anglii – objaśniła matka swoją nową podopieczną, gdy wysiadali z powozu. – Mają niezrównane sale jadalne.

Panna Simms zrobiła komiczną minę, gdy wchodzili do środka.

– Moim zdaniem Pod Bykiem i Pączkiem Róży to wspaniałe miejsce. A już na pewno bardziej przytulne.

– Księżna nie szuka przytulnych miejsc – oświadczyła jego matka. – Księżna zawsze i wszędzie jest mile widziana. Oberża powinna jej zapewnić prywatność.

– Naprawdę?

– Rzeczywiście tak jest? – spytała dziewczyna lokaja o kamiennej twarzy, gdy prowadzono ich do jadalni.

Odsunął krzesło od stołu, wpatrując się w ścianę.

Poczęstowała go rozbawionym spojrzeniem i pomachała mu ręką przed oczami.

– Halo, jest tam kto?

Stał nieruchomo jak dziadek do orzechów, dopóki nie przestała i nie usiadła.

Griff również usiadł, przywołał kelnera spojrzeniem i zamówił kilka dań. Umierał z głodu.

– Kurde – westchnęła Pauline, opierając łokcie na stole, a podbródek na dłoniach. – Umieram z głodu.

Księżna ostro zastukała w blat stołu.

– Co znowu? – spytała młoda kobieta.

– Po pierwsze, zabierz łokcie ze stołu.

Panna Simms usłuchała, unosząc łokcie dokładnie na cal nad blatem.

– Po drugie, nie wyrażaj się. Młoda dama w obecności mężczyzn nie powinna mówić o tym, w jakim stanie są jej organy wewnętrzne. A tamto słowo na zawsze wykreśl ze swego słownika.

– Które słowo?

– Doskonale wiesz, o które mi chodzi.

– Hm… – Pauline z teatralnym namysłem przyłożyła palec do warg i wbiła wzrok w sufit. – Chodzi o „umieram” czy „z głodu”?

– Ani to, ani to.

– Nie rozumiem. Przecież nie powiedziałam nic więcej. Jestem tylko prostą dziewczyną ze wsi. Oszałamia mnie splendor tego niegościnnego przybytku. Skąd mam wiedzieć, których słów nie wolno mi używać, skoro wasza wysokość nie chce mnie oświecić?

Milczenie przeciągało się gdy wszyscy czekali, czy księżna da się wmanewrować w wypowiedzenie tak prostackiego słówka jak „kurde”.

Griff rozsiadł się wygodnie i w świetnym nastroju czekał, co z tego wyniknie. Nigdy się tak dobrze nie bawił podczas kolacji z rodziną.

Matka naprawdę potrzebowała mieć kogoś pod opieką. On nie dawał się terroryzować – choć wczoraj naprawdę się starała – a służba w Halford House była zbyt dobrze wyszkolona i opanowana. Zastanawiał się kiedyś, czy nie kupić jej psotnego teriera, ale to było o wiele lepsze. Panna Simms nie zostawiała kałuż na dywanach.

Może w przyszłości zatrudni kolejną impertynentkę do towarzystwa dla matki.

Tylko nie aż tak ładną.

Dziewczyna dosłownie błyszczała. Słowo honoru. Nie mógł od niej oderwać wzroku. Mimo podróży dyliżansem, lśniące kryształki cukru bynajmniej nie

opadły, a on ciągle szukał ich wzrokiem. Pobłyskiwały w jej włosach i na skórze. Były nawet na rzęsach.

Najgorsze, że jeden znalazł się w samym kąciku ust. Doprowadzało go to do obłędu. Miał nadzieję, że podczas obiadu Pauline dotknie go językiem i będzie po kłopocie.

Jeśli nie, sam będzie musiał się tym zająć.

– Panno Simms – powiedziała matka. – Jeśli pani myśli, że powtórzę to wulgarne słowo, to się pani rozczaruje. Wystarczy powiedzieć, że dama nie używa slangu, przekleństw ani wulgaryzmów. A tym bardziej księżna.

– Rozumiem. Zatem wasza wysokość nigdy nie przeklina…

– W żadnym razie.

– Słowa takie jak „kurde", „cholera", „do diabła", „niech to szlag", „jasny gwint", „do dupy" nigdy nie przechodzą przez usta księżnej? – Pauline z wyraźną uciechą i coraz większym zapałem wymieniała kolejne wyrazy.

– Nie.

– Nigdy?

– Nigdy.

Panna Simms z namysłem zmarszczyła brwi.

– A jeśli księżna nastąpi na pinezkę? Albo wiatr porwie jej ulubioną perukę? Nawet wtedy nie można nic powiedzieć?

– Nawet wtedy, gdy impertynencka wieśniaczka doprowadza księżnę do szału – odpowiedziała spokojnie. – Księżna może rozważać w duchu ostre repliki i kląć ze złości. Ale nawet w sytuacji skrajnej irytacji wstrzymuje wszelkie ejakulacje.

– Mój Boże – odparła Simms, szeroko otwierając oczy. – Mam nadzieję, że książęta nie muszą się zachowywać wedle tych samych norm. Ciągłe wstrzymywanie ejakulacji nie może być zdrowe dla mężczyzny…

Griff złamał zakaz opierania łokci na stole, zasłonił usta dłonią i udał atak kaszlu, by ukryć wybuch śmiechu. Sam się zdziwił jego siłą. Nie pamiętał, kiedy śmiał się tak serdecznie, do bólu żeber. Od dawna nie miał też pokusy, by pochylić się nad stołem i pocałować pełne, piękne wargi inteligentnej dziewczyny.

Od wielu miesięcy wstrzymywał… wszystko.

– Proszę sobie na to pozwolić. Zaraz się wasza wysokość lepiej poczuje. – Spojrzała na niego z udawaną troską i nieśmiałym, konspiracyjnym uśmieszkiem.

Podobała mu się ta dziewczyna. I to bardzo.

Zaczęło go to poważnie niepokoić.

# 4

***D***o diabła. Mało brakowało. Jeszcze chwila, a wybuchnąłby śmiechem.

Wprawdzie książę zatrudnił ją, żeby prowokowała matkę, ale właśnie zaczęło ją bawić prowokowanie jego samego.

Pomimo udawanego lekceważenia, widać było, że mu jednak zależy na kilku rzeczach. Od wyjazdu ze Spindle Cove otaczała go aura melancholii. Pauline miała ochotę ją rozproszyć. Szczerze mówiąc, wcale nie z dobrego serca, ale dlatego, że przez to coraz bardziej odczuwała własny smutek.

Coraz bardziej tęskniła za domem.

Zastanawiała się, czy Daniela przestała już płakać. Czy będzie chciała spać sama na stryszku? Może matka pójdzie ją pocieszyć, kiedy ojciec zaśnie, i zaniesie jej porcję budyniu.

Pauline wmawiała sobie, że tak właśnie będzie. I że kiedy wróci, będą niewiarygodnie bogate i będą się co noc objadać ulubionym deserem.

Co do jedzenia… właśnie zastawiano stół i wyglądało to jak prawdziwy bankiet. Zaburczało jej w brzuchu. Tego dnia prawie nic nie jadła, a takiego posiłku nie widziała nigdy w życiu.

– Panno Simms – powiedziała księżna. – Proszę mi wymienić, jakie dania mamy na stole.

Pauline spojrzała na nią podejrzliwie. Co to znowu za test? Podano wiele dań, ale wszystkie były swojskie. Bez trudu potrafiła je nazwać.

– Szynka, wołowina i zapiekanka Yorkshire. Pieczona kura. Groszek, kartofle i jakaś zupa…

Księżna zastukała w stół.

– Źle. Wszystko źle.

– Wszystko? – Pauline zamrugała, spoglądając na danie, które bez najmniejszego wątpienia było szynką. O co tu chodzi, do licha?

– To jest szynka, panno Simms – powiedziała księżna, akcentując głoskę „n”. – Szynka, a nie szenka. Zapiekanka, a nie sapiekanka. Kurczak, a nie kura. A poza tym my jadamy ziemniaki, a nie jakieś tam prostackie kartofle. Po kolacji dam ci

kilka ćwiczeń na wymowę. Bardzo usprawniają wargi i język…

To brzmiało koszmarnie. Do tej pory język i wargi służyły jej tylko do jedzenia. Złapała za nóż tkwiący w szynce, żeby przyciągnąć półmisek do siebie.

Stuk, puk.

Znowu księżna.

– Co tym razem zrobiłam? Nie powiedziałam przecież ani słowa.

– Chodzi o zachowanie – odparła dama, rzucając okiem na szynkę. – Księżna nie obsługuje się sama, panno Simms.

– Dobra. – Pauline zwróciła się do lokaja. – Hej, ty. Mógłbyś…

Stuk, puk.

Kolejne ostre spojrzenie.

– Księżna nie prosi też, żeby ją obsługiwano.

Pauline smętnie spojrzała na pusty talerz.

– W takim razie jak księżna może w ogóle coś zjeść?

– Patrz na mnie.

Pauline spełniła polecenie.

– Dobrze mi się przyglądasz?

– Tak, wasza wysokość.

– Zrobię to jeden jedyny raz. Księżna nigdy się nie powtarza, rozumiesz?

Pauline zagotowała się wewnętrznie, na pewno mocniej niż zupa w wykwintnej wazie. Księżna zachowywała się jak żywy egzemplarz *Mądrości pani Worthington dla młodych dam*. Pauline zaczęła rozumieć, przed czym młode damy uciekają na wakacje do Spindle Cove.

– Patrzę – potwierdziła z napięciem.

Księżna ledwie rzuciła okiem na kelnera, a następnie niemal niezauważalnie pochyliła głowę i jeden jedyny raz skinęła nią w kierunku jedzenia.

Służący rzucił się ku nim i zaczął nakładać potrawy na talerze.

– Dzięki Bogu – mruknęła Pauline.

– Świetnie, Simms – zawtórował książę, sięgając po nóż do krojenia mięsa. – Przyjmijmy, że to była modlitwa przed posiłkiem.

– Służba podaje warzywa, zupę, rybę i wszystkie inne dania – wyjaśniła księżna. – Panowie kroją mięso.

Jakby na dowód, książę położył na talerz Pauline gruby różowy płat szynki.

– Zważywszy na twoją poprzednią pracę, powinnaś chyba wiedzieć to wszystko.

– W Spindle Cove nie przestrzega się ściśle etykiety. Zresztą przy stołach siedzą wyłącznie damy. Gdyby czekały na usłużnych dżentelmenów, pewnie pomarłyby z głodu – wyjaśniła Pauline.

– Widzę, że czeka nas wiele pracy. Jakie masz talenty artystyczne? Umiesz śpiewać, panno Simms?

– Nie.

– Grasz na instrumentach?

– Nie.

– Znasz języki? Rysujesz, wyszywasz, haftujesz, masz jakieś umiejętności godne damy?

– Obawiam się, że nie, wasza wysokość. Kompletnie nie nadaję się na księżnę. – Mówiąc to, rzuciła Halfordowi bezczelny półuśmieszek.

Nie uśmiechnął się w odpowiedzi, tylko spojrzał na nią z chłodnym niesmakiem. Nie wiedziała dlaczego. Trochę ją to zaniepokoiło.

– Panno Simms – perorowała starsza pani. – Nie istnieje magiczna kombinacja zalet, która uczyni z ciebie księżnę. Uroda się przydaje, ale nie jest konieczna. Inteligencja jest mile widziana. Zważ, że chodzi o inteligencję, a nie spryt. Spryt jest jak róż: jego nadmiar robi z kobiety prostaczkę. Inteligencja podpowiada nam, jak się nim posłużyć właściwie.

Książę pochylił się na krześle. Przestał jeść, tylko wpatrywał się z napięciem w Pauline.

Nadziała więc na widelec obrzydliwie duży kawał mięsa i wsadziła do ust. Nie miała pojęcia, czemu tak nagle spochmurniał. Czy nie po to właśnie ją zatrudnił? Przecież chciał, żeby się prostacko zachowywała, prawda?

– Zatem – mówiła dalej księżna – niezbędną cechą każdej księżnej Halford jest flegma.

– Flegma? – Pauline zakrztusiła się jedzeniem. – Jak to jest, że przy stole nie wolno rozmawiać o głodzie, a można o flegmie?

Dziobnęła szynkę nożem.

– Jeśli księżna chce flegmę, nie ma problemu. Chłopaki ze wsi nauczyli mnie pluć. Trzeba zacząć głęboko w gardle, a potem…

Księżna zamarła, z łyżką pełną kremu ze szparagów w pół drogi do ust. Spojrzała na zieloną masę i odłożyła łyżkę.

– Panno Simms, nie o taką flegmę mi chodzi. To słowo oznacza także pewność siebie. Dystans. Umiejętność zachowania spokoju w każdej sytuacji. Flegmy nie sposób przecenić…

Ach, więc chodziło jej o sposób, w jaki patrzyli na siebie z księciem tego popołudnia Pod Bykiem i Pączkiem Róży. Nie okazywali ani cienia słabości. Tak samo zachowywali się na farmie – ogarniali wszystko wzrokiem, nie obracając nawet głowy.

Księżna eleganckimi ruchami kroiła mięso na kawałeczki.

– Podejrzewam, że to będzie naszym największym wyzwaniem.

– Na pewno tak.

Kiedy ktoś krzywdził Danielę albo inne osoby, które Pauline kochała – gniew rósł w jej piersi jak pęd ognistego krzewu. Chyba nigdy nie nauczy się opanowywać tej reakcji. Wcale nie ma na to zresztą ochoty.

– Na co jest całe to bogactwo i pozycja, kiedy nie można nawet ujawniać swoich uczuć? Czy w towarzystwie nie wolno niczego odczuwać?

– Oczywiście, że możemy mieć uczucia. Ale nie pozwalamy, by nami władały – odparła księżna.

– Rozumiem. Jeśli ktoś siada przy stole i otwarcie rozmawia o uczuciach związanych na przykład z miłością i małżeństwem, uważa się to za nieznośnie prostackie.

– Oczywiście.

– O wiele bardziej elegancko jest porwać własnego syna, a potem wmanewrować go w tygodniową farsę ze służącą, prawda?

Pomyślała, że to rozbawi księcia, ale nie. Wbijał w nią wzrok tak palący, jak słoneczne promienie skupione w soczewce.

– Nie jestem pewna, czy interesuje mnie flegma. – Ugryzła kolejny kęs i celowo mówiła dalej z jedzeniem w ustach: – Szczerze mówiąc, chyba wcale nie chcę się tego uczyć.

– Powtarzam po raz ostatni, panno Simms. To nie jest potrawa, którą się je albo odmawia. Jeśli chcesz się nauczyć, jak być księżną, flegma jest niezbędna.

– No to zobaczymy, kto się pierwszy postawi.

– Ja się nigdy nie stawiam. Księżna ma ludzi, którzy stawiają się za nią.

Pauline potrząsnęła głową.

Ten tydzień będzie wyzwaniem, ale raczej zabawnym. Księżna miała spore poczucie humoru. Ale wyraźnie nie doceniała Pauline, jeśli myślała, że ją sobie podporządkuje.

Nieważne, chodziło tylko o to, żeby zarobić ten tysiąc funtów.

W końcu zabrali się na dobre do jedzenia. Potem służba sprzątnęła dania i podała przeróżne owoce i sery. Winogrona, śliwki, nektarynki. Pauline wypatrzyła smakowity deser sherry w szklanej miseczce: maliny przekładane biszkoptem i bitą śmietaną.

A potem, na domiar wszystkiego, lokaj postawił przed nią jeszcze jeden deser: pięknie uformowany, wyjęty z foremki budyń.

Przeszył ją tak przenikliwy ból, że straciła oddech.

Och, Danny.

Zalała ją fala nieznośnej tęsknoty za domem. Odsunęła krzesło i wybiegła z sali na schody.

To był błąd. Nie wytrzyma tutaj. Musi wracać do domu. Ile mil mogli przejechać? Piętnaście? Dwadzieścia? Była najedzona, pogoda sprzyjała. Jeśli wyruszy od razu, będzie w domu przed świtem.

– Simms? – Na wąskiej klatce schodowej zabrzmiał głos księcia. Zatrzymała się na półpiętrze. – Źle się czujesz?

– Nie – odpowiedziała, pośpiesznie ocierając oczy, zanim na niego spojrzała. – Wszystko w porządku. Przepraszam, że wybiegłam tak nagle.

Usłyszała, jak powoli schodzi na dół.

– Nie przejmuj się. To było ukoronowanie genialnego pokazu złych manier. Doskonała robota. Ale matka zaniepokoiła się o twoje zdrowie.

– Nic mi nie jest, naprawdę. Tylko ten budyń…

– Budyń? – Zmarszczył brwi. – Też się nim brzydzę, ale raczej nie do łez…

Potrząsnęła głową.

– To ulubiony deser mojej siostry. Tęskniłam za nią przez cały dzień, ale kiedy zobaczyłam budyń, to po prostu…

– Wszystko zwaliło ci się na głowę – dokończył, podchodząc do niej blisko. – Naraz. Jak lawina.

Przytaknęła.

– Właśnie. Jakby powietrze zgęstniało. Nie mogłam nawet…

– Oddychać. Znam to uczucie.

– Naprawdę?

Może rzeczywiście, pomyślała, obserwując drobne zmarszczki w kącikach oczu i zmęczenie, które kładło się cieniem pod nimi. Tak, na pewno dobrze znał tę straszną samotność… może nawet lepiej niż ona.

– Daj sobie czas – powiedział. – To przechodzi.

Klatka schodowa nagle stała się za ciasna i za ciepła, jakby ściany pchały ich ku sobie. Nagle poczuła emanujące od niego męskie ciepło i siłę. I ten głęboki, bogaty aromat piżmowej wody kolońskiej…

– Wracajmy już – powiedziała.

– Chwileczkę. Masz tu coś. – Dotknął palcem kącika swoich ust. – Chyba zabłąkany kryształek cukru…

Skrzywiła się. Jaki wstyd.

Powoli przesunęła językiem po wargach.

– Teraz lepiej?

Zamrugał.

– Nie.

Uniosła rękę, żeby wytrzeć twarz.

– Ja to zrobię.

Dotknął dłonią jej policzka i potarł kciukiem wargi.

Litości. Pierwszy raz w życiu znalazła się tak daleko od domu, zupełnie sama na wielkim, samotnym oceanie emocji. Do tego ten dotyk na policzku, taki ciepły i bezpieczny… jakby ktoś rzucił jej linę ratunkową.

Musnął jej dolną wargę.

– Ależ ty masz usta… – powiedział cicho.

– Wiem. Za dużo gadam. Wszyscy mi to mówią.

– Nie o to mi chodzi…

– Mam też inne wady. Do wyboru, do koloru. Impertynencja, upór, duma. Klnę i jestem niezgrabna – mówiła wesołym, wymuszonym tonem.

– Świetnie. Dzięki nim przez ten tydzień będziesz prawdziwym ideałem.

Jego dotyk znieruchomiał. Potem książę przechylił jej twarz ku górze.

Chyba chciał ją pocałować.

Zdarzyło jej się to w życiu parę razy, więc potrafiła poznać po twarzy mężczyzny, kiedy ma na to ochotę.

Wpatrzył się w jej wargi.

Przysunął się bliżej.

Zadygotała wewnątrz. Teraz powinna coś… coś zrobić. Na przykład zamknąć oczy, jeśli pragnęła pocałunku. Albo odsunąć się szybko, jeśli go nie chciała.

Nie powinna chcieć.

Wiadomo, czego bezwstydni książęta spodziewają się po służących. Niech nie myśli, że jest taka. Ale od bardzo dawna nikt jej nie całował. I nie mówił jej takich rzeczy, jak książę…

W końcu więc nie zrobiła nic, tylko tkwiła dalej nieruchomo, bez tchu.

A on jej nie pocałował.

Odsunął się, przeszedł obok i zbiegł po schodach.

– Simms, pożegnaj ode mnie matkę.

– Dokąd jedziesz?

– Do Londynu. Jeszcze tej nocy – zawołał.

W stajni znalazł się dla Griffa wierzchowiec – młody wałach, który wprawdzie w niczym nie przypominał jego ulubionego, gorącokrwistego kasztana, ale miał dość siły i energii, żeby ponieść go galopem przed siebie. Niczego więcej nie było mu potrzeba.

Na niebie błyszczał księżyc w pełni, oświetlając drogę. Griff wskoczył na konia, nie dbając o niewygodne, pożyczone siodło i ciasny surdut, opinający mu ramiona. Jazda nie zapowiadała się przyjemnie, ale nie zależało mu na wygodzie.

Musiał natychmiast wyjechać.

Mało brakowało, tam na schodach. Była taka miła, ciepła, słodka, kusząca i bezbronna…

Miała takie miękkie usta. Różowe jak jagody. Lśniły, gdy przesuwała po wargach językiem. Drżały z emocji. Mało brakowało, a by je pocałował.

Pragnął tego jak powietrza.

Na niebiosa!

Do diabła ciężkiego!

Myślał, że ma to już za sobą. Nie dbał o zachęty, których nie szczędziły mu piękności z całego miasta. Zabłocona, obsypana cukrem, pyskata i obdarta służąca nie zawróci mu przecież w głowie.

Popędził konia do galopu.

Pomimo twardych postanowień o celibacie, powinien przewidzieć, że w końcu nadejdzie dzień, kiedy jego penis podniesie głowę i rzuci mu chwackie: „Cześć, stary! Nie zapomniałeś przypadkiem o mnie?”.

Stało się to właśnie dzisiaj.

W Pauline Simms było coś, co go fascynowało. Była taka dumna ze swego prostackiego pochodzenia, a zarazem tak głodna akceptacji.

Powtarzał sobie, że łączy ich tylko interes. Zatrudnił ją, żeby utrudniła życie jego matce, a nie żeby zawróciła mu w głowie. Nieważne, że jest bystra i ma lśniące oczy, skośne jak u kota. Przecież u murarza też szuka się pewnych cech – siły, umiejętności planowania i sprawnych rąk.

Myśl o pracownikach przypomniała mu o praktycznych sprawach. Trzeba powiedzieć służbie, że księżna przywiezie gościa. Na szczęście pani Thomas była niezwykle sprawną gospodynią. Kilka słów i wszystko będzie gotowe na przyjazd Simms. Sypialnia, pokojówka, posiłki, kąpiel.

O Boże, tak. Ta dziewczyna musi się wykąpać.

I to porządnie. Nie pośpiesznie, byle tylko spłukać tę błyszczącą słodycz. Niech się zanurzy głęboko w gorącej wodzie, żeby z jej dłoni zeszły odciski, a krótkie włosy przy skroniach skręciły się w loki. Niech się wyszoruje pachnącym mydłem i otuli szczupłe, lśniące nogi miękkim, puchatym ręcznikiem.

Obraz, jaki pojawił się w jego umyśle, był tak żywy, tak cudownie szczegółowy, że musiał zatrzymać konia pośrodku drogi i trochę oprzytomnieć.

Kiedy ucichł tętent kopyt, Griff wyraźnie usłyszał szaleńcze uderzenia własnego

pulsu.

Dlaczego akurat ona? Dlaczego akurat teraz?

Pytania zostały bez odpowiedzi, jak wszystkie, które przez ostatnie miesiące rzucał w pustkę i ciemność. Jasne było tylko jedno. Tej nocy uciekł od pokusy, ale przez następny tydzień będzie z nią mieszkał pod jednym dachem.

Był na to tylko jeden sposób.

Musi odwiedzić pewne miejsce po drodze do Londynu.

Pochylił się w siodle, by koń ruszył szybciej. W połowie traktu skręcił w znajomą, krętą drogę.

Do wioski dojechał bladym świtem. Mgła otaczała niewielkie skupisko domków niby gęsty wieniec. Na pokrytej rosą łące kwitły dzwonki i prymulki. Zsiadł, puścił konia luzem, żeby się popasł i zaczął zrywać kwiaty. Niewiele ich było, ale nie chciał tam iść z pustymi rękoma.

Kiedy słońce pojawiło się nad zielonym horyzontem, zrozumiał, że stara się odwlec tę chwilę.

Minął biały kościół i wszedł za mur. Zardzewiała brama zaskrzypiała. Doszedł do trzeciego rzędu pomników. Znalazł mogiłkę z prostym nagrobnym kamieniem.

Stał tam chwilę bez ruchu i bez słowa. Potem pochylił się, by położyć skromny bukiet pod wapiennym krzyżem.

Chciał się wyprostować, ale nie mógł. Przeszył go rozpaczliwy ból jak śruba wkręcająca się prosto w serce. Przeszyła je na wylot i zostawiła pustkę, która nigdy się nie zapełni.

Takie są skutki ulegania pożądaniu.

Dopiero po długim czasie mógł oddychać normalnie. Zanim wstał, ucałował czubki palców i przyłożył je do chłodnego, szorstkiego kamienia.

Tak jest. Koniec z pokusami.

# 5

**P**anno Simms – powiedziała księżna. – Wywierci pani nosem dziurę w szybie. Księżne się nie gapią.

Skarcona Pauline usiadła na miejscu.

Podróżowały całą noc, ale do ruchliwego Londynu dotarły dopiero późnym popołudniem. Przez całe trzy godziny powóz przeciskał się zatłoczonymi ulicami i mostami, żeby dotrzeć do Halford House. Pauline cały czas siedziała przylepiona do okna, zapatrzona w miasto i sceny rozgrywające się wokół. Ile tu cegieł! A ile sadzy!

I takie mnóstwo ludzi.

W końcu powóz wjechał pomiędzy eleganckie domy, przed którymi rozciągały się zielone trawniki z pięknie przyciętymi żywopłotami. Pewnie gdzieś tu był dom księcia.

Pauline bywała przedtem w lepszych domach. Szczerze mówiąc, tylko w jednym – u sir Lewisa Fincha. Jego gospodyni czasem zatrudniała pomoc do sprzątania przed Bożym Narodzeniem albo Wielkanocą. Summerfield było wielką posiadłością. Dwór miał kilka skrzydeł, a w każdym mnóstwo pięknych przedmiotów. Każdy zakurzony drobiazg był cenny – a przynajmniej służącym polecono traktować wszystko tak, jakby to były skarby.

Zanim powóz zatrzymał się przed Halford House, Pauline wytłumaczyła sobie, że wie, czego się spodziewać.

Myliła się.

Nic w jej życiu, marzeniach ani bajkach nie przygotowało jej na ten widok. Nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek przestanie się na to wszystko gapić.

Przede wszystkim czteropiętrowy budynek był tak ogromny, że trzeba byłoby przejść na drugą stronę placu, żeby ogarnąć go wzrokiem w całości. Wysiadając z powozu, zadarła głowę wysoko, by sięgnąć spojrzeniem do góry. Miała wrażenie, że opada jej szczęka.

W tym momencie, tuż przed zachodem słońca, cały plac skąpał się w blasku jego promieni. Padły prosto na Halford House, niby korona. Wszystkie szyby

rozbłysły jak diamenty, a biała granitowa fasada zalśniła złotem.

Pauline była oszołomiona.

Potem otworzyły się drzwi i z każdym krokiem jej oszołomienie pogłębiało się coraz bardziej.

Ruszyła śladem księżnej przez szpaler lokajów w liberiach. Za progiem, w holu, czekała reszta służby. Kucharka, gospodyni, panny służące, pokojówki, podkuchenne, garderobiana.

Wnętrze rezydencji robiło równie duże wrażenie. Ściany były zawieszone obrazami, a ozdobne zegary witały gości brzmieniem pozytywki. W każdym kącie zapraszająco czekały tapicerowane meble. Nie sposób było ogarnąć wzrokiem całego tego bogactwa… ale wcale nie było trzeba. Elegancję czuło się nawet pod stopami. Drewniane podłogi były pięknie wycyklinowane i wyszlifowane, a dywany… och, dywany były tak grube i pluszowe, że stopy aż wzdychały z rozkoszy, kiedy się w nie zagłębiały.

Pauline przedstawiono gospodynię, panią Thomas – kobietę, która w normalnej sytuacji pewnie wręczyłaby jej wiadro i szczotkę, a potem posłała do szorowania podłogi.

Dziś witała ją jako gościa. Nawet dygnęła.

– Zaprowadzę panią do pokoju, panno Simms.

Idąc za nią, Pauline żałowała, że nie może rozsypać za sobą okruszków, żeby móc odnaleźć drogę powrotną.

Od wejścia prosto na schody. Potem skręcić i dalej iść w górę na piętro, węższą klatką schodową. Potem w lewo, korytarzem z zieloną tapetą… a może niebieską? Za dnia łatwiej byłoby odróżnić kolory.

Idąc, liczyła drzwi. Pierwsze, drugie, trzecie…

Kiedy gospodyni zatrzymała się przy czwartych, Pauline kręciło się w głowie.

Dobrze, że w pokoju było ciemno. Najchętniej wcale nie zapalałaby światła.

Znużona, przyjęła pomoc w rozebraniu się i kąpieli, która zmyła z niej podróżny kurz, a potem zanurzyła się w najcieplejszym, najwygodniejszym łóżku, w jakim kiedykolwiek leżała. Zamknęła oczy i wyciągnęła nogi, ze świadomością, że ktoś nagrzał pościel, zanim weszła do sypialni.

Co za obsługa. Po raz pierwszy w życiu korzystała z takich luksusów. Lepiej było nie przyzwyczajać się do takiej rzeczywistości, więc z wdzięcznością zapadła w sen.

Obudziła się, kiedy było jeszcze ciemno. I nie mogła zasnąć.

Powinna być wyczerpana. I rzeczywiście była. Stawy ją bolały od długiej

podróży, choć powóz był dobrze resorowany. Umysł z trudem ogarniał mnóstwo nieznanych dotąd rzeczy i pojęć.

Mimo to nie mogła zasnąć z powrotem.

Była w domu księcia. Sam pewnie nie nazywał go w ten sposób. To takie prostackie, zwyczajne słowo. Pewnie mówił, że ma rezydencję albo majątek ziemski, albo taki czy inny dwór, albo zamek.

Odsunęła ciężkie zasłony i rzuciła okiem na mroczny pokój. Na szczęście księżyc był prawie w pełni i jego mleczne światło sączyło się przez okna (aż trzy! w jednym pokoju!), pozwalając zobaczyć wnętrze, którego przedtem nie mogła obejrzeć z powodu znużenia.

U podnóża łóżka stało tapicerowane siedzisko, podłogę okrywał orientalny dywan, którego żywa czerwień i złoto złagodniały w mroku nocy. Miała wrażenie, że wzór kwiatów lotosu ciągnie się całymi milami. Dalej z trudem dostrzegła toaletkę i odblask światła, odbijającego się od ogromnego, oprawnego w złotą ramę lustra na ścianie. Wspierało się na rzeźbionych, marmurowych cherubinkach o psotnym wyglądzie. Sądząc z wyglądu, sen się ich nie imał.

Pauline cicho gwizdnęła. Dźwięk odbił się echem od kasetonów na suficie. Jejku, ten pokój był jak jaskinia. Jej rodzinna chata zmieściłaby się tu w całości.

A to był tylko pokój gościnny. W dodatku pewnie nie ten najbardziej paradny. To jak muszą wyglądać inne?

Na stoliku stała taca z herbatą, którą zostawiono wieczorem. Pewnie powinna wcześniej zadzwonić, żeby zabrano naczynia, ale dobrze się stało, że tego nie zrobiła. Łyk zimnej herbaty z cytryną dobrze jej zrobi na nerwy.

Wyciągnęła skraj narzuty spod materaca, okryła nią ramiona i zsunęła się z łóżka.

– Oj!

Do ziemi było daleko. Wylądowała ciężko, zaplątała się w narzutę i upadła na podłogę.

Nic jej się nie stało. Dywan był bardziej miękki niż materace w jej domu.

Zamrugała, przyglądając się schodkom, ustawionym u podnóża. Zapomniała, jak wchodziła po nich, kładąc się spać. Łóżko księcia ma pewnie tyle puchowych materacy, że wchodzi się do niego po sześciu albo ośmiu stopniach. Pewnie śpi, tonąc w satynowych prześcieradłach i puchowych poduszkach, odziany w aksamitną koszulę nocną o barwie purpury, pomyślała i wybuchnęła śmiechem.

W jej wyobraźni pojawił się niezmiernie realistyczny wizerunek. Książę Halford, jego męskie ciało rozciągnięte na szerokim łożu. Żadnych tam aksamitów. Ani schodków. Żadnych puchowych materacy. Tylko zwichrzone ciemne włosy,

umięśnione ramiona na poduszce, a wokół bioder miękkie białe płótno lśniące w blasku księżyca. Może trochę niżej, niemal na linii zgrabnego, muskularnego tyłka.

Próbowała odsunąć od siebie ten obraz. Bez powodzenia.

Dosyć tego. Tu nawet herbata nie pomoże. I tak nie uda jej się zasnąć.

Wstała, otuliła się mocniej narzutą i wyszła na korytarz.

Tu było ciemniej.

Na moment stanęła bez ruchu, przypominając sobie, którędy szły razem z gospodynią. Starała się zapamiętać drogę, ale była zmęczona i oszołomiona. Nie wspominając o zachwycie, jaki budziły w niej portrety, które w niektórych miejscach wisiały na ścianach w trzech rzędach. Tylu szlachetnie urodzonych przodków…

Dziewczęta ze wsi powiedziałyby, że w takim miejscu jest pełno duchów.

Gdzieś w górze zaskrzypiała deska. Zimny powiew musnął jej szyję. Z trudem przełknęła ślinę.

Na lewo. Na pewno przyszły z lewej strony.

Ruszyła powoli w tamtym kierunku, dotykając palcami ściany. Co kilkanaście kroków wyczuwała zamiast tapety drewnianą powierzchnię drzwi. Pierwsze, drugie, trzecie… Naliczyła sześć i stanęła. Powinna już być przy klatce schodowej.

Nagle oślepił ją błysk światła. Zatrzymała się. Serce w niej zamarło. Który książę Halford nawiedza swój pałac po nocy? Odsunęła się i spojrzała w stronę światła przez palce.

– Simms?

Okazało się, że ósmy i jedyny żyjący książę Halford straszy w swoim własnym domu.

W jednej ręce trzymał lampę. Drugą właśnie zamykał drzwi. Usłyszała odgłos obracającego się klucza.

– Co tu robisz? – zdenerwował się, chowając klucz do kieszeni.

Zaskoczył ją gniew w jego głosie.

– Dobry wieczór waszej wysokości. Podróż do Londynu była bardzo przyjemna, dziękuję.

Nie zamierzał się z nią patyczkować.

– Dlaczego węszysz po moich prywatnych apartamentach?

– Nie miałam pojęcia, że to prywatny korytarz. I wcale nie węszę. Skręciłam w niewłaściwym miejscu i tyle. Wrócę inną drogą.

Odwróciła się, żeby odejść.

Złapał ją za ramię.

– Czy to moja matka kazała ci to zrobić?

Nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć. O co chodziło? O bezsenność? Czy o to, że zabłądziła w ogromnym, nieznanym domu?

– Chcesz coś ukraść? Odpowiedz jednym słowem.

– Nie. – Wyprostowała się dumnie.

– No to wytłumacz mi, co tu robisz. Powinnaś spać, a ty zamiast leżeć w łóżku, wędrujesz bez celu po korytarzach.

Oświetlił jej twarz lampą.

– I w dodatku wyglądasz, jakbyś czuła się winna.

– A ty jak arogant, który nie wie, co mówi.

To było trochę kłamstwo. W świetle lampy widać było jego bladość i zmęczone cienie pod oczami. Brąz tęczówek zdominowała zimna czerń źrenic. Wcale nie wyglądał na aroganta, przynajmniej w tym momencie.

To, co robił w tym zamkniętym pokoju, musiało być jakąś osobistą tajemnicą. Zaskoczyła go w nieoczekiwanym momencie. A ponieważ taki silny, potężny mężczyzna nie może się przyznawać do takich chwil, pewnie będzie chciał, żeby to ona poczuła się winna.

Westchnęła.

– Książęta i ich problemy…

– Nie podoba mi się twoja impertynencja, Simms.

– Bujda.

Przyciągnął ją do siebie. Serce zabiło jej mocniej, a całe ciało przeszył dreszcz.

– Jestem tu właśnie z powodu mojej impertynencji, pamiętasz? Właśnie dlatego wybrałeś mnie z całego tłumu dobrze wychowanych dam. Dlatego, że jestem kompletnie nieodpowiednia. Jest we mnie wszystko, czego nie chcesz widzieć u kobiety.

Przesunął wzrokiem po jej ciele.

– Ja bym tego nie powiedział.

– Jeśli chcesz, możesz jutro odesłać mnie do domu. Ale przekonasz się, że niczego ze sobą nie zabrałam. Nic nie ukradłam. Nawet gdybym o tym myślała, choć tak nie było, na pewno nie zrobiłabym tego pierwszej nocy. Poznałam tutejszą gospodynię. Jestem pewna, że ma listę wszystkich cennych rzeczy i regularnie ją sprawdza. Więc gdybym chciała kraść, poczekałabym do ostatniej chwili. Jeśli nie wierzysz w moją uczciwość, to przynajmniej uwierz w inteligencję.

– W nic ci nie uwierzę, dopóki nie usłyszę prawdy.

– Powiedziałam prawdę. – Mocniej otuliła się narzutą. – Nie mogłam spać. Pomyślałam, że pójdę do biblio…

– Do biblioteki – dokończył za nią z takim sarkazmem, że niemal wysyczał to

słowo. Dlaczego powiedział to z takim niedowierzaniem?

– Owszem – odpowiedziała. Teraz chciała jednak tylko wrócić do łóżka. Na pewno zaśnie bez trudu. Ten człowiek był niezmiernie męczący.

– Świetnie. – Zacisnął rękę na jej ramieniu i poprowadził ją korytarzem. – Sam cię zaprowadzę do biblioteki, jeśli naprawdę chcesz się tam znaleźć.

Wszystko szło niezgodnie z planem. Wydawało mu się, że zabezpieczył się przed pokusa.

Nie przypuszczał, że pokusa we własnej osobie zmaterializuje się późną nocą w mrocznym korytarzu, i to pod jego własnym pokojem. Znowu miała rozpuszczone włosy. Okryła się narzutą, jakby przed chwilą z kimś się kochała. W świetle lampy była jeszcze bardziej pociągająca niż w popołudniowym słońcu.

Wszystko przez te cienie. Przecież nikt nie może mieć rzęs długości kciuka. To niemożliwe.

Może wydłużają się z każdym kłamstwem, które wypowiadała.

Biblioteka? Nie może być.

Czy musiała wybrać akurat tę najbardziej wyświechtaną wymówkę?

Poprowadził ją korytarzem, potem w dół po schodach i w kolejny korytarz. Kiedy dotarli do drzwi, otworzył je na całą szerokość, dla efektu.

– Proszę cię bardzo. Oto biblioteka.

Podał jej lampę.

Mrugając weszła do sali.

– Wybierz sobie lekturę. Ja poczekam – powiedział.

Stanęła na środku i obracała się powoli, niewątpliwie oszołomiona. Sam musiał przyznać, że zgromadzono tu wspaniały księgozbiór. Dzieło wielu pokoleń. Sala była wysoka na dwa piętra i sześcioboczna, z powodu kaprysu piątego księcia Halford. Był architektem-amatorem, naturalistą, naukowcem i tak dalej. Wzdłuż pięciu ścian wznosiły się półki, od podłogi aż pod sam sufit. Na szóstej było wejście.

– Proszę bardzo, szukaj – zachęcił ją.

– Naprawdę mogę ich dotknąć? – szepnęła.

– Oczywiście. Ktoś w końcu powinien.

Mimo to, stała otulona tą narzutą, z twarzą uniesioną ku sufitowi.

– Nie wiem nawet, skąd zacząć…

– A jakie książki najbardziej lubisz? – spytał, nawet nie starając się ukryć złośliwości w swoim głosie. – Może pasjonujesz się filozofią? Historią? Naukami?

– Najbardziej lubię wiersze. Ale nie mogę powiedzieć, żebym wiele czytała,

wasza wysokość.

Aha. Przyznała się bez trudu.

Skrzyżował ramiona na piersi.

– A jednak szukałaś biblioteki…

– Tak. Chciałam popatrzeć na książki, a nie czytać. Miałam nadzieję przejrzeć księgozbiór. Może nawet zrobić listę…

W końcu postąpiła przed siebie i pogładziła palcem cienki, oprawny w skórę tom. Nawet nie zdjęła go z półki, wystarczył jej dotyk – tak delikatny, jakby książka mogła zniknąć w obłoku dymu.

– Wiesz może, jak są uporządkowane?

– Nie mam pojęcia. Chyba mniej więcej tematycznie. Mój dziadek wymyślił jakiś tam system i nawet zrobił katalog, ale ja nigdy sobie tym nie zawracałem głowy. Nieczęsto korzystam z biblioteki.

Podniosła lampę i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Chcesz powiedzieć, że mieszkasz w domu, gdzie jest tyle książek i w ogóle ich nie czytasz? – Zakreśliła dłonią łuk.

Nonszalancko wzruszył ramionami, udając, że go to nie zabolało.

– Jestem zakałą wśród moich przodków, doskonale to wiem…

– Ile mniej więcej kosztują książki?

Nawet nie próbował odgadnąć związku między tymi wszystkimi pytaniami. Było strasznie późno.

– To zależy od wielu rzeczy. Od rodzaju książki i od oprawy. Powieści pewnie kosztują koronę albo dwie, za to historia Rzymu w dziewięciu tomach…

Machnęła ręką.

– Rzymskie historie na nic mi się nie przydadzą.

– Rzymianie nie byli aż tak nudni, jak myślisz. – Wykłady z historii były jedną z nielicznych rzeczy, które podobały mu się w szkołach.

– Bardzo możliwe. Ale nawet największe mole książkowe w Spindle Cove nie przeczytają dziewięciu tomów historii podczas pobytu na wakacjach.

Griff obserwował, jak zgrabnie wspięła się na drabinę na kółkach. Zawiesiła lampę na haczyku zamontowanym właśnie do tego celu i uniosła głowę, przyglądając się tytułom na półkach. Włosy opadały na jedną stronę jej szyi lśniącą kaskadą, jak brandy nalewana z butelki. A szyję miała piękną – gładką, długą, białą jak kość słoniowa.

– Chcesz sprowadzać książki do Spindle Cove? – zapytał.

– Jak najwięcej się da. Właśnie tak chcę wydać ten tysiąc funtów, a przynajmniej jego część. Planuję… Nieważne zresztą.

– Jak to „nieważne”? Wydasz pieniądze na książki, a potem?

Westchnęła.

– Wyśmiejesz mnie, jeżeli ci to powiem, a wtedy znienawidzę cię na zawsze.

– Nie będę się śmiał.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Dobrze, może i będę. Ale tobie nienawiść przejdzie po dniu albo po dwóch.

– Chcę zabrać do domu książki i otworzyć wypożyczalnię.

– Wypożyczalnię – powtórzył. O dziwo, wcale się nie śmiał.

– Tak. Będę wypożyczać książki damom na wakacjach. Ale ponieważ nie mam żadnego doświadczenia, chciałam zobaczyć twoją bibliotekę, żeby mieć jakieś wyobrażenie. Czy teraz mi wierzysz, że nic nie chciałam ukraść?

Wierzył. Wypożyczalnia książek dla starych panien? Nawet nałogowy kłamca nie zmyśliłby takiej historii na poczekaniu.

– Przepraszam bardzo – powiedział. – Niesprawiedliwie cię oceniłem.

– Przepraszasz? – Spojrzała na niego, wstrząśnięta. – Nie spodziewałam się usłyszeć czegoś takiego od ciebie.

– W takim razie ty też mnie niesprawiedliwie oceniłaś.

Wiedział, że ma mnóstwo wad, ale do wszystkich przyznawał się bez skrupułów.

– Może rzeczywiście. – Zagryzła dolną wargę. – W takim razie… skoro już o tym rozmawiamy, może podrzuciłbyś mi jakieś tytuły? Co lubisz czytać, wasza wysokość?

– Nie czytam dużo, poza korespondencją związaną z prowadzeniem majątku. Jakoś nie starcza mi czasu…

Na dowód podniósł ze stołu gazetę i odłożył ją na bok.

Potem podszedł do dużego biurka i zapalił świece. Leżał tam zepsuty zegar, którym chciał się zająć – niezwykły mechanizm, który ojciec przywiózł kiedyś z Wiednia. Powinien się urodzić w rzemieślniczej rodzinie. Był najszczęśliwszy, kiedy ręce miał zajęte pracą.

Nie dała mu spokoju.

– A gdybyś miał czas, to co byś czytał?

– Sztuki teatralne – odpowiedział byle co, żeby tylko mieć spokój.

– Ach, sztuki. Dobry pomysł. Damy ze Spindle Cove lubią wystawiać sztuki. – Przytrzymując narzutę ręką, popchnęła drabinę w stronę półek. – Często chodzisz do teatru?

– Ostatnio wcale.

– To znaczy, że kiedyś chodziłeś. – W jej głosie brzmiała autentyczna ciekawość. – Dlaczego przestałeś? Jak dawno temu?

Zacisnął palce, przytrzymując odkręcaną śrubkę. Nikt go do tej pory nie pytał o takie rzeczy. Nawet matka. Z początku poczuł się zaskoczony, jakby ktoś chlusnął mu w twarz zimną wodą. Potem przyszło dziwne uczucie ulgi. Albo nawet wdzięczności.

Jego rówieśnicy, znajomi, przyjaciele z klubu z pewnością zauważyli, że przed rokiem wycofał się z życia towarzyskiego. Pewnie zastanawiali się czemu, ale nikt nie zapytał go wprost. Może brakowało im odwagi, a może ich to aż tak nie interesowało. Trudno powiedzieć.

Pauline Simms miała dość odwagi. I zdaje się, że temat ją ciekawił. To niewinne pytanie napełniło ciepłem jakieś miejsce, które od dawna ziało chłodem.

Przez moment miał nawet ochotę jej odpowiedzieć, ale zrezygnował.

Pewnie nie zrozumiałaby, dlaczego nie pojawiał się na przedstawieniach w tym sezonie. Skarciłaby go, że kaprysi i miałaby rację. Już to słyszał: „Książęta i ich problemy".

Odkręcił kolejną maleńką śrubkę.

– Nie rozumiem, dlaczego miałoby cię to…

– Obchodzić – dokończyła. – Wiem. Masz rację. Nie moja sprawa, ale nie mogłam się powstrzymać. To bardzo dziwne, wasza wysokość… Jesteśmy pośród tych wszystkich starodawnych, wiekowych tomów… A mnie się wydaje, że jesteś trudniejszy do rozszyfrowania niż wszystkie te księgi. Kiedy zaczyna mi się wydawać, że coś zrozumiałam, znowu zbijasz mnie z tropu.

– Simms, jestem mężczyzną. Nie jestem aż tak skomplikowany.

Odłożył zegar, zamierzając skończyć to literackie interludium i odesłać ją na górę, do sypialni. Tylko że kiedy podniósł wzrok, zobaczył ją…

W całości.

I głos zamarł mu w gardle.

Stała na najwyższym stopniu drabiny. Narzuta opadła na podłogę, a ona unosiła się nad nią jak chmurka. Cień kobiety, okryty najcieńszą, najbardziej zwiewną koszulką, jaką widział w życiu. Była tak znoszona i sprana, że przypominała pajęczynę, a nie prawdziwe płótno. A kiedy prześwitywało przez nią światło lampy…

Była dosłownie przezroczysta.

Pauline wcale nie miała chłopięcej sylwetki. Wręcz przeciwnie, była bardzo kobieca. Małe, okrągłe jak jabłuszka piersi zdobiły ciemne sutki. Brzuch miała płaski, a zarys całej sylwetki, gdy stawała na palcach, by dosięgnąć książek, przyzywał go do siebie jak dobrze znana muzyka. Łuk stopy, szczupła łydka, słodki kształt uda… i okrągła pupa, jakby stworzona dla męskiej dłoni.

Jego wyobraźnia szalała, pełna myśli o jej nagości, dzikości i ruchu.

Właśnie odwróciła się i spojrzała na niego z drabiny.

Oczy, napomniał się w myśli. Patrz jej w oczy. Były śliczne, zielone jak liście, otoczone nieprawdopodobnie długimi rzęsami. Bez trudu mógł się w nie wpatrywać.

Zamiast wędrować spojrzeniem ku tym stromym piersiom.

Albo ku ciemnemu trójkątowi, który kusił spomiędzy jej ud.

Do diabła.

Był przecież mężczyzną. Sam jej to przed chwilą powiedział. Mężczyźni nie są skomplikowani. Reakcja jego krocza też była prosta, wyraźna i miała mniej więcej dwa cale więcej niż zazwyczaj.

Ona chyba nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje. Na pewno nie miała pojęcia, bo chybaby zeskoczyła z drabiny wprost na podłogę i zasłoniła się tą narzutą.

– Gdzie tu są powieści? – zapytała rzeczowo, opierając się łokciem o kolejny stopień drabiny.

Przyszła mu do głowy chytra myśl. Jeśli nie zdawała sobie sprawy, dlaczego on się jej tak przygląda, to znaczy, że mógł patrzeć do woli. Nasycić się nią, zapamiętać tyle obrazów, żeby móc o niej fantazjować długie miesiące.

– Wydaje mi się, że tam – odparł krótko i wskazał jedną ze ścian. Potem zasłonił się zegarem jak tarczą, żeby na nią nie patrzeć. Wzniósł oczy do nieba z nadzieją, że zostanie mu to zaliczone jako jeden z nielicznych dobrych uczynków.

– Mógłbyś mi polecić jakieś swoje ulubione? – pytała dalej.

– Nie – westchnął niecierpliwie. Wolałby, żeby go nie zagadywała tak przyjaźnie, kiedy starał się, by nie rozbierać jej w myślach. W jego wyobraźni była ledwie o dwa guziki od utraty cnoty.

– Powieści też niewiele czytałam – przyznała. – Tych kilka, które zaczęłam, były jak puszcza. Gubiłam się w nich. Wolę wiersze, bo tam mogę się odnaleźć. Piękne słowa, jak łąkowe kwiaty. Łatwo je zerwać i zatrzymać u siebie. W zeszłym roku przyjechała do nas dama, której wydawało się, że jest poetką. Pisała okropne wiersze, ale podobały mi się książki, które ciągle gdzieś zostawiała. Niektórych wierszy nauczyłam się na pamięć, żeby je recytować siostrze.

– Które podobały ci się najbardziej? – Zapytał o to tylko po to, by ona wreszcie przestała zadawać pytania.

Zamilkła na moment.

– Na przykład ten: „Dziewczyna mnie chwyciła w borze, kiedy tańczyłem (Któż mi odda tę chwilę?) i zamknęła w klatce kluczykiem, który był ze złota”[1].

Griff prawie odkręcił klapkę, ale jego palce pracowały coraz wolniej.

Recytowała dalej sennym, aksamitnym głosem:

– „A klatka była kryształowa, zdobiona złotem i perłami. Wewnątrz na świat się otwierała, I na maleńką noc z gwiazdami. Tam inną Anglię zobaczyłem, I Londyn z jego Parlamentem. Inną Tamizę, inne wzgórza, Inne też Błonia uśmiechnięte”.

Przyglądał się otwartemu zegarowi, jakby to nie był mechanizm, tylko klatka. Z tajemnym oknem, prowadzącym w maleńką noc z gwiazdami. Do innego Londynu, do innej Anglii. Do zupełnie innego świata.

Był zauroczony… troszeczkę.

– Tylko że od tego momentu cała opowieść przybiera zły obrót – powiedziała ze smutkiem. – Ale bardzo mi się podoba. Kryształowa klatka, ze złotem i perłami. I ukryty wewnątrz świat. Cudownie jest to sobie wyobrażać przy zmywaniu w gospodzie. Albo, na przykład, z ręką tkwiącą po łokieć w kobyle…

Na moment oderwał wzrok od zegara. Tylko po to, by pochwycić psotny, uroczy uśmiech, który mu posłała.

– Jak myślisz? Czy coś z tego będzie? – spytała.

Nie.

Nie, ty czarodziejko. Nigdy nic z tego nie będzie.

– Pytasz o wypożyczalnię, prawda?

Skinęła głową.

– Wszystko sobie zaplanowałam, wiesz? Przy rynku jest pusty sklep, gdzie kiedyś była apteka. Z półkami na wszystkich ścianach i solidną ladą. Trzeba tylko wszystko wywietrzyć i wypolerować. I może powiesić firanki. I wstawić parę krzeseł, żeby było na czym usiąść. Ale cała ta elegancja na nic się nie zda, jeśli nie będzie to sensowny interes.

– I ty mnie pytasz o zdanie?

– Masz przecież zamiar zapłacić mi tysiąc funtów. Chyba nie chciałbyś, żebym je przepuściła.

Zaśmiał się.

– Nie masz pojęcia, ile tysięcy sam już przepuściłem.

– Powiedz mi szczerze, co myślisz. Bardzo cię proszę.

Uwolnił fragment mechanizmu, zezując ze skupienia.

– Szczerze, to nie jestem właściwą osobą do takiej rozmowy. Stare panny na pewno będą chciały czytać wiersze i powieści. Mnie interesowały tylko te nieprzyzwoite…

Zacisnęła palce na stopniu drabiny.

– Wasza wysokość jest genialny.

Zaskoczony Griff poprawił się na krześle. Nikt go jeszcze tak nie nazwał. To

znaczy, poza łóżkiem.

– A co jest we mnie takiego genialnego?

– Pomysł, żeby wypożyczać nieprzyzwoite książki. Dokładnie tego mi potrzeba. Nie muszą być skandaliczne. Choć większość powinna taka być. Przecież te wszystkie damy mają w domach mnóstwo nudnych książek, prawda? A do Spindle Cove przyjeżdżają, by sprzeciwić się zasadom…

Griff przypomniał sobie, z jaką radością dziewczęta zgromadzone w gospodzie wyrywały strony z książki o etykiecie i robiły z nich papierowe zabawki. Tak, bez trudu sobie wyobrażał, jakie powodzenie miałyby wśród nich pikantne powieści i radykalne broszury.

Dzięki temu pomysłowi przyczyni się do pośredniego zdemoralizowania całej wioski starych panien. To niewątpliwie szczytowe osiągnięcie jego życia. Tylko nie wiadomo, czy w pozytywnym, czy w negatywnym sensie.

– Gdzie są te nieprzyzwoite? – Odrzuciła głowę do tyłu, przyglądając się najbardziej oddalonym rzędom na górnych półkach. – Pewnie tam wysoko. A może gdzieś pod kluczem?

Zaśmiał się.

– Gdybym rzeczywiście miał w bibliotece kącik z książkami nieodpowiednimi dla młodych dam, na pewno bym cię tam nie posłał.

– Dlaczego? Nie jestem przecież damą. I wcale nie jestem aż tak niewinna.

Nie mów mi takich rzeczy.

– Jest już bardzo późno, Simms…

– A raczej bardzo wcześnie.

– Powiedzmy, że jest bardzo ciemno. A ty jesteś rozebrana i jesteśmy tu sami we dwójkę.

A do tego zaczynają rozmowę o literaturze erotycznej…

– Jestem niegodziwcem, pamiętasz?

Zarumieniła się.

– Pomóż mi chociaż zrobić listę, dobrze?

Postukał palcami w blat.

– *Moll Flanders*, *Fanny Hill*, *Mnich*, dobre tłumaczenie *L'École des Filles*. To na początek.

Przymknęła oczy.

– Zrobione.

– Nie zapiszesz tego?

– Nie muszę. Mam dobrą pamięć.

Przechyliła się mocno, przyglądając się półkom. Wyglądało to, jakby unosiła się

nad nimi. Griff z trudem oddychał, zauroczony zarysem jej sylwetki i burzą splątanych loków. Owszem, przeczytał w życiu niejedną nieprzyzwoitą książkę. Ale żadna go tak nie podnieciła. Był twardy jak mahoniowy blat biurka.

– Aha! Znalazłam coś, co chętnie zabiorę do łóżka.

Wyciągnęła z półki książkę. *Księgowość i bibliotekoznawstwo.*

– To na pewno od razu cię uśpi – zachichotał. – Ale to świetny pomysł. Musisz prowadzić dokładne księgi, mimo że masz dobrą pamięć. Nie dawaj nic na kredyt. Jeśli coś wypożyczasz, zawsze bierz kaucję. Mało kto dorównuje arystokratom w wymigiwaniu się od finansowych zobowiązań.

Spojrzała na niego czujnie.

– Ale ty się nie wykręcasz od płacenia należności, prawda?

– Z tego, co mi mówiono ostatnio, jestem czwartym najbogatszym człowiekiem w Anglii. Nie muszę.

– Aha. Doskonale.

Przycisnęła do siebie podręcznik bibliotekoznawstwa, pochyliła głowę i wzięła głęboki oddech. Zauważyła, że się jej przygląda i odpowiedziała z pokorną miną:

– Lubię zapach książek. Czy to dziwne?

– Owszem. Trochę.

Spodobało mu się to. Ta rozmowa wymykała się spod kontroli – z pogawędki w bibliotece zmieniła się we flirt. Albo nawet coś w rodzaju przyjaźni, w jego przypadku połączonej z obłędnym, cielesnym pociągiem.

Niezależnie od wszystkiego, należało z tym skończyć. Tu i teraz.

Odłożył zegarowy mechanizm i wstał z krzesła. Miał nadzieję, że w półmroku nie będzie widać erekcji.

– Zmykaj na górę, Simms. Jest już późno, a matka na pewno wymyśliła dla ciebie na jutro całe mnóstwo ćwiczeń, żeby zaspokoić swoje próżne ambicje.

– Nie martw się, na pewno okażę się beznadziejna.

– Doskonale.

Zeszła dwa stopnie niżej.

– Na dowód tego nie dygnę, wychodząc z tej sali.

– Świetny pomysł. Jeśli chcesz zrobić jeszcze gorsze wrażenie, możesz zacząć mi mówić po imieniu.

Popatrzyła na niego.

– Naprawdę?

Skrzywił się. To był błąd. Chciał, żeby to była kolejna impertynencja, ale mile zaskoczony wyraz jej twarzy przypomniał mu, że taka poufałość może okazać się niebezpieczna.

A jeśli chodzi o niebezpieczeństwo…
– Uważaj – ostrzegł. – Ten ostatni stopień jest dość…
Wydała zduszony okrzyk i zachwiała się.
– Jasna cholera…

# 6

*C*zas zwolnił bieg. W ułamku sekundy Griff przewidział bieg wydarzeń. Pauline nie trafi stopą w najniższy szczebel drabiny. Upuści książkę. Rozpaczliwie machnie ręką, może nawet dotknie drabiny, ale nie da rady jej porządnie uchwycić. Siłą rozpędu poleci do przodu. I upadnie twarzą na podłogę.

Wprawdzie z wysokości niespełna jarda, więc pewnie nic jej się nie stanie. Ale zanim jego umysł doszedł do tego etapu rozważań, ciało już poderwało się do działania.

Odepchnął się dłonią od oparcia sofy i przeskoczył ją jednym gładkim ruchem. Przeskoczył też stojącą mu na drodze skórzaną otomanę. Szeroko rozkładając ramiona, zatrzymał się pod drabiną, w samą porę, by pochwycić Pauline.

Oparła się mocno o jego pierś. Zamknął ją w ramionach.

A potem, choć już była bezpieczna, jakoś nie potrafił jej puścić.

– Ojej – westchnęła, spoglądając na drogę, która właśnie przebył. – To był prawdziwy wyczyn.

– Nic takiego.

Odpowiedź godna prawdziwego mężczyzny. Podejrzewał jednak, że po drodze między sofą a otomaną poważnie naciągnął sobie jakiś mięsień… ale na ból przyjdzie czas później. Teraz należy się zająć innymi doznaniami.

Wielki Boże, przedtem patrzył na nią z prawdziwą rozkoszą, ale to było nic w porównaniu z emocjami, jakie obudził jej dotyk. Sutki miała równie twarde jak charakter. Doskonale je czuł przez cieniutką koszulkę. Domagały się uwagi, a nawet więcej, pełnego szacunku.

Do diabła, mógłby nawet oddawać im cześć.

– Wcale nie takie nic. – Otoczyła ramionami jego szyję. – Ledwo oddychasz.

– Ty też.

– Racja. – Posłała mu tak nieśmiały, słodki uśmiech, jakby należał do kogoś zupełnie innego. – Co za refleks.

Jaka oryginalna uwaga. Normalnie odpowiedziałby sugestywnym „dopiero się przekonasz” albo „lata praktyki, kochanie”. Ale jakoś nie miał ochoty wygłaszać

takich zblazowanych zwrotów. Przyszła mu do głowy absurdalna myśl, że przez całe swoje bezsensowne życie uprawiał sporty tylko po to, by się przygotować na tę jedną chwilę.

Dla tej jednej, jedynej dziewczyny, którą uchronił przed upadkiem.

– Nie zniósłbym, gdyby ci się coś stało – powiedział, nie rozumiejąc, dlaczego tak było.

– Myślałam, że nie masz szlachetnych odruchów.

– Uwierz mi, że to prawda. – Powiedział to bez odrobiny ironii ani nieprzyzwoitości, patrząc jej prosto w oczy.

Gdyby zachował choć odrobinę przyzwoitości, dawno postawiłby ją na ziemi. Ale czuł się tak cudownie, gdy obejmowała go za szyję. Jakby cały świat wokół nich był zamarzniętą pustynią i mogli utrzymać się przy życiu, jedynie darząc się ciepłem swoich ciał. Tak łatwo było uwierzyć, choć przez tę jedną chwilę, że jest jej potrzebny. Że ona potrzebuje jego dotyku, jego warg, jego gorącego oddechu. Jego nagiej, rozgorączkowanej skóry na swojej.

To nieprawdopodobne, do jakiej akrobatyki może się posunąć umysł ogarniętego pożądaniem mężczyzny. Niemal przekonał samego siebie, że całując te pełne, słodkie usta, da dowód swojej szlachetności.

Niemal. Ale nie do końca.

– Postawię cię na ziemi – powiedział.

Skinęła głową.

A potem dotknęła jego warg swoimi.

Niech to najjaśniejszy szlag trafi. Ta dziewczyna sama go pocałowała.

Pocałunek ogarnął go jak sztormowa fala, otwierając wszystkie zmysły na oścież. Jej wargi były takie miękkie i dojrzałe jak jagody. Pachniała suszonym na słońcu płótnem.

Słodki dreszcz pobudzał każdy jego nerw, nawet kiedy pocałunek się skończył. Natychmiast odezwało się pierwotne pożądanie.

Więcej. Jeszcze. Teraz.

To pożądanie było jak dobry, stary znajomy. Gwałtowny rytm tętna, jej posmak na języku, nagłe zaciskanie się krocza… doskonale znał te wszystkie wrażenia.

Tylko że teraz do tej burzy uczuć dołączyło jeszcze jedno. Głęboki, spokojny pomruk w okolicy serca.

To ta – szeptał. Ją sobie wybieram.

To było coś nowego. I przerażającego.

Gwałtownie postawił ją na ziemi. Potem odwrócił się, pocierając usta.

– Co to było, do diabła?

– Myślałam, że wasza wysokość ma więcej doświadczenia w tej mierze… moim zdaniem to był pocałunek.

Przeczesał dłonią włosy.

– To nie powinno się wydarzyć.

– Jak to? Było przecież dobrze…

Odwrócił się ku niej jak fryga.

– Twoim zdaniem to było dobrze?

– Nie. Raczej chodziło mi o to, że nam to wyszło na dobre. – Przełknęła ślinę. – Nie zaprzeczysz chyba, że zapanowało między nami napięcie. Pomyślałam sobie, że pocałunek nam pomoże.

Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– Pomoże?

– Sam widzisz, że już jest po wszystkim.

Odwróciła się, wzruszając ramionami.

– Jak widać, nie było to nic specjalnego. Nie będziemy musieli sobie zawracać głowy wzajemnym przyciąganiem.

To nie było nic specjalnego? Nie zawracać sobie głowy przyciąganiem?

Zdumiewające, jak ta dziewczyna potrafiła poszatkować jego dumę. Może powinien dać jej nóż do papieru, żeby go wypatroszyła do końca.

Podniosła upuszczoną na podłogę książkę i przycisnęła do piersi, wyraźnie szykując się do odejścia.

– Dobranoc, wasza wysokość.

Niech idzie, powtarzał sobie w duchu. Daj jej odejść.

– Nie możesz tego powiedzieć na pewno po tym jednym pocałunku – oświadczył i ruszył przed siebie, pozostawiając daleko z tyłu zdrowy rozsądek i logikę.

– Nie mogę? – spytała.

– Nie. To nie był nawet prawdziwy pocałunek. Tylko musnęliśmy się ustami. Gdybym cię pocałował na serio, miałabyś czym zawracać sobie głowę, Simms.

– Naprawdę?

Zbliżał się powoli, tłumacząc niskim, beznamiętnym głosem:

– Naprawdę. Prawdziwy pocałunek przeniknąłby cię do głębi. Nie spałabyś po nim przez całą noc. Przewracałabyś się z boku na bok, bo ciągle dokuczałyby ci… – przerwał, zastanawiając się nad kobiecym odpowiednikiem erekcji. – Dokuczałyby ci… dygotki.

Rozbawiona, podniosła brew. W policzku zrobił jej się przekorny dołeczek.

– Dygotki?

– Tak – odparł z powagą. – Dygotki.

Zachichotała.

Dobry Boże. Przecież to nie miało prawa się zdarzyć. Co to w ogóle za rozmowa? Dygotki? Co za głupie, dziecinne słowo. Teraz nie mógł się jednak z niego wycofać. To ja jestem tu księciem, napomniał się w duchu. A ona zwykłą służącą. Lepiej, żebyśmy sobie o tym oboje przypomnieli.

Tylko że to nie była zwykła służąca. Miała ambicje, talent do interesów, doskonały gust poetycki i te wszystkie krągłości, do których aż swędziały go ręce.

Była cudowna. Dojrzała jak jagódka.

To ona, odezwał się znowu ten szept.

Zjeżdżaj, odpowiedział w duchu.

– Dygotki – zadumała się na głos.

Skinął głową. Nie przeszkadzało mu, że sobie z niego żartuje. Słuchałby w nieskończoność, jak powtarza to słowo, bo sam jego dźwięk doprowadzał go do szaleństwa.

Z namysłem wysunęła dolną wargę.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek czułam dygotki, wasza wysokość. Może to doznanie tylko dla dam z wyższych sfer. Pewnie nie mam tak wysublimowanej kobiecej wrażliwości…

Objął dłonią tył jej głowy, przeczesał palcami surowy jedwab włosów.

– Co za bzdura – powiedział.

A potem przyciągnął ją do siebie i pocałował.

A więc to są dygotki.

I tak jego zdaniem wygląda prawdziwy pocałunek. Gorący, władczy uścisk. To on decydował o wszystkim: o nachyleniu jej twarzy, o bliskości, o powolnym, doprowadzającym ją do szaleństwa pulsowaniu języka, który pieścił jej wargi.

Pocałunek był bezlitosny, mocny, jakby chciał ją nim za coś ukarać. Dwadzieścia smagnięć mocnym, namiętnym językiem. Szkoda, że nie wiedział, jak bardzo tego pragnęła. Jak bardzo go pożądała, do szpiku kości, każdym włókienkiem drobnego, szczupłego ciała.

Och, tak. Dziękuję. I poproszę o jeszcze.

Tych kilka chwil po pierwszym pocałunku należało do najgorszych momentów w jej życiu. Był taki poruszony i wstrząśnięty. Nie miała pojęcia, dlaczego to zrobiła. Może z wdzięczności, że wpuścił ją do tej ogromnej, bezcennej biblioteki. Że wysłuchał jej najtajniejszych marzeń i ich nie wyśmiał. Co więcej, nadał im dodatkowy wymiar, podsuwając ten genialny, choć niemoralny pomysł.

Nie miał przecież pojęcia, jakie to było dla niej ważne.

A potem wykonał ten niesamowity, bohaterski skok, żeby ją uchronić przed upadkiem.

Kiedy spojrzała na niego z bliska, zrozumiała coś dziwnego. To nie był pierwszy raz, kiedy włóczył się po korytarzach późną nocą i w kompletnej samotności. Jej obecność wcale go aż tak nie zirytowała.

A pocałunek był mu bardzo potrzebny.

Pewnie wolałby przejść boso po gwoździach, niż się do tego przyznać. Powinna spodziewać się takiej reakcji. Każdy mężczyzna ma swoją dumę, a co dopiero książę. Pewnie wolałby polować na ślimaki niż przyznać się do słabości.

Więc zemścił się na swój sposób. Władczym, kontrolowanym, mistrzowskim pocałunkiem. Zresztą nie miała nic przeciw temu.

Jego twarda jak skała pierś promieniowała żarem, który sprawił, że jej sutki stwardniały i napięły się z pożądania. Ich ciał nie dzieliło prawie nic, poza cieniutkim płótnem, ale i tak wydawało jej się to za wiele. Wtuliła się w niego, w nadziei że w ten sposób ukoi ból. Rozkosz przeniknęła ją do głębi.

Kiedy objęła go w pasie, zamruczał zachęcająco. Głęboki dźwięk jego głosu zawibrował w całym ciele, spłynął w głąb i usadowił się między udami. Przytuliła się jeszcze mocniej.

– Właśnie tak – mruknął prosto w jej wargi. – Właśnie tak.

Miał rację, idealnie pasowali do siebie.

To już nie był jego pocałunek, ale pieszczota, którą darzyli się nawzajem. Pieszczota, pociecha, zapoznawanie się ze sobą.

Całował ją czule, leniwie, rozkosznie. Ich języki rozpoczęły wspólny, powolny, zmysłowy taniec. Przesunęła palcami po jedwabistej tkaninie koszuli. Ogarnęła ją dzika, pierwotna ciekawość. Chciała poznać go całego. Czy jego ciało jest równie smagłe jak twarz, czy białe jak marmur? Czy ma włosy na piersi, czy nie? Dlaczego jego serce bije w takim mocnym, dzikim rytmie?

Zabroniła sobie dalszych pytań i starała się pohamować wyobraźnię, zanim powędruje jeszcze niżej.

On wyraźnie nie miał takich oporów.

Odważnie przesunął dłonią w dół jej kręgosłupa. Pieszczocie towarzyszył rozkoszny dreszcz. Pieścił ją coraz niżej, aż wreszcie objął ją tam i władczo zacisnął dłoń. Jęknął z pożądania.

Co za cudowne doznanie. Myślała, że jej ciało jest kościste i suche, a ten dotyk sprawił, że stało się miękkie.

Nigdy w życiu nie czuła się tak upragniona i pożądana. I to przez człowieka, który mógł mieć wszystko i nie potrzebował niczego.

Kiedy wreszcie się od niej oderwał, wargi miała obolałe i spuchnięte, a kącik ust pokaleczony ostrym zarostem. Kiedy oblizała to miejsce, zapiekło. Będzie czuła ten pocałunek przez długie godziny.

A może nawet lata.

Westchnął urywanie.

– Simms… Niedobrze się stało.

Zaśmiała się cicho.

– Jeśli to było niedobre, to nie wiem, czy przeżyłabym udaną próbę.

– Nie o to chodzi. Takie zachowanie nie przystoi pracodawcy. Nie chciałbym, żebyś myślała, że wykorzystuję pracownice.

Odwrócił się, przeczesując włosy dłońmi.

– Nie mam kłopotu ze znalezieniem towarzystwa. Nie muszę się…

– Uciekać do czegoś takiego? – Urażona, podniosła z podłogi narzutę. – Jeśli chcesz się ze mną dyskretnie rozstać, to robisz to źle.

Dlaczego mężczyźni potrafią wszystko zniszczyć?

Odpowiedź była bardzo prosta. Bo głupie kobiety im na to pozwalają.

– Słuchaj, chcę cię tylko zapewnić, że to się więcej nie powtórzy. Przykro mi…

– Z powodu pocałunku? Czy tego, że się więcej nie powtórzy?

Podszedł i otulił ją cienką tkaniną.

– Z obu powodów.

W blasku lampy jego twarz znowu przybrała ten smutny, samotny wyraz. Jeśli naprawdę nie miał żadnego kłopotu ze znalezieniem towarzystwa – a ten pocałunek przekonał ją, że to prawda – to dlaczego nie przebywał teraz u kochanki albo u jakiejś wdowy, albo niewinnej dziewicy?

Jak na zdeklarowanego kawalera, nie najlepiej korzystał z wolności.

– To był tylko pocałunek. – Wzięła z biurka świecę. – Przecież pocałunek, albo nawet dwa, to nic takiego.

Zatrzymał się na moment.

– Wiesz, co przed chwilą powiedziałaś?

– Co?

– Powiedziałaś „takiego”, a nie „takigo”. Masz idealną wymowę.

Pauline zaśmiała się cicho.

– Wszystko przez ciebie. Twoja matka twierdzi, że to kwestia giętkości języka.

Griff posłał jej mroczne spojrzenie.

– Spokojnie, wasza wysokość. Niezależnie od wymowy, to nie było nic takiego. Po prostu zwykły pocałunek.

Kłamczucha, odpowiedziało jej serce. To było o wiele więcej.

– Całowałam się już nieraz.

Kłamczucha, kłamczucha. Nikt cię tak jeszcze nie całował.

– Nie przesadzajmy. Nie ma się przecież czym przejmować – dokończyła.

Kłamczucha, kłamczucha, niedobra dziewucha.

– Racja – przytaknął. – Każde z nas ma swój własny cel. Ty chcesz otworzyć tą swoją niegrzeczną wypożyczalnię, a ja chcę dalej prowadzić rozpustne życie, z dala od jarzma małżeńskiego. Na pewno nam się to uda, chyba że popełnimy błąd i zaręczymy się pod koniec tego tygodnia. Ale to się na pewno nie zdarzy.

Zamknął drzwi, a potem odwrócił się do niej. Spojrzeli na siebie w złocistym, ciepłym blasku świecy.

Pauline zaśmiała się sztucznie, z przymusem.

– Wielki Boże, Griff, nie wyobrażaj sobie za wiele na swój temat. Ten pocałunek nie był aż tak dobry.

Potem odwróciła się i wbiegła na schody, starając się zagłuszyć oskarżycielski głos własnego serca.

Kłamczucha, kłamczucha. Kłamczucha, kłamczucha.

# 7

***D***o południa następnego dnia Pauline miała już w głowie całą długą listę rzeczy, których nie przystoi robić księżnym.

Księżne nie klną, nie plują, nie biorą same jedzenia z półmisków, nie stają dęba w żadnym sensie tego słowa ani nie rozmawiają o organach wewnętrznych w towarzystwie panów.

Z drugiej strony jednak, nie muszą nic robić w domu. Nie ciągną wody ze studni, nie karmią kur, nie wyganiają krów na pastwisko, nie ganiają prosiaków, które rozbiegły się po całym podwórku. Nie robią śniadania ani sobie, ani innym. To było po prostu wspaniałe.

A kiedy księżna Halford wpadła do jej sypialni, Pauline dodała do listy kolejny punkt:

Księżne nie muszą pukać do drzwi.

Podskoczyła i schowała podręcznik księgowości pod poduszkę. Dopiero potem wstała. Nie chciała tłumaczyć, skąd ma tę książkę. Choć od godziny, albo nawet dwóch, nieustannie powracała pamięcią do wydarzeń z poprzedniej nocy.

Ach, ten pocałunek.

Jej wargi wciąż drżały.

– Cieszę się, że nie śpisz – powiedziała księżna – choć jest jeszcze tak wcześnie.

To ma być wcześnie?

– Jest już prawie jedenasta. Od dawna jestem na nogach.

Pauline nigdy w życiu nie spała dłużej niż do szóstej. Wyjrzała przez okno.

– Minęła już połowa dnia.

– Wciąż liczysz czas po wiejsku. W mieście jest inaczej. Poranne wizyty rozpoczynają się około południa. Jedzenie podajemy około trzeciej. Wieczór zaczyna się o dziewiątej, a kolacje jada się zwykle o północy.

– Skoro wasza wysokość tak mówi… – Pauline codziennie budziła się o świcie. Będzie więc mogła czytać całymi rankami. Może nawet ze dwa razy pójdzie do biblioteki, kiedy skończy ten podręcznik.

– Mój syn rzadko wstaje przed południem – westchnęła dama. – Właśnie dlatego

będziemy zaczynać wcześniej. Przed nami dużo pracy.

Pauline rozejrzała się po pokoju.

– Ubrałabym się, ale nie mogłam znaleźć sukienki.

– Ach, tego… – Księżna machnęła ręką. – Kazałam ją spalić.

– Spalić? To była moja najlepsza codzienna sukienka.

Poza nią miała tylko dwie. Z czego jedna była przeznaczona wyłącznie do kościoła.

– Już nigdy nie będzie najlepsza. Wszystkie twoje sukienki będą dużo ładniejsze. Później wybierzemy się do sklepów, a na razie kazałam mojej modystce przysłać kilka próbek. Zadzwonię po Fleur, żeby cię ubrała.

– Świetnie, wasza wysokość.

Dobry nastrój Pauline przygasł w jednej chwili. Zeszłej nocy Fleur pomogła jej się rozebrać i już po chwili Pauline zorientowała się, że nigdy się nie polubią. A raczej, że Fleur nigdy jej nie polubi.

Garderobiana miała złote włosy i chabrowe oczy, a poruszała się jak płatek śniegu. Była idealnie piękna, blada i zimna.

– Hmm… – mruknęła z francuskim akcentem i nie był to bynajmniej komplement pod adresem włosów, twarzy, odzieży ani charakteru Pauline.

Stangret i lokaje Halfordów byli w Spindle Cove przez cały czas, a Pauline doskonale wiedziała, jak szybko plotki rozchodzą się wśród służby. Na pewno wszyscy już wiedzą, że jest prostą wieśniaczką, niegodną względów garderobianej. Na pewno wszyscy będą nią gardzić, choćby za to, że przysparza im dodatkowej roboty.

Fleur rozpakowała zestaw owiniętych w bibułę pudełek, wyjmując z nich bieliznę i trzy niemal identyczne suknie.

– Wszystkie są białe – skomentowała Pauline.

– To chyba oczywiste – odparła księżna.

Pauline nigdy w życiu nie miała na sobie białej sukienki. Pewnie na chrzcie też nie. Biały był zarezerwowany dla dam, bo tylko damy mogły go utrzymać w czystości. Jasne kolory sukienek na wsi byłyby głupotą – już po trzech praniach by poszarzały. Z wyjątkiem fartuszków i skarpet, cała odzież Pauline była brązowa lub granatowa.

Przynajmniej do tej pory.

Najpierw odziano ją w śnieżnobiałą koszulę, a potem starannie zasznurowano w gorsecie. Księżna wybrała najprostszą z trzech sukni – poranną o wysokim stanie, z kilku warstw muślinu. Fleur przerzuciła ją prze głowę Pauline. Tkanina opadła na nią jak miękka chmura, otulając ulotnym, dziewczęcym urokiem. Spojrzała na

swoje ramiona, opalone i piegowate na tle muślinowej bieli.

Księżna obrzuciła ją spojrzeniem pełnym aprobaty.

– W końcu na kogoś pasuje w ramionach. To dobrze, że jesteś wiotka jak wierzba.

Jak wierzba? Pauline uznała to za komplement. Wierzby bywają przecież tu i ówdzie zaokrąglone.

Fleur przez chwilę dopasowywała suknię w talii, aż w końcu wzięła pasmo zielonej jak nefryt satyny, przepasała nią ciasno Pauline i zawiązała z tyłu na kokardę.

– Hmm… – Tym razem zabrzmiało to z satysfakcją.

– Teraz o wiele lepiej – zgodziła się księżna. – A co można zrobić z jej włosami?

Niewiele, sądząc po minie garderobianej.

Kiedy włosy Pauline zebrano w prosty węzeł na czubku głowy, spojrzała w lustro i oniemiała na widok zupełnie nieznajomej osoby. Idealnie uczesane włosy, koronkowa suknia bez jednej plamki.

Księżna rzuciła Fleur parę słów po francusku, odsyłając ją z pokoju, a potem odezwała się do tego lustrzanego odbicia:

– Zamierzam po raz pierwszy w życiu porozmawiać z kimś o moim synu. Właśnie z tobą.

Pauline otworzyła usta ze zdziwienia. Nawet gdyby chciała się odezwać, spojrzenie księżnej odebrałoby jej do tego chęć.

– Wiem, wiem. Ale z nikim z mojej sfery nie mogę poruszyć tego tematu, a do służby nie mam zaufania. Griffy doprowadza mnie do szaleństwa, muszę się komuś zwierzyć…

Griffy?

– Zmienił się od minionej jesieni. Zauważyłam to od razu, gdy tylko przyjechałam do miasta. Mój syn w dzieciństwie był łobuziakiem. Wyrósł na młodego utracjusza, bez przerwy grał w karty z kolegami albo wyprawiał rozpustne przyjęcia w swoim Winterset Grange. I zawsze miał mnóstwo kobiet…

Nie wątpię, pomyślała Pauline. Ciekawe, czy po ostatniej nocy dołączyłam do tej rzeszy.

– Ale od roku wszystko się zmieniło. Zimą nawet nie otworzył Winterset Grange. Nie ruszył się z miasta. Nie mam pojęcia dlaczego. Przestał chodzić do klubów, nie interesują go koledzy ani towarzystwo. I do tego ten zamknięty na klucz pokój…

– Zamknięty na klucz?

Próbowała nie zdradzić, jak bardzo ją to interesuje. Przez to wszystko, co

wydarzyło się w bibliotece, niemal zapomniała, jak się spotkali tamtej nocy. Rzeczywiście zachowywał się, jakby miał coś do ukrycia.

I całował się z nią, jakby pragnął ciepła i pocieszenia. Ale tego nie zamierzała mówić księżnej.

– Tak, na klucz – powtórzyła dama. – Stale, nocą i dniem. I tylko on ma ten klucz. Nie wpuszcza tam nawet służby, żeby posprzątała. To… nienormalne. Kto wie, co on tam trzyma?

– Mam nadzieję, że nie kolekcję odciętych głów. Może wyszukuje po wsiach bezczelne służące, a ja będę jedenasta z kolei…

Księżna odchrząknęła.

– Nie będziesz jedenasta. Będziesz jego pierwszą i jedyną żoną.

– Przecież pochodzę z ludu…

– Ród Halfordów jest wystarczająco szlachetny, żeby poradzić sobie z rozpustnym zachowaniem mojego syna. Przetrwa nawet dziewczynę z ludu w roli księżnej. Za to skończy się bardzo szybko, jeśli wkrótce nie pojawi się dziedzic płci męskiej…

– Przecież książę ma jeszcze wiele dziesiątków lat, by spłodzić syna. Wasza wysokość chyba sama nie wierzy, że on się ze mną ożeni…

– Musi. Ja nie mogę czekać przez dziesiątki lat. Nie rozumiesz tego. – Księżna zawahała się na moment. – Miałam nadzieję, że to tego nie dojdzie, ale widzę, że nie mam wyboru.

Wyciągnęła z kieszeni nieduży, puchaty przedmiot.

– Spójrz na to – powiedziała.

Okazało się, że to robótka na drutach z żółtej wełny, o nieokreślonym przeznaczeniu. Trochę przypominała czepek, trochę rękawiczkę i ogólnie nie wyglądała najlepiej.

– Co to takiego? – zapytała dziewczyna.

– Okropność! Tylko tak można to określić. Nie mam pojęcia, skąd mi się to wzięło. Z robótkami ręcznymi skończyłam jako czternastolatka. Przedtem trochę wyszywałam i tkałam koronki. Drutów nawet nie dotykałam. Za to od kilku miesięcy co wieczór siadam, żeby coś poczytać albo napisać, a trzy godziny później mam na podołku taki koszmarek.

Pauline zdusiła chichot.

– Śmiej się na zdrowie. To jest naprawdę zabawne.

Księżna obracała w dłoniach robótkę.

– Czy to ma być czapka dla dwugłowego węża? A może rękawiczka dla reumatyczki o trzech palcach? Nie mam pojęcia, a przecież ja to zrobiłam. Co za

wstyd. Naturalnie, nie mogę tego pokazać służbie, więc ukrywam je w pudle po kapeluszach i we wtorki przemycam do szpitalika dla podrzutków…

Pauline w końcu wybuchnęła śmiechem.

– Prowadzę życie eleganckiej, bogatej damy i proszę, jak nisko upadłam. Przecież to absurd!

– Może wasza wysokość powinna pójść do lekarza…

– Nie potrzebuję proszków ani toników, panno Simms. – Księżna zapadła się w miękkim fotelu, przyciskając wełnę do serca. Jej głos zmiękł. – Chcę mieć wnuki. Małe, tłuściutkie, ruchliwe dzieci, którym oddam całą miłość, jaka wzbiera mi w sercu. Pragnę ich rozpaczliwie. Nie wiem, co ze mną będzie, jeśli ich nie doczekam. Któregoś ranka Fleur przyjdzie mnie obudzić, a ja będę martwa, uduszę się w zwojach kilometrowego szala. Co za degrengolada…

Pauline wyjęła jej z rąk robótkę i przyjrzała się jej dokładnie.

– Miejscami jest całkiem niezła. Mogę nauczyć waszą wysokość, jak się robi mankiet.

Księżna chwyciła dzianinę i schowała ją do kieszeni.

– Chętnie, ale kiedy indziej. W tym tygodniu to ty masz się uczyć, jak zostać księżną.

– Wasza wysokość nic nie rozumie. Przecież ja nawet…

Pauline przerwała. Miała ochotę powiedzieć, że nawet nie ma ochoty za niego wychodzić, ale coś ją powstrzymało. Pewnie współczucie dla księżnej.

– Przecież on mi płaci – wykrztusiła. Nie mogła pozwolić, by ta nieszczęsna dama robiła sobie jakieś nadzieje. Zresztą Halford nie zabronił jej o tym mówić. – Płaci mi, żebym poniosła klęskę. Żebym opierała się wszystkim wysiłkom waszej wysokości, by nadać mi ogładę…

Księżna cicho odchrząknęła.

– Powiedział ci to, bo sam chce w to uwierzyć. Nie przyznaje się sam przed sobą, że jest tobą zafascynowany. Ty też masz swoją dumę. Gdybym ci powiedziała, że też cię oczarował, pewnie byś zaprzeczyła.

– Oczywiście. Bo to wcale nie jest prawda.

W chwili, gdy to powiedziała, jej serce mocno zabiło.

Kłamczucha, kłamczucha, kłamczucha.

Rzeczywiście, była nim oczarowana. Wszystko jej się w nim podobało. To, jak jej słuchał z autentycznym zainteresowaniem. Jak uratował ją przed upadkiem. Namiętne pocałunki. Cudowny, uzależniający zapach. Miała ochotę ukraść jego koszulę z pralni i trzymać ją pod poduszką.

Och, bogowie! To było okropne. W dodatku ciągle miała dygotki.

Do pokoju weszła Fleur i postawiła na toaletce tacę wyścielaną aksamitem.

Pauline westchnęła głośno. Na tacy leżały przeróżne, barwne klejnoty. Naszyjniki, bransolety, kolczyki i pierścienie iskrzyły się i migotały. I wszystkie były ogromne.

– Dziękuję.

Księżna odesłała garderobianą, a potem skupiła się na biżuterii.

– Perły na pewno nie. Nie dzisiaj – mruknęła, odsuwając sznur cudownie dobranych, opalizujących kulek. – Topaz też nie pasuje. Diamenty i rubiny będziesz mogła nosić dopiero za kilka lat…

Diamenty i rubiny? Ta kobieta była chyba szalona. Powiedziała to tak, jakby te klejnoty kiedyś miały należeć do Pauline. Wyraźnie nie chciała przyjąć prawdy do wiadomości.

– Czy wasza wysokość nie słyszała, co powiedziałam? – spytała teatralnym szeptem. – Gri… to znaczy książę płaci mi, żebym poniosła porażkę. Chce, żeby to była nauczka dla waszej wysokości, żeby wasza wysokość przestała go swatać.

Starsza pani położyła Pauline ręce na ramionach. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

– Ile ci obiecał?

– Tysiąc funtów.

Nie zrobiło to wrażenia na księżnej. Ujęła w dłonie twarz dziewczyny i uniosła ją do góry, aż Pauline wyprostowała się jak świeca.

– Właśnie. Dopiero kiedy siadasz prawidłowo, widać, że masz szyję jakby stworzoną do klejnotów.

Przez chwilę przechylała głowę Pauline pod różnymi kątami.

– Nie wierz, jeśli ktoś ci każe nosić szmaragdy tylko dlatego, że masz zielone oczy. To dowód braku wyobraźni. Zresztą odcień twoich oczu bardziej przypomina perydot. Ale to taki burżujski kamień…

Księżna puściła ją, odwróciła się i wzięła do ręki naszyjnik z jasnofioletowych kamieni w złotej oprawie. Zapinając go na szyi Pauline, powiedziała:

– To są twoje kamienie. Ametysty. Rzadki, królewski klejnot… a mimo to odpowiedni dla młodej kobiety.

Naszyjnik ułożył się na jej obojczyku. Pauline ze zdumieniem spojrzała w lustro. Księżna miała rację – barwa klejnotów świetnie do niej pasowała. Podkreślała złocisty blask włosów i kładła się delikatnym różem na policzkach.

Zresztą może to był rumieniec podniecenia. Z trudem mogła uwierzyć, że ma na sobie coś tak cudownego.

– Więc mój syn zaproponował ci tysiąc funtów… – powiedziała księżna. – Ten

naszyjnik jest wart dziesięć razy tyle.

Wielki Boże… Dziesięć. Tysięcy. Funtów. Dziesięć razy tysiąc. Jedynka z czterema zerami. Na jej szyi.

Nagle ogarnęło ją przerażenie. Nie mogła się ruszyć ani oddychać. Co będzie, jeśli przechyli głowę, łańcuszek się zerwie, bezcenny klejnot wpadnie w szparę w podłodze i przepadnie na wieki?

– Skup się na cenniejszej stawce w tej grze – poradziła jej księżna.

Pauline mogła tylko wpatrywać się w nią w lustrze.

Jakie to dziwne. Nie przypuszczała, że księżna jest szalona.

– Wasza wysokość, nic z tego nie będzie. – Wskazała gestem swoje odbicie. – On nie zechce kogoś takiego. Ani nie potrzebuje. Przecież to ósmy książę Halford, a ja jestem zwykłą służącą. Kompletnie nieodpowiednią. Proszę posłuchać, jak mówię. Proszę na mnie spojrzeć…

– To nie ja mam patrzeć.

Księżna zdjęła naszyjnik z jej szyi i odłożyła na tacę, a potem gestem poleciła jej wstać.

– Chodź ze mną. Zrobimy eksperyment.

Zaskoczona Pauline posłusznie wstała i poszła jej śladem. Dotarły na parter, a potem księżna zaprowadziła ją do dużej, otwartej sali. Wchodząc, spojrzała na nią znacząco i przyłożyła palec do ust.

Zwinięte dywany leżały pod ścianami. Pauline szybko się zorientowała dlaczego. Z salonu zrobiono salę szermierczą.

Na środku pomieszczenia stali naprzeciw siebie książę i jakiś zamaskowany człowiek. Byli ubrani w bufiaste spodnie pod kolana, watowane kamizelki i białe koszule. W dłoniach trzymali cienkie, giętkie szpady.

Nawet nie zauważyli ich obecności.

– *En garde* – powiedział człowiek w masce.

Zabrzęczała stal.

Zafascynowana Pauline patrzyła na finty i wypady szermierzy.

W odróżnieniu od przeciwnika, twarz księcia była wyraźnie widoczna. Pauline widziała każdą zmarszczkę i kroplę potu. Spocone włosy przywarły do czaszki, zwijając się w ciemne loki. Koszula też przykleiła się do ciała, ukazując mięśnie godne antycznej rzeźby.

Przeciwnik wymierzył błyskawiczny cios w brzuch księcia, ale ten odbił go jednym ruchem i natychmiast sam zaatakował. Walczył z gracją tancerza i zabójczą precyzją.

W końcu przeciwnicy znaleźli się znowu na środku salonu i po raz kolejny

skrzyżowali szpady. Ostrze przeciwnika przemknęło dosłownie o centymetr od twarzy Halforda. W każdej chwili mogło go oślepić lub zadać ranę.

Uważaj na siebie, chciała krzyknąć w pewnym momencie.

Księżna przeszkodziła jej, kładąc rękę na ramieniu.

W końcu oderwali się od siebie z dzikim pomrukiem. Każdy odskoczył o kilka kroków. Książę otarł pot z czoła i na moment odwrócił głowę w ich stronę.

I to wystarczyło.

Spostrzegł ją.

Spotkali się wzrokiem. Choć byli daleko od siebie, Pauline natychmiast przeszył dreszcz.

Halford musiał poczuć coś więcej niż dreszcz. Zamarł bez ruchu. Przeciwnik wykorzystał to i zaciął go w ramię. Koszulę splamiła czerwona krew.

– Och! – Przerażona Pauline zasłoniła usta dłońmi.

– Pełen sukces – mruknęła z satysfakcją księżna.

# 8

Griff jęknął z bólu, upuścił szpadę i przycisnął dłonią ranę.

– Do diabła, Del!

– To nie moja wina. Czemu przestałeś się bronić? – Jego przeciwnik odsunął maskę i rozejrzał się po salonie. Na widok panny Simms uśmiechnął się szeroko. – Witam, teraz rozumiem już wszystko.

Aha, ja też witam.

Pauline złożyła ukłon. Griff skłonił głowę.

Skąd to zaskoczenie? Chyba dlatego, że nie widział jej od tej rozmowy w bibliotece. I uścisku. I pocałunku, gorącego, jakby byli kochankami uwięzionymi w osobnych celach przez dziesięć lat i spotkali się na dzień przed pójściem na szafot.

Wielki Boże. Wielki Boże.

Dzisiaj postanowił znaleźć ją i porozmawiać krótko i rzeczowo, żeby wszystko sobie wyjaśnili i żeby coś takiego więcej się nie powtórzyło. Ale to nie miało zdarzyć się w ten sposób. Mieli być sami, ale na bezpieczny dystans. Kiedy on będzie wykończony po szermierce, a ona… będzie wyglądała inaczej niż w tej chwili.

Nic ci się nie stało? – spytała bezgłośnie.

Owszem, stało się. Był kompletnie oszołomiony.

Wczoraj zawróciła mu w głowie niestosownym zachowaniem i migoczącymi kryształkami cukru. Dziś już nie migotała. Miała na sobie prostą, białą jak śnieg suknię, przez którą przeświwywała opalona słońcem skóra.

Emanowała blaskiem.

Zawsze kochał ten pierwotny efekt, jaki kobieta wywierała na jego męskość. Kiedyś żył tylko dla takich chwil, dla tego instynktownego magnetyzmu. Kiedy do pokoju wchodziła kobieta emanująca tą niebiańską energią, jego wewnętrzny kompas natychmiast zaczynał ją wskazywać. Wewnętrzny chaos zmieniał się w zdecydowanie. Tak, jakby ze stanu: „Boże, co ja mam robić”, przechodził w stan: „To ta. Ją sobie wybieram”.

Do diabła. Pragnął jej. Od samego początku.

Tylko że to był kompletnie nieodpowiedni moment a ona była kompletnie nieodpowiednią kobietą. Jak to zrobić, żeby nikt z obecnych nie zorientował się, co z nim się stało na sam jej widok?

Nie wspominając o wciąż krwawiącej ranie.

Odwrócił się, odciął szpadą pasek płótna od koszuli i zabandażował skaleczenie.

– Wasza wysokość. – Del skłonił się głęboko, jak dworzanin.

– Lordzie Delacre. – Matka pochyliła głowę.

– Czy zrobi mi pani zaszczyt i i przedstawi swoją uroczą przyjaciółkę?

Nie zaczynaj, ostrzegł go Griff w myślach. Nie z nią.

Obaj od wielu lat współzawodniczyli ze sobą o względy kobiet. W młodości zrobili sobie z tego nawet sport, z zakładami i punktowaniem wyników. Griff dawno z tego wyrósł, ale Delacre wcale niekoniecznie. Całkiem możliwe, że dalej prowadził punktację.

– To mój gość – odpowiedziała księżna. – Panna Simms z Sussex.

– Bardzo mi miło panią poznać, panno Simms z Sussex. Jestem lord Delacre, z piekła rodem, jak twierdzą niektórzy.

Uniósł jej dłoń i ucałował.

Spojrzała spod oka na Griffa. Niemal słyszał, jak dokucza mu żartobliwie: Ty mnie nie pocałowałeś w rękę.

Ale uchroniłem cię przed upadkiem na twarz – odpowiedział uniesieniem brwi.

Uśmiechnęli się do siebie, ale w ułamku sekundy przypomnieli sobie o pocałunkach. I o tym, że właśnie porozumiewają się bezgłośnie w obecności postronnych osób.

Szyję Pauline oblał rumieniec. Griff odwrócił wzrok.

– Niech się pani nim nie przejmuje, panno Simms – wtrącił Delacre. – Jesteśmy obaj najlepszymi szermierzami w całym Londynie. Musimy.

– Czemu? – spytała.

– Bo jesteśmy też największymi niegodziwcami. – Puścił do niej oko. – Mistrzostwo w szermierce to najlepsza ochrona przed ciągłymi pojedynkami. Od dawna jest pani w Londynie?

– Dopiero od wczoraj, milordzie.

Księżna wtrąciła się do rozmowy:

– Rodzice panny Simms nie mogli wprowadzić jej w towarzystwo, więc podjęłam się nauczyć dziewczynę miejskiej ogłady.

– Sądząc po ranie Halforda, zapowiada się to obiecująco – zaśmiał się Delacre, a potem dodał półgłosem: – Wiem, co wasza wysokość planuje. Zaprzysiągłem

bronić go przed wszelkimi małżeńskimi pułapkami, więc powinienem się temu sprzeciwić. Ale tym razem chyba będziemy współpracować. Przez cały sezon zachowywał się jak mnich.

– Wszystko słyszałem – zirytował się Griff.

Del zignorował go i dodał poufnym tonem:

– Naturalnie, nasze plany są nie całkiem zbieżne. Wasza wysokość jest jego matką i chce go ożenić. Ja, jako przyjaciel, pragnę czegoś innego. Żeby wreszcie ruszył…

– Del!

– …się z domu – dokończył lord, z niewinną miną przykładając dłoń do serca. – Halford, o czym sobie pomyślałeś? Masz kosmate myśli. Wręcz chore.

Zdenerwowany Griff machnął szpadą, a potem dotknął skaleczonego ramienia. Mając takich przyjaciół…

– Wspaniale – ucieszył się Delacre. – Trzeba oprowadzić pannę Simms po mieście. Halford od dawna powinien rozprostować…

– Del!

– …nogi. – Lord uniósł dłonie pojednawczym gestem. – A wszyscy powinniśmy wieczorem pojawić się u Beaufetheringstone'ów.

Księżna westchnęła.

– Jeden jedyny raz w życiu muszę przyznać, Delacre, że wpadłeś na doskonały pomysł.

– Raczej koszmarny – mruknął Griff pod nosem.

– Zatem do wieczora. – Delacre pozbierał swoje rzeczy i skłonił się zdawkowo. – Idę. Muszę podokuczać przynajmniej trzem osobom przed herbatą, inaczej dzień będzie stracony.

Odwrócił się w progu i wskazał palcem Griffa.

– Podziękujesz mi za to później.

Raczej cię wypatroszę.

– Ale przecież ja dopiero co przyjechałam – zaniepokoiła się Pauline. – Nie mam nawet w co się ubrać.

Księżna uniosła brew.

– Dziewczyno, jak mało wiary ty we mnie pokładasz…

Griff wiedział swoje. Matka zawsze osiągała swój cel. Ale nawet jeśli nada pannie Simms wygląd godny młodej damy, nie naprawi w jednej chwili braków jej akcentu, edukacji, wychowania i talentów. Nie w jeden dzień.

Więc przestał się przejmować.

Do pewnego stopnia.

W kilka godzin później Pauline zrozumiała, dlaczego książę uznał, że tysiąc funtów to niewielka cena za tydzień towarzyszenia jego matce. Księżna potrafiła wydać dwa razy tyle w jedno popołudnie.

Najpierw odwiedziły krawcową – wiekową kobietę w turbanie, która bardziej przypominała wróżkę niż autorkę modnych strojów. Obrzuciła Pauline spojrzeniem dramatycznych, podmalowanych kredką oczu.

– Och, co mi tu wasza wysokość przyprowadziła? – spytała z niesmakiem.

– Potrzebujemy dla niej sukni na tydzień – odparła księżna. – Na dziś wystarczą twoje wzory z poprawkami, ale na jutro już nie. Suknia poranna, spacerowa i wieczorowa. Na piątek balowa. I musi w nich wyglądać oszałamiająco.

– Oszałamiająco? Toto? – Krawcowa cmoknęła wargami. – Wasza wysokość prosi o zbyt wiele.

– Ja nie proszę – odparła księżna, unosząc brew i lustrując kobietę surowym spojrzeniem.

W pomieszczeniu zapanowała lodowata, pełna napięcia cisza.

W końcu krawcowa klasnęła w dłonie. Oddziałek pomocnic rzucił się do pracy.

Pauline przez długie godziny tkwiła w miejscu jak strach na wróble, z rękami rozłożonymi na boki, pozwalając się mierzyć, owijać migotliwymi tkaninami i kłuć szpilkami.

Kiedy krawcowe skończyły pracę, zastąpiły je bieliźniarki. Potem gorseciarki. I modystki. Wreszcie rękawiczniczki. I szewc.

Pauline uświadomiła sobie, że elegancki wygląd wymaga nieprawdopodobnej ilości pracy.

Kiedy służba pod nadzorem księżnej układała stosy pudełek na dachu powozu, wzrok Pauline pobiegł ku sąsiedniej wystawie.

Ogarnęła ją radość.

To była księgarnia!

Zajrzała na wystawę przez oprawne w ołów szybki w kształcie diamentów, chłonąc i zapamiętując każdy szczegół: tytuły, rozłożone albumy z mapami i porządne szeregi książek na półkach. Ciekawe, czy ustawiono je alfabetycznie, według tytułów czy autorów? A może tematycznie? Albo zupełnie inaczej?

Popatrzyła na księżnę, pochłoniętą układaniem zakupów. Ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem i Pauline szybko zanurkowała w otwarte drzwi księgarni. Tylko na chwilkę.

Choć najchętniej zostałaby tu na długie tygodnie.

Sklep przenikał upajający zapach atramentu, kremu do skór i świeżego pergaminu. Do tego dochodziła woń starych tomów, tworząc idealne połączenie

nowości i starości. Miała podobne uczucie, gdy w Boże Narodzenie wchodziła do pachnącej przyprawami kuchni pana Fosbury.

Z tyłu dostrzegła ladę pokrytą tomikami starannie opisanymi jako „Nowości". Obok wyłożono próbki skórzanych opraw we wszystkich kolorach.

Podeszła do jednej z półek i pogładziła grzbiet tomiku poezji.

Pauline miała niewiele wspólnego z damami odwiedzającymi Spindle Cove – poza miłością do słowa drukowanego. Tak jakby każda kobieta, która nie potrafi sobie znaleźć miejsca w życiu – nieważne, czy dama, czy służąca – potrafiła odnaleźć się na kartach książki.

– Kim pani jest?

Z zaplecza wychynął księgarz. Rzucił jej ostre spojrzenie. Natychmiast oderwała palce od grzbietu książki i objęła je drugą dłonią, jakby się sparzyła.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

– Czego chcesz, dziewczyno? Jeśli sprzedajesz zapiekanki albo pomarańcze, zajdź od tyłu.

– Nic nie sprzedaję – odpowiedziała z tak silnym akcentem, że ją samą zabolały uszy. – Chciałam tylko popatrzeć na książki… – dodała najbardziej dystyngowanie, jak potrafiła, ale to nie poprawiło sytuacji.

Mężczyzna prychnął pogardliwie.

– Jak chcesz poczytać jakieś powieścidła, poszukaj ich w Leadenhall. Nie życzę sobie, żeby jakieś tam dziewuchy stały tu i się gapiły.

– Towarzyszę księżnej Halford. Czeka na mnie na zewnątrz.

– Niemożliwe – zaśmiał się na głos. – Rozumiem, że królowa Saby była dzisiaj zajęta. Zmykaj, zanim pogonię cię miotłą. To nie miejsce dla ciebie.

Nie była w stanie się ruszyć. Te słowa obudziły w niej bolesne wspomnienie. Książka wyrwana z kurczowo zaciśniętych, pobielałych palców. Bolesne uderzenie, od którego dzwoniło w głowie. Ostre, obraźliwe słowa.

To nie dla ciebie, dziewucho.

Chciała się odgryźć, jakoś mu odpłacić, tylko jak? Nie miała czym. Była bez grosza, brakowało jej ogłady i prawidłowej wymowy.

Miała wielką ochotę rzucić w niego tą książką, ale szkoda jej było tomiku.

Po prostu odwróciła się i wyszła, cała czerwona i rozdygotana.

Pewnego dnia będę miała własny sklep pełen cudownych książek, obiecała sobie w duchu. Będzie domem dla mnie, dla Danieli i innych osób. Nikogo stamtąd nie odeślę z kwitkiem.

Powóz stojący na zewnątrz przypominał piętrowy tort. Paczki i pudła zajmowały każdy kawałek wolnego miejsca.

Księżna pomachała do niej przez okno.

– Chodź wreszcie.

Pauline usłuchała. Mimo wszystko dowiedziała się czegoś przez tych kilka chwil spędzonych w księgarni. Popatrzyła na ceny zapisane na tabliczkach i teraz już miała pewność…

Za tysiąc funtów można kupić bardzo dużo książek.

Powinna zapomnieć o pocałunkach, dygotkach i książęcych smutkach. Zatrudniono ją w jednym, jedynym celu. Ma ponieść porażkę. I koniecznie musi jej się to udać.

# 9

**C**ztery haleczki.

Pauline w najśmielszych snach nie przypuszczała, że jedna kobieta może mieć na sobie cztery halki, i do tego naraz.

Ciekawe, czy zmieści się w drzwi. I niech jej Bóg pomoże, jeśli zachce jej się iść do toalety.

Gdy Fleur kończyła ją czesać, Pauline popatrzyła żałośnie na filiżankę herbaty. Pewnie przez cały długi wieczór będzie musiała cierpieć pragnienie.

– Słuchaj uważnie – powiedziała księżna. – Dziś w nocy będzie się toczyć gra o wielką stawkę.

Pauline skinęła głową.

– Jeśli chcesz, by cię podziwiano w towarzystwie, wszyscy muszą cię widzieć. Nie wolno ci się chować po kątach ani za palmami w donicach.

Zapamiętaj: palmy to twoi najlepsi przyjaciele.

– Za to wcale nie muszą cię słyszeć. Rozmawiaj z damami, ale nie za wiele. To samo dotyczy panów, w dwójnasób.

Rozmawianie czy unikanie rozmowy?

– Dziś pozna cię śmietanka towarzyska Londynu. Niech cię widzą jako uroczą młodą damę, pełną świeżości. Trochę tajemniczą, emanującą kwietnym urokiem. Jako kogoś, kogo chcieliby mieć wśród znajomych, ale nie mają pojęcia, jak się zbliżyć.

Z trudem szła korytarzem. Nie była przyzwyczajona do tak ciężkich sukni ani do pantofli na obcasach. W pewnym momencie potknęła się o dywan i mało nie przewróciła.

– Panno Simms. – Idąca przodem księżna obróciła się na pięcie. – Oduczyłaś się chodzić?

– Umiem chodzić, ale nie w czymś takim…

– Przede wszystkim wyprostuj się.

Pauline usłuchała, choć miała ochotę zrzucić z nóg te okropne pantofle i zaszyć się z powrotem w sypialni.

– Przestań myśleć o stopach, wyobraź sobie, że masz sznurek przyczepiony do pępka – poinstruowała ją księżna. – Pozwól, by pociągnął cię do przodu.

Zdumiewające.

Gdy usłuchała tej prostej rady, całe ciało posłusznie ruszyło do przodu. Poczuła się wyższa, pewniejsza siebie. Nie szła, tylko płynęła.

Gdy dotarły do szerokich schodów, ogarnęła ją trema. Wyobraźnia podsunęła jej obraz księcia, który stał u ich podnóża i czekał tam na nie, a raczej na nią.

Co za absurdalny pomysł.

Zresztą wkrótce się okazało, że wcale go tam nie było.

Wsiadły do powozu, z trudem mieszcząc się w nim w tych olbrzymich sukniach, i czekały na niego bite dziesięć minut.

– Przesadzasz, Griff – skarciła go księżna.

Nawet nie przeprosił.

– Musiałem dokończyć list.

Spojrzał przelotnie na Pauline i odwrócił wzrok.

Tyle na temat marzeń o zauroczeniu go urodą. W ciemności powozu, z włosami ściągniętymi gładko do tyłu, wśród tych wszystkich halek i spódnic wyglądała pewnie jak mysz utopiona w foremce z bezami.

Powóz zatrzymał się w dwie minuty po wyjeździe z Halford House.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczyła księżna.

– Już? – zdziwiła się Pauline. – Mogliśmy pójść piechotą.

Księżna popatrzyła na nią bez słowa, ale Pauline dobrze wiedziała, co to oznacza.

Księżne nie chodzą piechotą.

Wysiedli z powozu i stanęli w kolejce elegancko ubranych gości, czekających przed drzwiami rezydencji.

– Co się dzieje? Czemu czekamy? – spytała szeptem księcia, rozglądając się wokół.

– Żeby majordomus nas zaanonsował przed wejściem do sali balowej.

– Powie na głos, jak się nazywam?

– Oczywiście.

– Ale… przecież przez kilka lat obsługiwałam damy w Spindle Cove. A jeśli któraś z nich tu będzie?

– Simms to popularne nazwisko. A Sussex to duże hrabstwo.

– A jeśli ktoś mnie rozpozna po wyglądzie?

– To prawda wyjdzie na jaw, zabawa się zakończy i wszyscy ubawimy się kosztem mojej matki. – Wygładził surdut. – Szczerze mówiąc, wyglądasz dziś tak,

że nikt by cię nie rozpoznał.

Leniwie, władczo otaksował ją wzrokiem od stóp do głów. Ona też mu się przyjrzała, po raz pierwszy tego wieczoru.

Wielki Boże.

Znali się od trzech dni. I dopiero teraz miała okazję zobaczyć go po kąpieli, goleniu i w eleganckiej odzieży.

Wyglądał lepiej niż zwykle. A pachniał… jak erotyczny, rozgorączkowany sen. Gdy podszedł bliżej, wciągnęła w nozdrza jego zapach. Ta piżmowa woda kolońska… pewnie lokaj spryskuje nią koszule przy prasowaniu… w połączeniu z aromatem mydła i czystej męskiej skóry.

Najbardziej pociągający był głodny błysk w jego oczach, gdy ogarnął ją wzrokiem. Jak dzikie zwierzę, przyglądające się swej ofierze. Szukające miejsca, w którym pragnie zatopić zęby.

Ciekawe, czy coś dzisiaj jadł – przyszło jej do głowy absurdalne pytanie. Ale powstrzymała się przed zadaniem go na głos. Nie chciała się okazać nadmiernie troskliwa. Nie po to ją zatrudniono.

Nie zapominaj o tym, Pauline.

– Jak twoje ramię? – szepnęła. Nie mogła się powstrzymać.

– W porządku. Nic poważnego.

– Przecież krwawiłeś. Sama widziałam.

Lekceważąco machnął ręką.

– Zapomnij o moim ramieniu, Simms. Musimy porozmawiać o twoich piersiach.

Gorący rumieniec oblał jej policzki. Rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt tego nie słyszał.

– Są dwa razy takie jak normalnie – powiedział wprost. – Chyba spuchły. Trzeba wezwać lekarza. To nie może być zdrowe.

Pauline poczerwieniała jeszcze bardziej.

– Doskonale wiesz, że to z powodu gorsetu. Nic mi nie jest.

Poza nieznośnymi dygotkami w brzuchu. I nagłymi zaburzeniami oddychania w jego obecności.

Zacmokał.

– Pamiętaj, żeby się okropnie zachowywać.

Z tym na pewno nie będzie problemów.

Kiedy w końcu weszli do eleganckiej rezydencji, lokaj w liberii podał jej kieliszek ratafii. Choć wcześniej przyrzekła sobie nic nie pić przez cały wieczór, przyjęła napitek i pociągnęła szybki łyk.

Szybki łyk dał jej niezłego kopniaka. Ktoś szczodrze przyprawił ratafię brandy.

– Kurde! – zakrztusiła się mocnym alkoholem.

W sali zapadła cisza. Wszyscy eleganccy goście odwrócili się w ich stronę.

– Kurdyjski, owszem – wtrąciła księżna, spoglądając na tacę. – Też słyszałam, że ten zwyczaj się stamtąd wywodzi.

W sali znowu zapanował gwar rozmów, ale zdaniem Pauline wybieg księżnej nikogo nie oszukał.

Zbliżyła się do nich elegancko ubrana dama w średnim wieku, w towarzystwie dwóch córek, które wyglądały jak młodsze kopie niej samej. Wszystkie trzy nie spuszczały oczu z księcia.

– Wasze Wysokości, jak miło, że spotykamy się dziś wieczorem. Kimże jest wasza urocza przyjaciółka? – odezwała się dama.

– Panno Simms, to jest lady Eugenia Haughfell z córkami – przedstawiła je sobie księżna.

Pauline dygnęła.

– Jestem zachwycona, lady Haughfell. Panny Haughfell…

Już tych kilka słów było porażką. Eleganckie dziewczęta zachichotały zza wachlarzy.

– Skąd pani pochodzi, panno Simms? – spytała ich matka.

– Z Sussex, milady.

– Z jakiej rodziny?

– Jej ojciec jest posiadaczem ziemskim. Rodzice nie mogli wysłać jej do Londynu, więc ja ją zaprosiłam – wyjaśniła księżna.

– Och, wasza wysokość jest wielce miłosierna. – Lady Haughfell wygięła wargi, spoglądając na Pauline.

Odpłynęły wśród chichotów, pozostawiając Pauline gorycz po tych złośliwościach.

– Haughfell, dziewczyno – skarciła ją księżna na stronie. – Nazywają się Haughfell.

Pauline zmarszczyła nos.

– A co ja powiedziałam?

– Lady Chochoł.

– Ojej. – Pauline skrzywiła się i poszukała wzrokiem damy i jej córek. W sumie nie za bardo się pomyliła.

– Nie, nie. Moim zdaniem brzmiało to bardziej jak lady Kufel. W sumie, obie wersje pasują. To okropna rodzina, dobrze, że ktoś im w końcu dokuczył. – Wyjął z dłoni Pauline kieliszek z ratafią i wypił ją jednym haustem. – Zdaje mi się, że będę się dziś z wami nieźle bawił.

Pauline wcale nie było miło, że jej błędy tak go cieszą. Próbowała zignorować ten cios zadany swojej dumie. Z drugiej strony, trzeba pracować tak, żeby się to podobało szefowi. Po to ją zatrudnił. Baśniowa przemiana w wykonaniu praktycznej dziewczyny. Żadnych magicznych transformacji. Ani oszałamiającego romansu. Tylko ciężka praca, realizacja planów… a w nagrodę wymarzona księgarnia.

Więc dlaczego miała nadzieję na coś więcej?

Pewnie ratafia zawróciła jej w głowie.

Ruszyli w kierunku eleganckiej sali balowej, Pauline poczuła się jeszcze bardziej nieswojo. Sufit wspierał się na niezliczonych, białych jak śnieg, wysokich kolumnach. Nigdy w życiu nie widziała tylu płonących świec naraz.

– Nie podołam temu wszystkiemu – poskarżyła się.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział. – Właśnie dlatego tu jesteś.

Podał jej ramię. Oparła na nim dłoń w rękawiczce.

Majordomus zaanonsował ich nadejście ze szczytu schodów.

– Jego wysokość książę Halford. Jej wysokość księżna Halford. Panna Simms z Sussex.

Wszystkie głowy w sali odwróciły się w ich stronę. Gdy schodzili po schodach, Pauline dosłownie czuła na sobie ciekawskie spojrzenia.

– Co teraz? – spytała, uśmiechając się z napięciem.

– Obejdziemy salę, a potem rozstaniemy się na resztę wieczoru. Ty zostaniesz z moją matką.

– A dokąd ty pójdziesz?

– Gdzie indziej.

Kiedy spacerowali, gawędząc z gośćmi, przymknęła na moment oczy i pomyślała o tym, jak będzie ustawiać piękne, nowiutkie książki na półkach w starej aptece. I objadać się budyniem z Danielą. Liczyć funty otrzymane od księcia.

Pewnie przez to nie zauważyła smugi wosku na podłodze i pośliznęła się na niej.

Cholera… jasna cholera.

Ramię księcia natychmiast się napięło, podtrzymując ją i przywracając jej równowagę. Czuła, że zrobił to instynktownie. Znów ten jego błyskawiczny refleks.

Podeszli do wazy z ponczem. Księżna oddaliła się, rozmawiając z jakąś damą w turbanie ozdobionym strusimi piórami. Gestem poleciła Pauline, by poszła za nimi.

– Wasza wysokość – szepnęła Pauline do Griffa. – Proszę już puścić moją rękę.

– Nie mogę.

– Błagam, zachowaj szlachetne odruchy na inną okazję. Owszem, jestem

przerażona tymi wszystkimi obcymi twarzami. Ten wieczór ma pewno będzie pełen upokorzeń. Ale to część pracy, której się podjęłam. Więc daj mi ją wykonać.

– Ja… naprawdę nie mogę. – Odsunął się od niej odrobinę, żeby pokazać, o co chodzi. – Zaczepiłem o coś guzikiem.

Pauline też spróbowała się odsunąć, ale nie udało jej się to.

– Och, nie…

Podczas pośpiesznej przeróbki sukni krawcowa niestarannie wykończyła jeden ze szwów. Kiedy Griff podtrzymał Pauline, zaczepił guzikiem mankietu o nitkę i zaplątał się w nią na dobre.

– Zaraz to odczepię – powiedział spokojnie, podając jej szklankę i napełniając ją ponczem. – Nic się nie bój. Mam wieloletnią wprawę w wyplątywaniu się z bliskich związków z kobietami.

Złapał rękaw wolną ręką i pociągnął solidnie. Nitka nie puściła, ale Pauline poczuła, że zdradziecki szew za chwilę puści na całej długości. Odrobina ponczu ulała się z jej szklanki z powrotem do wazy.

– Nie rób tego. – Złapała go na wszelki wypadek za rękę. – Rozerwiesz szew. I opadnie ze mnie cała suknia.

Odwrócił się do niej i objął ją płonącym, głębokim spojrzeniem.

Nie. Nie może mi tego zrobić.

Pauline rozejrzała się po sali balowej. Rozmawiali ze sobą co najmniej minutę. Książę cały czas trzymał ją pod rękę. Nie umknęło to uwadze widzów. Wszyscy ich obserwowali – a szczególnie damy. Niektóre z zazdrością, inne władczo, jakby kiedyś był gościem w ich łóżku.

Ale wszystkie byłyby zachwycone, gdyby ją upokorzył.

Wprawdzie taki był cel dzisiejszego wieczoru, ale to byłoby…

– Nie zrobiłbyś tego.

– Nie zrobiłbym – zgodził się. – Kiedy zrywam z kobiety odzież, zwykle robię to w ustronnym miejscu.

Pochylił głowę ku drzwiom prowadzącym do ogrodu.

– Wyjdźmy na świeże powietrze i zróbmy z tym porządek.

Wciąż trzymając ją pod rękę, ruszył z powrotem przez salę. Tym razem jednak nie udało im się przejść bez przeszkód. Co chwila ktoś ich zatrzymywał, chcąc zamienić z nim kilka słów.

Albo więcej niż kilka.

Pauline odpowiadała monosylabami i uśmiechała się miło, żeby nie przedłużać rozmów. Ku jej irytacji okazało się, że im mniej mówi, tym większą zdobywa sobie sympatię dam i dżentelmenów.

– Skończ z tym wreszcie – powiedział Griff.

– Z czym?

– Z tą udawaną nieśmiałością.

– Staram się nie angażować – odpowiedziała.

– Owszem, ale to błąd. Zadufani w sobie ludzie uważają milczenie za komplement. Dzięki temu mogą bez przeszkód mówić o sobie…

– Halford! – Jakiś mężczyzna o zaczerwienionej twarzy stanął im na drodze.

Wielkie nieba. Jak to się stało, że szli tak powoli? Drzwi do ogrodu były wciąż o kilkanaście metrów przed nimi.

Mężczyzna energicznie potrząsnął dłonią Griffa.

– Nie widziałem cię od wieków, ty draniu. Pół miasta plotkuje, że umarłeś na ospę. – Wyszczerzył zęby w stronę Pauline. – Kto to taki?

– Panna Simms z Sussex. Gości u mojej matki. Panno Simms, to jest pan Frederick Martin.

Mężczyzna skłonił się i konspiracyjnie puścił oczko do Griffa.

– Trochę jesteś zaborczy, co?

– Jest nowa w Londynie.

Z kąta, gdzie ulokowano niewielką orkiestrę, dobiegły pierwsze tony walca.

– Pozwolisz chyba, że porwę tę damę do tańca. – Martin wyciągnął dłoń w białej rękawiczce i złożył elegancki ukłon.

– Panno Simms, czy zrobi mi pani ten zaszczyt?

Pauline ogarnęła panika.

– Och, ale ja…

– Halford nie będzie miał nic przeciwko temu. Zawsze był szczodry, jeśli chodzi o damy.

Pauline nie wiedziała, co ma oznaczać ta uwaga, ale i tak jej się nie spodobała.

– Nic z tego. – Książę westchnął ciężko. W jego głosie brzmiało powątpiewanie, jakby sam nie wierzył w słowa, które właśnie zamierzał wypowiedzieć. – Ten walc należy do mnie. Obiecała mi go.

Pociągnął ją prosto na parkiet.

Pauline starała się nie okazywać strachu.

– Co takiego? Zaraz, przecież ja nie mam nawet pojęcia jak…

– Poprowadzę cię. Tylko w ten sposób uda nam się stąd umknąć.

Zaczęli wirować po sali. Dziwacznie wygięte ramię Griffa przypominało ptasie skrzydło, bo wciąż nie mógł odczepić guzika od stanika jej sukni. Nie mógł jej też objąć i porządnie poprowadzić. Musiała za nim biec, robiąc dziwaczne, drobne kroczki.

Wreszcie dotarli do drzwi prowadzących na taras.

– Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak tańczył walca – zauważyła jakaś wiekowa matrona.

– To węgierskie wariacje, madame. – Otworzył drzwi przed Pauline. – Cały Wiedeń tak tańczy w tym sezonie.

Jeszcze chichotała, gdy zeszli do ogrodu.

– To było sprytne, muszę przyznać.

– Uwolnij mnie teraz – powiedział.

– Zachowujesz się, jakby to była moja wina. Guzik jest przecież twój. Zahaczyłeś go, bo jesteś zbyt opiekuńczy. Gdybyś pozwolił mi się potknąć, bylibyśmy już w połowie drogi do domu…

Sięgnęła w to miejsce dłonią w rękawiczce, ale nie potrafiła nic wyczuć. Wyciągnęła więc ku niemu rękę.

– Pomóż mi zdjąć rękawiczkę.

Najpierw rozluźnił wstążkę pod łokciem, a potem zabrał się do rozpinania guziczków między łokciem a nadgarstkiem. Pauline męczyła się pół wieczoru, żeby je zapiąć, a on poradził sobie z nimi w dziesięć sekund.

Uniosła brew.

– Coś mi podpowiada, że robiłeś to już przedtem.

– Może ze dwa razy.

Pewnie z tysiąc, dopowiedziała sobie w myśli.

Pochwycił ją za przegub, uniósł dłoń do ust i schwytał zębami środkowy palec rękawiczki, po czym powoli ściągnął ją z dłoni.

Ruch był zmysłowy, wręcz hipnotyzujący. Kiedy oswobodził jej rękę, zapomniała, po co to zrobił.

– Och. Chwileczkę…

Wsunęła dłoń między ich ciała, badając miejsce, gdzie jego guzik zaczepił się o staniczek sukni. Były ze sobą beznadziejnie splątane. Nie mogła tam zajrzeć, bo przeszkadzały jej wysoko podniesione piersi.

– Widziałabym lepiej, gdyby nie ten głupi gorset – powiedziała.

– Gorset też umiem zdjąć.

Posłała mu karcące spojrzenie, ale nie zauważył. Wpatrywał się płomiennym wzrokiem w jej biust.

– Hmm…

– Przepraszam. Jestem tylko mężczyzną. Łatwo się dekoncentruję.

Zarumieniła się, zadowolona mimo woli. Do tej pory jej piersi na nikim nie robiły wrażenia.

– Na szczęście ja jestem jeszcze w stanie się skupić – mruknęła. – Zdejmij surdut, to będziesz miał obie ręce wolne. Jeśli nawet wtedy nie uda nam się odczepić tego guzika, będziesz mógł spokojnie poszukać nożyczek albo noża.

– Wiedziałem, że jesteś mądra.

Bez powodzenia próbował uwolnić się z surduta, miał zbyt umięśnione ręce, a surdut był dopasowany.

– Bez lokaja nie da rady.

– Ja będę twoim lokajem. W końcu jestem przecież służącą.

Wyciągnął do niej rękę.

– Przytrzymaj mankiet.

W ten sposób rozpoczęli kolejny absurdalny taniec tego wieczoru. Książę wymachiwał ramieniem, ona próbowała przytrzymać rękaw, jednocześnie unieruchamiając drugi mankiet, żeby nie rozerwał stanika. Skończyło się na tym, że bez sensu kręcili się w kółko. Jeśli ich pierwszy walc miał coś z węgierskich tańców, drugi pochodził chyba prosto z księżyca.

– Chyba zmienię krawca na gorszego – warknął książę.

– Może spróbuję w ten sposób…

Odwróciła się ku niemu i wsunęła dłoń pod klapę surduta. Poczuła pod palcami jedwabną kamizelkę i twarde mięśnie. Serce zabiło jej mocno, kiedy musnęła coś, co przypominało sutek, ale nie przejęła się tym, tylko przesunęła dłoń w drugą stronę.

– Unieś trochę rękę.

Uchylił się, jakby go połaskotała.

– Nie ruszaj się. Jestem w tym dobra, słyszałeś przecież.

Przekręciła ramię i poruszając palcami, przesunęła je jeszcze dalej.

– Nikt nie wejdzie głębiej niż ja.

– Dobry Boże, Simms. To nie poród źrebaka.

– Już mało brakuje. – Wsunęła palce do rękawa.

– Simms!

Podniosła wzrok. Stali zaledwie o kilka cali od siebie. Ich wargi niemal się stykały.

Podświadomie zacisnęła palce na jego ramieniu. Skrzywił się.

– Och, przepraszam. Zapomniałam o ranie…

– Nie chodzi o ramię, Simms, tylko o wszystko naraz. Jesteśmy sami w ogrodzie. Nie mogę się powstrzymać od wpatrywania się w twoje piersi… a ty gnieciesz mi kamizelkę. Czas spojrzeć prawdzie w oczy. Jeśli chodzi o unikanie intymności, to wcale nam to nie wychodzi.

– Ale… mogło być gorzej…

– Trudno to sobie wyobrazić.

Nie wiedziała, co jej kazało odpowiedzieć w ten sposób… słowa same spłynęły jej z ust:

– Na przykład mógłbyś mnie pocałować…

# 10

**P**ocałować cię – powtórzył Griff jak echo. Chciał, żeby to zabrzmiało jak jakieś nieznane mu uczucie wyrażone w obcym języku, a nie myśl, która od dawna chodziła mu po głowie.

Była taka bliska i ciepła. Jej zręczne, impertynenckie ręce dotykały jego ciała, przypominając, że od dawna nie zaznał kobiecego dotyku, pieszczoty, czułości. Ani troski.

Najgorsze było to, że jej dotyk wcale nie był kojący, tylko prowokujący, pobudzający, rozpalający go do białości. Podrażniła nie tylko świeżą ranę, ale wypalone, puste przestrzenie jego serca.

– Masz rację – powiedział. – Pocałunek na pewno pogorszyłby sytuację.

– Wielki Boże.

Pochyliła się i dotknęła czołem jego piersi. Potem odsunęła się nieco. Potem znowu stuknęła go głową. Po kilku powtórzeniach dotarło do niego znaczenie tego dziwnego gestu.

Uderzała głową w mur.

– To koszmarne – jęknęła. – To niemożliwe. Moje życie było wystarczająco beznadziejne już przedtem. Jaką trzeba być niezdarą, żeby ponieść porażkę w ponoszeniu porażki?

– Nie rozumiem.

Pociągnęła nosem i otarła go w jego chusteczkę, nie wyciągając jej z kieszonki.

– Wszyscy zawsze twierdzili, że Daniela i ja mamy dobre chęci. Czyli, że ich zdaniem nie potrafiłyśmy niczego zrobić rzeczywiście dobrze.

Jej miękkie, jędrne piersi napierały na jego ciało. Przestąpił z nogi na nogę. Nic mu to nie pomogło.

– Nieraz byłam poniżana – tłumaczyła dalej. – Dzień, w którym się spotkaliśmy, był chyba najgorszy w moim życiu. Wszystko szło nie tak. Zgodziłam się pojechać z tobą do Londynu, bo to była moja szansa. Uznałam, że bez trudu okażę się beznadziejna w towarzystwie. – Głos jej się załamał. – Ale okazało się, że nie potrafię nawet odnieść porządnej porażki…

Poruszyła dłonią, tkwiącą głęboko w jego rękawie, przez co jej piersi wykonały taneczne pas.

Westchnął głęboko. Trzeba przejąć kontrolę nad sytuacją, i to szybko, bo straci ją na zawsze.

– Słuchaj, Simms. Przede wszystkim zachowajmy spokój.

To dotyczy również ciebie, powiedział w duchu do pewnej części swego ciała.

– Po pierwsze, wyciągnij rękę z mojego rękawa.

Usłuchała.

Wskazał stojącą tuż obok ławkę.

– Teraz siadaj. Daj mi chwilę, a zrobię z tym porządek.

Zdjął rękawiczki i przesunął palcami po zaplątanym w nitkę guziku. Obrócił nim kilka razy, szukając luzu. Zmuszał się do spokoju. Pośpiech tylko pogorszy sprawę. To zadanie wymagało cierpliwości.

Cierpliwości i niezwykłego opanowania.

Boże, co się z nim działo. Przez te włosy koloru brandy miał ochotę się napić. Zamiast tego odetchnął głęboko. I to był błąd. Pachniała francuskim mydłem, pudrem i czystą, świeżą bielizną. Rozpaczliwie zapragnął posmakować jej nagiej skóry. Przesunąć językiem po tej delikatnej, wdzięcznie wygiętej szyi, aż po zagłębienie ramienia.

A potem niżej…

Niżej, niżej, niżej.

– Miałam z tuzin pomysłów na to, jak się dziś wieczór skompromitować – powiedziała cicho. – Wszystko sobie przemyślałam.

– Na przykład?

– Na początek objadać się jak prostaczka. Panom nie podoba się żarłoczność u dam.

To było coś nowego.

– Naprawdę? – zapytał.

– Oczywiście, że tak. – Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. – Po drugie, zamierzałam ciągle upierać się przy swoim zdaniu. Dama nigdy nie powinna mówić, co myśli…

– Tego na pewno nie nauczyłaś się od mojej matki. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ta kobieta coś przemilczała.

– Rzeczywiście, nie od niej. Wyczytałam to w książce – odparła i dodała afektowanym tonem: – Chyba tylko wąsy nad kobiecymi wargami są dla dżentelmenów bardziej odpychające niż uwagi o polityce wygłaszane przez damę. No cóż, wąsy mi nie wyrosną, ale mogę wygłosić co najmniej sześć szokujących

komentarzy na temat praw zbożowych…

– Praw zbożowych? – nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

– Nie uważasz, że to niewłaściwe?

– Zdaje mi się, że przeceniasz męskie zdolności do skupienia się na prawach zbożowych, jeśli mają przed oczami coś takiego.

Skierował wzrok na jej biust.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała rozbawionym szeptem. – Ja też ciągle się im przyglądam. Ten gorset to szczytowe osiągnięcie inżynierii.

– Raczej czarnej magii.

– Fakt, tworzy niezłą iluzję.

Ujęła jego dłoń i przyłożyła sobie do piersi.

Griff zamarł bez ruchu, czując, jak pulsuje w nim żądza.

– Wyściółka jest z bawełny, czujesz? – spytała.

Położyła swoją dłoń na jego ręce, pomagając mu wyczuć warstwę tkaniny, pod którą kryło się jej ciepłe ciało.

– Owszem, czuję – odpowiedział, z trudem przełykając ślinę.

Ją też wyczuwał. Ciepłą, mocną, pociągającą.

– Widzisz? Nie są prawdziwe. To też przemawia przeciwko mnie.

Znowu przybrała ten dziwny ton głosu:

– „Młoda dama, która używa sztucznych sposobów, by przyciągnąć wzrok mężczyzny, nigdy nie zyska jego podziwu”.

Spojrzała mu prosto w oczy i wyznała:

– Nie jestem dziewicą.

Do diabła. W jednej chwili dostał pełnej erekcji, tak błyskawicznie, jakby to był pojedynek na szpady. Zresztą nawet w czasie pojedynku nie byłby w stanie zareagować z taką szybkością.

– To nic nie da – odpowiedział. – Skąd ten pomysł? Ja też nie jestem prawiczkiem.

– Nie przypuszczałam, ale…

– Żadne „ale”. Myślałem, że usłyszę coś w rodzaju: „Mam zakaźną chorobę skóry” albo „kiedy szczytuję, pohukuję jak sowa”. To mogłoby podziałać. Zresztą, to drugie ostrzeżenie wcale niekoniecznie, bo ciekawość mogłaby przeważyć szalę.

– Ale przecież dżentelmenów nie interesują dziewczęta, które straciły cnotę. Pani Worthington tłumaczy to bardzo jasno.

– Kim jest ta niedoinformowana dama, którą ciągle cytujesz?

– Napisała podręcznik etykiety. Nie słyszałeś o nim? *Mądrości pani Worthington dla młodych dam*. Wyjaśnia tam dokładnie, co dobrze wychowana panna powinna

robić, a czego jej nie wolno.

– Dostałaś to od mojej matki?

Tytuł brzmiał znajomo, ale to niemożliwe, żeby taka książka była w jego bibliotece.

– Skądże znowu. Znam ją od wielu lat. W Spindle Cove jest pełno jej egzemplarzy. Panna Finch, teraz lady Rycliff, chciała ją wycofać z obiegu. We wsi są setki tych książek. Walają się wszędzie.

Griff zmarszczył brwi na wspomnienie popołudnia spędzonego w wiosce.

– Teraz sobie przypominam. Były ich całe stosy. A te panie wyrywały kartki i robiły z nich podkładki pod filiżanki.

Skinęła głową.

– W czasie wojny zawijano w nie proch dla milicji, a teraz, kiedy wojna się skończyła, robią te podkładki. W każdym razie wiele lat temu zabrałam jedną z tych książek do domu. Wiedziałam, że nikt jej nie będzie potrzebował, a chciałam mieć własną. Poza tym byłam ciekawa, dlaczego jej treść tak drażni wszystkie te młode damy. Owszem, co najmniej połowa to głupoty, trzeba to przyznać. Ale reszta to praktyczne porady. Ta lektura była dla mnie jak okno, przez które mogłam zajrzeć do innego świata, do chwili… – spuściła wzrok – …gdy mój ojciec je zatrzasnął na dobre.

– Twój ojciec?

– Znalazł książkę. I zrozumiał, że chcę od życia czegoś więcej… On zawsze był mną rozczarowany, ale wtedy zrozumiał, że mnie również nie podoba się życie, jakie prowadzę w jego domu. Dostał szału…

– Co ci zrobił? – spytał Griff, czując, jak narasta w nim gniew.

Zawahała się.

– Powiedz mi.

– Wziął książkę w rękę. – Popatrzyła na liść trzymany w dłoni. – Powiedział tylko: „To nie dla ciebie, dziewucho”. I uderzył mnie nią. Prosto w twarz.

Zabiję go.

Wściekłość ogarnęła Griffa jak błyskawica. Zaczął fantazjować o tym, że natychmiast popędzi konno do Sussex i rozprawi się z tym draniem. Nie wiedział tylko, czy pozwolić mu najpierw błagać o litość, czy od razu…

– Miałam wtedy dziewiętnaście lat – dodała.

Zamknął oczy i wziął głęboki oddech, zmuszając się do porzucenia myśli o zemście i skupienia uwagi na kobiecie, która potrzebowała jego wsparcia, tu i teraz.

– Dziewiętnaście – powtórzyła. – Byłam już dorosła. Pomagałam w

gospodarstwie i zarabiałam pieniądze w gospodzie. A on uderzył mnie jak dziecko, tylko za to, że chciałam stać się kimś lepszym. Uczyć się. – Wypuściła z palców liść, który upadł, wirując, na ziemię. – Potem wrzucił książkę do ognia.

Griff zaklął i przysunął się do niej na ławce. Zostawił w spokoju zaplątany guzik. Nie obchodzili go balowi goście ani to, co mogą sobie pomyśleć. Chciał tylko ją bronić, ustrzec od zła i sprawić, by poczuła się bezpieczna – co, jak podejrzewał, mogło okazać się bardzo trudnym zadaniem. Zawiodła się już na tylu osobach…

– Nic takiego się nie stało. – Uniosła podbródek z dzielną miną. – Wzięłam kolejny egzemplarz i lepiej go schowałam. Kiedy zniknął, wzięłam kolejny. W końcu znalazłam sposób, żeby go przechytrzyć na dobre.

– Jaki?

Na jej ustach zaigrał uśmieszek.

– Nauczyłam się jej na pamięć. Od deski do deski. I już nic nie mógł wybić mi z głowy, prawda?

Jednym ruchem przechylił jej twarz ku sobie. W oczach migotał jej blask pochodni. Odważna i piękna.

Zadumał się nad tym, jak wiele różnych emocji w nim budziła. Gniew, podziw, pożądanie, które paliło jak ogniem. Ogarnęła go czułość tak wielka, że z trudem mógł ją znieść.

Ujął w dłoń jej podbródek i pogładził śliczny policzek, który kiedyś tak okrutnie uderzono.

– Nigdy już do niego nie wrócisz.

– Nie – odpowiedziała. – Założę własną wypożyczalnię, pełną książek kompletnie nieodpowiednich dla młodych dam.

Rzuciła okiem w stronę pałacu.

– Tylko najpierw muszę wrócić do sali balowej, żeby na nią zarobić.

Zapatrzył się w jej delikatny profil, zdumiony determinacją i siłą, jakie w nim dostrzegł. Nie miała pojęcia, jak niezwykłą jest osobą.

Może…

Do diabła. Może powinien jej to powiedzieć. Przyciągnąć do siebie, nachylić jej twarz ku swojej. I powiedzieć prawdę.

Jesteś cudowna. I mądra. Kompletnie zawróciłaś mi w głowie i nie podoba mi się to. Nie mam ochoty wariować na twoim punkcie. Dość wycierpiałem z powodu kobiet, które zakradły się do mojego serca i opuściły je po tygodniu. Ale jeśli ci nie powiem, jaka jesteś, to będę najpodlejszy z podłych. Więc słuchaj. Jesteś niezwykła.

– Twoja szpilka – odezwała się.

– Co? – W głowie mu się kręciło.

– Szpilka do krawata. Możemy nią przeciąć nitkę.

Rzeczywiście była mądra. Jak nikt inny.

Chwyciła palcami diamentowe cacko.

– Jak to się zdejmuje?

– Ma zatrzask. – Sięgnął pod krawat. – Tutaj. Ja przytrzymam od spodu, a ty pociągnij z wierzchu.

Zacisnęła palce i zaczęła kręcić spinką.

– Uważaj – ostrzegł. – Powolutku.

– Już prawie mam.

Z zachwytem przyglądał się, jak ściągnęła delikatne brwi i w skupieniu przygryzła dolną wargę.

W końcu udało się odczepić spinkę.

– Jest! – Podniosła ją z takim triumfem, jakby właśnie wyciągnęła miecz z kamienia albo znalazła klucz do groty Aladyna. – Udało nam się. Gotowe – powiedziała po chwili, odcinając guzik. – Nasza umowa uratowana. Jesteśmy wolni.

– Tego bym nie powiedział.

Przyciągnął ją do siebie i zagarnął jej usta śmiałym pocałunkiem. Zagłębił się weń bez reszty, upewniając się, czy Pauline smakuje tak samo pomimo jej nowego, eleganckiego stroju. Czy jego dotyk rozpozna krągłości jej ciała uformowane balową suknią? Pozostała silna, ciepła, mocna i pełna życia. Całował ją chciwie i bez wytchnienia, zachwycając się jagodowym posmakiem jej ust i oszałamiającą nutą brandy na wargach. Wdzierając się głębiej i szybciej, niż zrobiłby to przyzwoity mężczyzna – bo bał się, że w każdej chwili może zostać odepchnięty.

Pauline go nie odrzuciła. Oddała pocałunek, przyciągając go do siebie z cichym, rozmarzonym westchnieniem. Była taka szczodra, tak rozdzierająco czuła…

Całował jej szyję, czując, jak zagłębia palce w jego włosy, aż rozkoszny dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie. Zachęcony, położył dłoń na jej piersi. Chciał ją poczuć, wypełnić dłoń ciepłem jej ciała.

Zamiast tego chwycił bawełniane wypełnienie.

– Cholerny gorset – warknął.

– Myślałam, że ci się podoba.

– To mi się podoba. – Wsunął dłoń pod krawędź dekoltu. – Ty mi się podobasz.

Westchnęła, gdy przesunął dłoń niżej, szukając jej drobnej, jędrnej piersi. Znalazł twardy sutek i zaczął go masować.

Gdy znowu posiadł jej usta, nieśmiały dotyk języka sprawił, że przeniknął go dreszcz. Zaczęła go pieścić raz za razem, jakby malowała go słodyczą, leniwymi pociągnięciami pędzla.

Wezbrał w nim niski, dziki pomruk tęsknoty. Najchętniej wepchnąłby obie ręce pod tę okropną suknię i objął nimi jedwabiste ciało. Poczuł jej nagość na swojej skórze. Usłyszał jęki rozkoszy, jakich nigdy w życiu jeszcze nie wydawała.

Pragnął… więcej.

Całych dni i nocy pełnych pieszczot, bez chwili samotności.

Ale wiedział, że to się nie spełni. Najsamotniejsze chwile jego życia zdarzyły się w intymnej bliskości kobiety. Może nie aż tak niewinnej, ale to nieważne. Przerwał pocałunek.

– Griff…

– Nie powinienem tego robić. – Zabrał dłonie spod sukni i musnął jej policzek przelotnym pocałunkiem. – Przecież uzgodniliśmy, że to… – pocałował ją jeszcze raz – …nie powinno się więcej zdarzyć. – Pocałował ją znowu, nieco dłużej. – Bo to jest bardzo zły pomysł.

Znowu dotknął jej policzka wargami.

Nie otwierała oczu. Długie rzęsy wyglądały jak wachlarze na tle policzków.

– Czego właściwie mieliśmy nie robić? Może zademonstrowałbyś mi to po raz ostatni? Jeden jedyny…

Wielkie nieba. Najchętniej przeciągnąłby tę demonstrację na długie godziny i objąłby nią całe jej ciało. Na tym polegał problem.

Pocałował ją w czubek nosa.

– Proszę.

Otworzyła oczy, a ich głęboka zieleń oszołomiła go do reszty.

– Dręczysz mnie bezlitośnie.

– A ty jesteś bezczelna.

– No cóż, sam sobie tego życzyłeś – stwierdziła, wzruszając ramionami.

Tak. Do diabła. Tego właśnie chciał. Wygląda na to, że po wielu latach uwodzenia światowych, wyrafinowanych londyńskich piękności zapragnął bezczelnej służącej.

W związku z tym przysiągł sobie solennie…

Że właśnie tej jednej, jedynej kobiety nigdy nie będzie miał.

# 11

**W**czorajszy wieczór był po prostu kapitalny.

Księżna nakapała miodu na posmarowaną masłem grzankę. Pauline przez chwilę się zastanawiała, czy starsza pani specjalnie wybrała naszyjnik z cytrynem, żeby pasował jej do śniadania.

– Kapitalny? – powtórzyła Pauline. – Wczorajszy wieczór? Przecież był okropny. Zachowałam się fatalnie.

– Moja droga, liczą się efekty. – Księżna machnęła w stronę pozłacanej tacy, na której piętrzyły się zapieczętowane koperty. – Zobacz, ile dostaliśmy zaproszeń…

– Ale to nie ma sensu…

– Wręcz przeciwnie. Pomyśl o szlachetnych kamieniach. Niektóre klejnoty ceni się za szlif i połyski. Ale znawcy poszukują do swoich kolekcji tych najrzadszych, nawet jeśli mają skazy…

– Ale ja nie jestem rzadkością – sprzeciwiła się Pauline. – Wręcz przeciwnie. Jestem przeciętna.

Księżna prychnęła przecząco i skosztowała grzanki.

– On z tobą zatańczył.

– Całe dziesięć sekund. Może piętnaście.

– I to wystarczyło. Nic nie rozumiesz. Mój syn nigdy nie tańczy. Od wielu lat nie poprosił do tańca niezamężnej kobiety. Tak bardzo stara się unikać wszelkich domysłów.

Pauline westchnęła.

– Zatańczył ze mną tylko po to, by uniknąć towarzystwa jakiegoś nudziarza…

– A potem zniknęliście w ogrodzie, a kiedy wróciliście, miał rozwiązany krawat…

– Musieliśmy wyjąc spinkę. Guzik mu się zaplątał w szew mojej sukni, i nie mógł go uwolnić…

– Dało się zauważyć… – Księżna wyjęła spod kopert złożoną gazetę. – Tak właśnie napisali w „Plotkarzu Codziennym”. *Książę Halford usidlony.*

Tylko nie to.

Pauline skrzywiła się, czytając rubrykę towarzyską. Księżna miała rację, głównym tematem była znajomość księcia z „tajemniczą panną Simms”.

Wcale nie była zachwycona tą nieoczekiwaną sławą. Zamiast tego ogarnął ją zwykły lęk pracującej dziewczyny: strach przed utratą pracy.

Jeśli księżna była zachwycona tym, co się stało poprzedniej nocy, mogło to oznaczać tylko jedno.

Książę będzie niezadowolony.

Chyba nie będzie jej winił za to, co napisano w tym pisemku, prawda? Nie udało jej się ponieść porażki, ale to przecież jego wina. To on ją podtrzymał, kiedy się potknęła, to przez niego ten guzik zaplątał się w jej suknię. To on z nią zatańczył i wyprowadził do ogrodu.

I to on ją całował i pieścił z taką czułością.

Księżna odsunęła gazetę.

– Robimy wspaniałe postępy, ale przed nami jeszcze dużo pracy. A ty w dalszym ciągu trzymasz łokcie na stole.

Pauline niechętnie je zabrała.

– Tym razem zajmiemy się talentami.

– Talentami?

– Na następnym balu zostaniemy dłużej niż godzinę. Tak jak to jest w zwyczaju, mogą cię poprosić o zaprezentowani swoich umiejętności.

– Umiejętności? – zaśmiała się Pauline.

To może być świetna zabawa. Wszystkie jej obawy rozpłynęły się w jednej chwili – jak masło na ciepłej, idealnie zbrązowiałej grzance. W tym domu nikt nie przypalał chleba.

– Księżna chce w ciągu jednego poranka zrobić ze mnie uzdolnioną artystycznie damę? To niemożliwe.

– Zamierzam dowiedzieć się, czy masz jakiś ukryty naturalny talent. Coś się na pewno znajdzie.

Pauline znieruchomiała z tostem w dłoni.

– Wasza wysokość…

Nagle poczuła się nieswojo. Księżna myślała, że ona ma jakieś ukryte umiejętności. Ona, Pauline Simms. To było takie dziwne i takie cudowne. Wreszcie ktoś w nią uwierzył. Chociaż na chwilę.

Choć w Spindle Cove było mnóstwo ekscentrycznych dam, żadna nie zawarła z nią bliższej znajomości. Jej matka była smętnym cieniem przegranej kobiety. Aż tu nagle pojawiła się w jej życiu księżna – obyta, świadoma kobieta, która nie tylko uwierzyła, że Pauline może być czymś więcej niż zwykłą służącą, ale postanowiła

wystawić ją na próbę.

Tylko że im bardziej Pauline ceniła sobie zaufanie księżnej, tym bardziej obawiała się, czym skończy się ten tydzień. Z żalem myślała o tym, że marzenia starszej pani już wkrótce się rozwieją.

– Błagam, proszę mi uwierzyć, że między mną a księciem nie zdarzy się nic, co mogłoby doprowadzić do małżeństwa. Po prostu… nic z tego nie będzie. Ale za to zaczęłam szczerze lubić waszą wysokość. Za dobre serce, ukryte pod całą tą flegmą. Nie chciałabym, żeby wasza wysokość obudziła w sobie wygórowane oczekiwania, które w końcu obrócą się wniwecz…

W odpowiedzi księżna tylko się uśmiechnęła. Postukała łyżeczką w skorupkę jajka tkwiącego w emaliowanym kieliszku. Na gładkiej skorupce pojawiła się delikatna siateczka pęknięć.

Stuk, stuk, stuk.

Pauline wyciągnęła rękę z własną łyżeczką i solidnie trzasnęła w skorupkę.

Wydało jej się, że to jedyny sposób, by skłonić starszą damę, by jej wysłuchała.

– Wasza wysokość, proszę mnie potraktować poważnie. Próbuję cię przekonać, pani, żebyś w końcu przestała marzyć o wnukach, a przynajmniej o wnukach, które ja mam urodzić. A ty spokojnie jesz jajko na miękko. Czyżbyś straciła słuch?

– Skądże znowu. Doskonale cię słyszałam.

– To skąd ten uśmiech?

– Uśmiecham się, bo powiedziałaś „proszę” zamiast „prosie” i „przestała” zamiast „szestała”.

Pauline z przerażeniem przytknęła dłoń do ust. Cholera. Księżna miała rację. Ani jednego błędu wymowy. Co się z nią dzieje?

Znała odpowiedź na to pytanie.

Wszystko przez Griffa. Kiedy ją pocałował, zakręciło jej się w głowie, kolana się pod nią ugięły i poprawiła jej się wymowa. Giętkość języka i te rzeczy.

– Psiamać – mruknęła w zwiniętą w pięść dłoń.

Księżna westchnęła lekko i gestem poprosiła lokaja, by dolał jej herbaty.

– Ale nad wymową „p” przed spółgłoskami musisz jeszcze popracować…

Griff obudził się o świcie… no, powiedzmy, o wpół do dziesiątej. Dużo wcześniej niż zwykle.

Zawsze czuł się najlepiej nocami, a przez ostatni rok nabrał zwyczajów wampira. Zaczął chodzić spać o wschodzie słońca, a budził się późno po południu. Ale wydarzenia wczorajszego dnia przekonały go, że nie może przesypiać całych poranków, podczas których jego matka spiskuje w najlepsze.

Dlaczego wczoraj wszystko poszło nie tak?

Zaczęło się od sukni. Od tej przeklętej, słodkiej, prostej, niewinnej, białej sukni. Zawróciła mu w głowie, a potem było już coraz gorzej.

Gdyby nie stracił koncentracji podczas pojedynku z Delem, nie odniósłby rany. Gdyby nie rana, nie poszedłby na bal i nie wylądowałby razem z nią w tym ciemnym, pachnącym ogrodzie, obejmując jej kuszące, krągłe ciało i oddając się wariackim, romantycznym marzeniom.

Rozwiązanie było proste.

Żadnych nowych sukni.

W każdym razie, żadnych atrakcyjnych nowych sukni.

I żadnych pocałunków. To oczywiste.

I co najważniejsze, żadnych niespodzianek.

Wędrując po domu w poszukiwaniu dam, co krok natykał się na niezwykły nieład – mnóstwo porozrzucanych rzeczy, jakby ktoś zaczynał pracę i przerywał ją w połowie. Albo jakby wszyscy mieszkańcy domu uciekli przed wybuchem wulkanu.

W salonie, na szezlongu i stole leżały przeróżne przybory do robótek ręcznych. W pokoju porannym stała sztaluga z paskudnie rozmazaną akwarelą. Obok walały się połamane ołówki.

Do jego uszu dobiegły ciche dźwięki, więc ruszył w stronę pokoju muzycznego. Nikogo tam nie było, ale ktoś pozdejmował pokrowce ze wszystkich instrumentów i wyraźnie próbował na nich grać.

Gdzie się podziała służba? Dlaczego nikt tego wszystkiego nie posprzątał?

I dlaczego ciągle słyszał tę dziwną, powolną melodię? Jakby dogorywała sprężyna jakiejś pijanej pozytywki.

W końcu muzyka ucichła. Rozległy się entuzjastyczne brawa.

– Brawo, panno Simms – usłyszał.

– Może panna zagrać coś jeszcze? – poprosił ktoś inny.

Zabrzmiała kolejna melodia.

Skradając się na palcach i nasłuchując, skąd dobiega dźwięk, Griff dotarł do jadalni. Odrobinę uchylił drzwi.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia dostrzegł Pauline. Stała nad piętnastoma kieliszkami wypełnionymi wodą do różnej wysokości i postukiwała w nie maleńkimi widelczykami.

Wygrywała nimi na kieliszkach jakąś wesołą melodyjkę, jakby każda nuta była kąskiem muzyki.

Nic dziwnego, że w domu panował taki nieporządek. Cała służba z Halford

House stała w krąg i słuchała z zachwytem, smakując każdy uroczy, muzyczny kąsek. Nikt nawet nie zauważył Griffa, stojącego w drzwiach.

Muzyka była tylko częścią przedstawienia. Grając, Pauline robiła przezabawne miny. Marszczyła brwi w skupieniu, krzywiła się rozbrajająco, gdy się pomyliła. Kiedy pasmo włosów opadło jej na czoło, zdmuchnęła je na bok, nie gubiąc rytmu.

Bardzo, bardzo ciężko pracowała przy tym widowisku. Absurdalnym. Śmiesznym. I przeuroczym zarazem.

Wszyscy zebrani byli zachwyceni. Griff też musiał przyznać, że był pod wrażeniem. Oczarowała go.

Gdy ucichła ostatnia nuta, rozległy się brawa.

– To był Haendel, moja miła – stwierdziła rozpromieniona księżna. – Gdzie się nauczyłaś tego utworu?

Pauline wzruszyła ramionami.

– Podsłuchałam u wioskowej nauczycielki. Uczyła gry na pianinie Pod Bykiem i Pączkiem Róży.

– Masz naturalny talent muzyczny – powiedziała księżna. – Jeżeli poćwiczysz, nauczysz się grać na każdym instrumencie.

– Naprawdę? Tylko że nie mamy czasu na ćwiczenia, wasza wysokość… – głos Pauline ucichł, bo podniosła wzrok znad kieliszków i spostrzegła Griffa w progu.

Spotkali się wzrokiem.

Nie odrywając od niej spojrzenia, poczuł, że wszyscy zebrani skierowali oczy na niego.

Wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Albo wszyscy zobaczą, jak się na nią gapi, i zrozumieją, że jest zakochanym durniem, albo zrobi to, co potrafi najlepiej: ukryje emocje pod maską obojętnego, utytułowanego podleca.

Szczerze mówiąc, nie miał wyboru.

A zatem…

Zaczął bić brawo głośno, miarowo i bezczelnie – i nie przestawał, choć w jadalni zapanowała kompletna cisza.

A z jej twarzy zniknął nieśmiały, uroczy uśmiech.

W końcu ostatnie, donośne echo klaśnięcia dotarło do uszu spoważniałych nagle ludzi. Wtedy odezwał się najbardziej zblazowanym, pogardliwym tonem, na jaki potrafił się zdobyć.

– To było… kapitalne, Simms. Na pewno wyróżnisz się z tłumu debiutantek.

Speszona pochyliła głowę.

– To stara sztuczka. Nauczyłam się jej w gospodzie. Czasami w nocy czas się dłuży. Księżna pytała, czy mam muzyczne talenty, ale umiem tylko to.

– Żonglujesz też kuflami? Robisz żurawie z papierowych serwetek?

– Ja… nie… – Odłożyła widelce.

– A szkoda.

– Przepraszam – szepnęła i wybiegła z jadalni drugimi drzwiami.

Griff wpatrywał się w puste miejsce po jej odejściu. Nie spodziewał się, że tak ją to zaboli. Przecież chciała ponieść porażkę, prawda?

Gdy wybiegła, wszyscy lokaje i pokojówki wbili w niego wzrok pełen odrazy.

– O co chodzi? – zapytał.

Higgs odchrząknął karcącym tonem.

Wielki Boże. Stracił ich lojalność. W jednej chwili.

– Bez przesady – powiedział. Przestał opierać się o futrynę i wyprostował się na pełną, książęcą wysokość. – Od lat jestem waszym pracodawcą. Dla niektórych nawet od dziesiątków lat. Co rok podwyżki, paczki na święta, wolne dni. Ta cała Simms parę razy postukała widelcami w kieliszki i nagle wszyscy jesteście po jej stronie?

Milczenie.

– Jesteście służącymi. Przestańcie się gapić… bierzcie się do roboty.

Pełen niesmaku szereg służących przemaszerował obok niego. Griff został sam z matką.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał ją ruchem dłoni.

– Teraz mówię ja – oświadczył. W końcu był księciem. Samodzielnie zarządzał sześcioma majątkami ziemskimi, ogromnymi dobrami rodowymi a nawet tą rezydencją. I zamierzał wykorzystać ten autorytet. – Nie wiem, jakie zajęcia zaplanowałaś dla Simms dzisiaj rano, ale zamierzam wziąć w tym udział. Koniec z sukniami i sonatami na kieliszkach. Koniec ze spiskowaniem, sekretnymi zakupami, zaskakiwaniem mnie nowymi strojami i muzyką. Zrozumiano?

Uniosła podbródek.

– Tak jest.

– Świetnie. Co miałyście w planach po tym muzycznym popisie? Zresztą, nieważne, i tak wam będę towarzyszyć. Zakupy? Lekcje etykiety? Próba zaznajomienia dziewczyny ze sztuką lub kulturą?

– Dobroczynność – odpowiedziała.

– Dobroczynność?

– Dziś jest wtorek. Zawsze we wtorki odwiedzam Szpital dla Podrzutków.

Szpital dla Podrzutków. Griffowi zrobiło się niedobrze. Ze wszystkich miejsc na świecie… Nie zamierzał spędzić całego dnia w sierocińcu.

– Przecież macie tylko tydzień. Raz możesz zrezygnować z tej wizyty.

– Skądże znowu. Dobroczynność jest jednym z ważniejszych obowiązków księżnej. Księcia zresztą też – dodała, unosząc brew.

Nagle zrozumiał, o co jej chodziło. Nie spodobało mu się to.

– Niestety jednak nie będę mógł wam towarzyszyć.

– Tak? Czemuż to?

– Mam pilne spotkanie. Właśnie sobie przypomniałem.

Zmrużyła oczy.

– Z kim mianowicie?

– Z… – Machnął ręką nieokreślonym gestem. – Ktoś musi się koniecznie ze mną zobaczyć. Zarządca majątku.

– Jest przecież w Cumberland.

– To znaczy nasz prawnik. – Spojrzał na nią z góry. – Postanowiłem zmniejszyć twoją kwartalną rentę.

Mruknęła coś pod nosem.

– Doskonale. Porozmawiasz sobie z nim dzisiaj. Jego biuro jest w Bloomsbury, dokładnie naprzeciwko Szpitala dla Podrzutków.

Griff westchnął.

Do diabła!

# 12

**P**auline była zdumiona. Wyglądało na to, że w Londynie nawet sieroty mieszkają w pałacach.

Szpital dla Podrzutków był dostojnym, ogromnym, otoczonym zielenią budynkiem. Korytarze ozdobiono obrazami i rzeźbami.

Pauline rozbolała szyja od wpatrywania się w te wszystkie cuda. Ale wolała patrzeć na wysoko zawieszone obrazy niż czuć chłodną obojętność Griffa.

Nie mogła na niego patrzeć. Nie po tym upokorzeniu w jadalni.

Wprawdzie muzykowanie na kieliszkach nigdy nie było dla niej szczególnym powodem do dumy, ale w tym jego aroganckim aplauzie było tyle złośliwości… Spodziewała się, że po ostatniej nocy będzie niezadowolony, ale nie przygotowała się na okrucieństwo.

Mężczyźni. Kapryśne istoty.

Powinna się tego spodziewać, po lekcji, jaką dał jej Errol Bright. Kiedy udało im się skraść chwilę sam na sam, nie mógł od niej oderwać rąk i obiecywał jej wszystko, co chciała. Ale kiedy spotykali się publicznie, traktował ją jak starą znajomą. Najpierw tłumaczyła sobie, że to bardzo romantyczne, że łączy ich tajemne uczucie, którego nikt się nie domyśla. Dopiero potem dotarła do niej bolesna prawda. Czułości Errola były tylko chwilowe. Dosłownie. Nie pragnął stałego związku.

Teraz popełniła ten sam błąd z Griffem.

Wczoraj sprawił, że poczuła się piękna i pożądana. Dzisiaj – mała i głupia. Naprawdę powinna posłuchać rady księżnej. Nauczyć się obojętności i zapomnieć o uczuciach.

Ale to nie leżało w jej naturze. Jeśli straci siebie, nic już jej nie zostanie.

Gdy szli korytarzami Szpitala dla Podrzutków, księżna monotonnym głosem opowiadała Pauline o historii tego przybytku. W końcu dotarli na obszerny, trawiasty wewnętrzny dziedziniec Był pełen dzieci. Samych chłopców, odzianych w identyczne brązowe ubranka i ustawionych w równych szeregach.

– Jest ich tu mnóstwo – mruknęła Pauline.

Księżna skinęła głową.

– To tylko chłopcy w wieku szkolnym. W drugim skrzydle jest równie wiele dziewczynek. A setki młodszych dzieci przebywa u rodzin zastępczych na wsi.

– A potem je stamtąd zabierają? To podwójne okrucieństwo. Najpierw tracą matki, które je urodziły, a potem przybrane matki…

– Owszem, ale ich los i tak jest lepszy niż wielu innych dzieci – odparła księżna. – Zaspokajamy ich podstawowe potrzeby, zapewniamy wykształcenie. Potem pomagamy znaleźć pracę. Sporo naszej służby stąd pochodzi.

– To dobrze, że wasza wysokość o nich myśli…

– To jest nasz obowiązek, panno Simms. Nie wystarczy tylko dobrze chcieć. Ludzie z naszą pozycją społeczną muszą robić coś konkretnego.

Te słowa trafiły w czułe miejsce. Przez całe życie pragnęła, by coś zrobić dla siebie i dla siostry. Jak dotąd, niezbyt jej się to udawało. Za to księżna Halford miała dość siły, determinacji i funduszy, bo pomóc całym tłumom potrzebujących.

Książę nagle zatrzymał się w pół kroku.

– Co ten nieszczęsny smarkacz ma na sobie?

Na ławce w korytarzu siedział ośmio-, a może dziewięcioletni chłopiec. Miał na sobie taki sam mundurek jak pozostali, ale na głowie nosił dziwną, włóczkową czapeczkę w paskudnym zielonym kolorze.

Zdaniem Pauline dzianina przypominała źle wyrobiony rękaw, ale chłopiec założył ją na głowę jak czapkę. Z jednej strony zasłaniała mu brew, a z drugiej podjeżdżała wysoko nad skroń.

Z trudem ukryła uśmiech. To musiała być jedna z robótek księżnej.

– Co to jest? – powtórzył książę.

– Zdaje mi się, że czapka – zasugerowała Pauline.

– To jakaś parodia. – Książę podszedł do dziecka. – Mały, daj no mi tę czapkę.

Chłopiec odskoczył, zasłaniając jedną ręką głowę, a drugą twarz. Prawdopodobnie często przybierał tę obronną pozycję. Był bardo drobny, blady i chudy. Z lewej strony twarzy widać było sine miejsce. Pewnie starsi chłopcy go biją.

– Nie chcesz oddać? To trudno. – Halford zdjął z głowy własną bobrową czapkę i podał chłopcu. – Masz.

– Co? – zająknął się chłopiec.

– Chcę się zamienić. Dam ci moją nową czapkę za to… coś.

Zaskoczony dzieciak zdjął z głowy swoją i zrobili zamianę.

– Teraz ją załóż – zachęcił go książę.

Chłopiec posłuchał. Czapka była za duża i spadała mu na uszy, ale zsunął ją na

tył głowy i przejrzał się w szybie najbliższego okna. Pauline miała wrażenie, że nagle urósł. Coś ją zakłuło w sercu.

– Jak masz na imię? – spytał książę.

– Hubert. Hubert Terrapin.

– Tutaj nadali ci to imię?

Chłopiec ponuro skinął głową.

– No cóż, przynajmniej czapka pasuje.

Książę zgniótł włóczkową czapkę w dłoni.

– Uszy do góry, mały. Wiem, jesteś podrzutkiem, ale przynajmniej to paskudztwo masz teraz z głowy…

Księżna chrząknęła niecierpliwie i ruszyli dalej.

Pauline spoglądała ukradkiem na księcia. Nie potrafiła go na dobre znielubić. Jej gniew pierzchał na najmniejszy ludzki odruch z jego strony.

Zacisnęła pięść. Owszem, dał czapkę podrzutkowi. I co z tego? Miał takich czapek z dziesięć i stać go było na więcej. Szastanie pieniędzmi nie oznacza dobroci. Tylko bogactwo.

To jest po prostu bogacz. Przystojny i silny. Bez tej czapki widać, jakie ma ciemne włosy. Aż chciałoby się je pogładzić.

Rzucił jej nagłe spojrzenie spod oka.

– Założysz ją? – spytała, wskazując zieloną dzianinę w jego ręku. – To miała być wymiana.

Skrzywił się.

– Pewnie jest zapchlona.

– Niemożliwe – wtrąciła księżna. – Utrzymujemy tu wysokie standardy…

– Wcale nie – mruknął pod nosem. – To jest nie do przyjęcia. Wiem, że te dzieciaki są z marginesu, że to biedota bez grosza przy duszy, ale pozwólcie im zachować choć trochę godności…

Pauline ścisnęło w dołku. Spojrzała na księżnę, wiedząc, że w paczce, którą dama niesie pod pachą, jest pewnie więcej takich robótek – bezkształtnych i bezużytecznych. Ale każda z nich jest wytworem nadziei i matczynej miłości.

Obelgi Griffa były niezamierzone, ale na pewno sprawiły jej ból. I to głęboki.

Na wysokich, arystokratycznych policzkach księżnej pojawiły się rumieńce. Poza tym nic nie dała po sobie poznać.

– Nie przyszliśmy tu, żeby rozmawiać o modzie. Dzisiaj odwiedzimy żłobek. Chodźcie.

– Żłobek*?* Nic z tego – sprzeciwił się Griff.

Matka odwróciła się do niego.

– Co takiego?

– Nie idę dalej. Czasem mężczyzna musi zakreślić granicę, a moja jest właśnie tutaj – wskazał butem podłogę.

– Nie lubisz niemowląt, wasza wysokość? – spytała Pauline.

– Nieszczególnie. Są hałaśliwe i kłopotliwe. Chyba starczy tego zwiedzania na dziś.

Odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Zaczekam na was w powozie.

– Chwileczkę. – Pauline dygnęła przed księżną. – Ja też pójdę. Dziś rano kichnęłam kilka razy, nie chciałabym, żeby dzieci się poprzeziębiały.

– Simms, powinnaś towarzyszyć mojej matce…

– Ty też. Nie podoba ci się tutaj, prawda? – spytała, ruszając jego śladem najszybciej, jak potrafiła.

– Nie.

– Mogłeś być milszy. – Pokręciła głową. – Zaczynam rozumieć, dlaczego przyprawiasz księżnę o taką desperację. I zaczynam jej współczuć.

– Moja rodzina wspiera ten przybytek od chwili jego powstania. Nie zamierzam zrywać z tą tradycją.

– Ale mógłbyś dać więcej.

– Bardzo dobrze. Wyłożę dodatkowe pieniądze na ubrania dzieci. Coś takiego nie powinno mieć miejsca. – Wskazał włóczkową czapkę, którą wciąż trzymał w dłoni.

– Nie musisz być aż tak złośliwy. – Wzięła robótkę do ręki. – Fakt, jest brzydka. Ale może to dzieło miłości.

– To ma być dzieło miłości? Żartujesz sobie? Raczej dzieło kompletnej ignorancji. Albo nawet złośliwości.

Westchnęła.

– Nic nie rozumiesz. Nie chodzi mi o to, żebyś dawał więcej pieniędzy, tylko żebyś poświęcił temu miejscu więcej czasu i uwagi…

Pokręcił głową.

– Tutejsi lekarze i opiekunki chcą ode mnie tylko czeków w terminie.

– Wyraźnie cieszy ich troska twojej matki. Przychodzi tu regularnie i przynosi… różne rzeczy.

Po drodze minęli pusty pokój. W kącie kulił się chłopiec o znajomej twarzy.

– Hubert – powitał go książę. – To znowu ty?

Podszedł do nich z ponurą miną i z gołą głową.

– Gdzie podziałeś swoją nową czapkę? – spytała Pauline. Krwawiąca dolna

warga malucha mówiła sama za siebie. – Starsi chłopcy ci zabrali, prawda?

Hubert skinął głową.

Odciągnęła księcia na bok i szepnęła:

– Griff, właśnie o to mi chodzi. Mógłbyś coś dla niego zrobić.

Rozłożył ręce.

– Nie mam drugiej czapki.

– Nie o to chodzi. Wcześniej zrobiłeś na nim wrażenie, i wcale nie dlatego, że mu ją dałeś. Porozmawiałeś z nim, potraktowałeś go jak wartościową osobę. Zamień z nim parę słów. Daj mu jakąś męską radę albo naucz, jak się bronić. Tobie też to się przyda. Od czasu do czasu dobrze jest poczuć się potrzebnym.

Rzucił smętne spojrzenie ku wyjściu.

– Simms, chyba zapomniałaś, że jesteś moją pracownicą. Zatrudniłem cię, żeby dać zajęcie matce, a nie po to, żebyś mi doradzała.

– Policz to sobie jako bonus.

Wielki Boże. Czy jej bezczelność nie znała granic?

– Jesteś potężnym człowiekiem. Nie tylko ze względu na pieniądze i tytuł. Możesz sprawić, by ludzie poczuli się wartościowymi, zamiast pogarszać ich samopoczucie.

Nic nie rozumiała. Chciał pomóc temu smarkaczowi. Naprawdę. Ale w tej chwili nie był w stanie nawet z nim porozmawiać. To miejsce doprowadzało go do obłędu. Drobne stópki, które deptały jego serce…

– Przepraszam cię, ale nie mam czasu.

Ufff.

Miał wrażenie, że cios przyszedł znikąd, choć logicznie rzecz biorąc, pewnie wymierzyła go prawą pięścią. Natomiast bez wątpienia trafił go prosto w brzuch.

Zachwiał się i cofnął o krok.

– Hubercie – powiedziała, nie spuszczając wzroku z Griffa. – Ponieważ jego wysokość nie ma czasu, ja cię nauczę, jak się bić.

– Simms, chyba nie mówisz poważnie…

– Wręcz przeciwnie. – Ściągnęła zębami rękawiczki i odrzuciła je na bok. Uniosła pięści i zaczęła krążyć wokół niego, drwiąc sobie w najlepsze. – Co z tobą? Nie chcesz mi oddać?

– Doskonale wiesz, że nie potrafiłbym skrzywdzić kobiety.

– Nie żartuj sobie. Świetnie potrafisz skrzywdzić kobietę. Jesteś w tym mistrzem.

Trafiła go pięścią w żebra i odskoczyła.

Wyraźnie była na niego wściekła, z powodów, które miały niewiele wspólnego z

czapkami i podrzutkami. Później chętnie stoczy z nią małą potyczkę, ale teraz nic z tego.

Podniósł ręce.

– Poddaję się.

– Nie ma mowy. – Stanęła tuż przed nim, odcinając mu drogę ucieczki. – Jeśli brak ci odwagi, żeby mnie uderzyć, jestem pewna, że znajdziesz inny sposób. Możesz mnie zwyzywać albo obrazić moją rodzinę. Albo na przykład zacząć bić brawo w obrzydliwy, złośliwy sposób…

– Naprawdę o to ci chodzi? – Zmrużył oczy. – Jesteś wściekła, że nie pogratulowałem ci koncertu na kieliszki i widelce?

– Wcale nie – rzuciła obronnym tonem, ale zaraz dodała: – Owszem, częściowo. Specjalnie chciałeś mi sprawić przykrość.

– Zawarliśmy umowę, Simms. Masz ponieść porażkę. Ja ci za to słono zapłacę. Myślałem, że ci na tym zależy.

– Tak, ale…

– Jeśli warunki umowy przestały ci odpowiadać, mogę cię odesłać z powrotem do Sussex…

– Umówiliśmy się, że będę znosić poniżenia ze strony arystokracji. Nie od ciebie.

– No cóż. Policz to sobie jako bonus.

– Och, ty! – Znowu się na niego zamierzyła.

Tym razem był przygotowany. Złapał jej pięść, objął drobne, zaciśnięte kurczowo paluszki i mocno przytrzymał.

– Wczoraj w nocy zwierzyłam ci się ze wszystkiego – jej szept był ostry jak sztylet. – Z moich marzeń, z moich tajemnic. Ze wszystkiego. A ty dziś rano potraktowałeś mnie jak obcą.

– Czego ty chcesz, Simms? – spytał równie cicho. – Co chcesz usłyszeć? Mam ci powiedzieć, że dorównujesz arystokratkom?

– Oczywiście, że nie. Wcale nie chcę przypominać tych okropnych kobiet.

– Aha. – Skinął głową. – Teraz rozumiem. Nie chcesz usłyszeć, że jesteś im równa, tylko że jesteś od nich lepsza.

Nie odpowiedziała.

– Mam przyznać, że twoja melodyjka na kieliszkach jest lepsza od wszystkich włoskich arii. Stwierdzić, że twoje wiejskie maniery wnoszą ożywczy powiew do mojego życia. – Zaśmiał się. – Co jeszcze? Może chcesz usłyszeć, że twoja czystość pachnie jak najrzadsze perfumy? Że twoje włosy pachną jak dzikie wino, a oczy są przejrzyste jak niebo, i że budzisz we mnie chęć do życia? A nawet… –

dramatycznym gestem położył swobodną rękę na piersi – …cóż to za dziwne uczucie w moim sercu? Czyżby to była… miłość?

Wpatrywała się w guzik jego kamizelki. Nawet nie podniosła wzroku.

Resztką rozsądku uświadamiał sobie, że zachowuje się jak ostatni łajdak. Ale nie poddawał się logice. Był rozdarty pomiędzy dwoma impulsami: chciał ją odsunąć od tej bolesnej rany, którą nieustannie rozdrapywała, a jednocześnie pragnął ją przytulić do siebie i zagarnąć na własność.

Przede wszystkim zaś musiał oddalić się z tego miejsca, zanim oszaleje z rozpaczy.

– Zatrudniłem cię nie bez powodu, Simms. Nie szukałem świeżej, hożej piękności, która nauczy mnie miłości i nada sens mojemu życia. Jeśli szukasz dżentelmena, który będzie ubóstwiał twój bogaty charakter… no cóż, może ktoś taki się znajdzie w Londynie, ale to nie będę ja.

– Co za przemowa – szepnęła, przysuwając się do niego. – Może nawet bym uwierzyła, gdyby nie twoje pocałunki zeszłej nocy.

Jej gorący gniew był niemal dotykalny. I podniecający.

– Och, Simms. Naprawdę uważasz mnie za takiego naiwniaka? Całowałem w życiu wiele kobiet, w ogóle się nimi nie przejmując.

Hmm. Chyba nigdy w życiu nie widziałem takiego odcienia zieleni.

To była ostatnia świadoma myśl, która przyszła mu do głowy, gdy zajrzał jej w oczy. Wtedy zamachnęła się i strzeliła go lewą pięścią prosto w szczękę. Cały świat eksplodował fajerwerkami przenikliwego, czerwonego bólu. Zachwiał się i cofnął o kilka kroków. W uszach mu dzwoniło.

No cóż. Zasłużył sobie na to.

Kiedy odzyskał ostrość wzroku, Pauline rozmawiała z Hubertem.

– To twoja pierwsza lekcja, chłopcze. – Przykucnęła przed maluchem, który patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. – Zapomnij o regułach gry. Życie nie jest sprawiedliwe, szczególnie w takich miejscach jak to. Jeśli jest szansa, żeby komuś dołożyć, nie wahaj się. Nie baw się w pojedynki, nie z takimi bydlakami. Widzisz, ja dorastałam na farmie. Małej i biednej – tłumaczyła dalej. – Zajmowałam się kurami. Słuchaj, świeżo wyklute pisklaki to puszyste, słodkie stworzonka, które wyglądają niewinnie, ale tak naprawdę są bardzo okrutne. Potrafią zadziobać własne siostry i braci na śmierć, jeśli wyczują w nich słabość…

Słuchając tej przemowy, Griff czuł, jak słabnie jego obrona.

– Tutaj jest tak samo. Wszędzie jest porządek dziobania. Duzi dręczą małych, mali dręczą jeszcze mniejszych i tak dalej, do samego dołu. Taka jest natura kurczaków, i dzieci też. To się nie zmieni, nie ma co marzyć. Nie pokonasz tych

najsilniejszych. I nie zmienisz ich na lepsze, choćbyś się modlił całymi dniami. Więc miej głowę na karku i walcz o swoje. O jedzenie, o naukę. Nie marnuj niczego, co dostaniesz. Niech cały chleb idzie do brzucha, a cała nauka tutaj – postukała go palcem w skroń. – Tu masz robić zapasy. Bo kiedy wbijesz coś sobie do głowy, będziesz to miał na zawsze. Nikt ci tego nie zabierze. Żaden łobuz, żaden wredny nauczyciel…

Ani zwyrodniały ojciec, dodał w myśli Griff. Wyobraził sobie, jak ukradkiem uczyła się na pamięć tego podręcznika etykiety. W chwilach wolnych od pracy na farmie. Z kosmykiem włosów opadających na brudny policzek. Czytała w kółko te same słowa, aż zmagazynowała je w pamięci. Żeby nikt nie mógł ich ukraść.

– Ani nawet żaden książę – dokończyła.

Hubert wpatrywał się w jej jedwabną suknię z koronkową falbaną.

– Ty, milady? Hodowałaś kury na farmie?

– Owszem. I nieraz dostałam w skórę. Ale nie dałam sobie odebrać tego, co było moje. Tak, jak ci powiedziałam. Dzięki temu doszłam wysoko. Jeśli to zrobiło na tobie wrażenie, to za tydzień możesz mnie odwiedzić. Będę żyć w dostatku do końca życia.

Rzuciła Griffowi płonące spojrzenie i wyszła.

Rzucił się za nią, choć trochę mu przeszkadzał obolały… obolałe wszystko. Na Boga, co ta kobieta z nim wyprawiała? Usłyszał jej kroczki w korytarzu, ruszył w tamtą stronę i dogonił ją przy głównym wyjściu.

– Posłuchaj – powiedział, chwytając ją za ramię u szczytu schodów. – Wyjaśnijmy sobie, co się zdarzyło dziś rano. Nie próbowałem odgrywać najsilniejszego kurczaka, szkolnego łobuza ani nikogo takiego… choć może tak ci się wydawało…

– Nie przepraszaj mnie. Bo wtedy ja zacznę ciebie przepraszać za to, że cię uderzyłam, a nie mam ochoty tego żałować.

– Nie przepraszam, tylko tłumaczę. Nie chciałem zranić twoich uczuć, Simms. Jeśli są takie kruche, nie dopuszczaj mnie do nich. Mówiłem ci, nie jestem księciem z bajki.

Napięła ramiona, jakby podjęła jakąś decyzję.

– Masz rację. Ostrzegłeś mnie. Ja z kolei nie powinnam się przejmować tym, co sobie myślisz.

Zaraz, zaraz, miał ochotę zaprzeczyć, jak ostatni dureń. Cofam wszystko. Przejmuj się mną. Bardzo cię proszę.

Wyczytał z jej twarzy decyzję, że już go nie potrzebuje. Ot, tak sobie. Postanowiła skorzystać z rady, jakiej udzieliła Hubertowi. Dokończyć pracę, wziąć

wypłatę i wyrzucić go z myśli na zawsze.

Tylko że on chciał, żeby o nim myślała. Nie tylko przez ten tydzień, ale przez całe życie.

Ależ był durniem… kusił ją komplementami, o jakich być może marzyła. Tylko że do tej chwili nie rozumiał sam siebie. Przecież to on pragnął akceptacji. Chciał, żeby przez resztę życia widziała w nim dobrego, przystojnego księcia, który porwał ją do Londynu i zmienił jej życie. A on miałby satysfakcję, że choć jest zakałą rodu, to gdzieś na krańcach Sussex mieszka właścicielka wypożyczalni książek, która go uwielbia. I wierzy, że pod całą jego arogancją i podłością kryje się serce ze złota.

Odmiana jej życia miała być jego jedynym dobrym uczynkiem.

A teraz Pauline patrzyła na niego jak na obrzydliwą meduzę.

– Masz rację – powtórzyła. Wyszli już za bramę. Zatrzymała się na podjeździe. – Oczywiście, że masz rację. Byłam głupia, chcąc, żebyś mnie polubił… albo przynajmniej zaakceptował. Przecież byś mnie nie zatrudnił, gdybyś dostrzegł we mnie coś godnego akceptacji.

– Nieprawda.

Teraz, kiedy wreszcie wyszli z tego sierocińca, mógł normalnie oddychać. Ale wokół wciąż było za dużo ludzi, żeby mógł zrobić to, o czym marzył od dłuższego czasu. Wziąć ją w ramiona i przytulić. Może to pocieszyłoby ich oboje. Więc zamiast tego tylko wygładził jej rękaw.

– Nic nie rozumiesz, Simms.

Spojrzała na ten rękaw. I na jego dłoń.

– Wręcz przeciwnie, rozumiem cię doskonale. Masz dobre, szczodre instynkty, stłumione tą przeklętą arystokratyczną flegmą. Tak cię dusi, że boisz się cokolwiek odczuwać. Albo przynajmniej okazywać swoje uczucia.

Wtedy zaczął padać deszcz. Duże, zimne krople spadały na bruk. W jednej chwili suknia Pauline przywarła do jej pleców, a mokre włosy opadły na twarz, nadając jej wygląd małej, zagubionej dziewczynki.

– Simms…

Uchyliła się przed jego dotykiem.

– Co chcesz, Griff? Masz mi coś do powiedzenia? Na środku ruchliwej, pełnej ludzi ulicy? A nie w ciemnym ogrodzie albo zamkniętym na klucz pokoju?

– Ja… – Zacisnął zęby. – Dobrze. Lubię cię.

– Lubisz?

– Lubię. Szczerze mówiąc, lubię cię o wiele bardziej, niż powinienem. Co gorsza, lubię cię dlatego, że wszystko jest z tobą nie tak…

Wpatrywała się w niego, wydymając te swoje śliczne, różowe jak jagody usteczka. Od dawna już ich nie całował i to był błąd.

Zaklął.

– Chyba źle to tłumaczę. Nie znam się na takich przemowach. Czy moglibyśmy zawrzeć pokój? Znaleźć tu jakieś zaciszne miejsce…

Zanim dokończył tę myśl, podbiegła do niego kobieta w ciemnym, bezkształtnym wełnianym okryciu. Jak kruk, który pojawił się znikąd.

– Panie, błagam… ja… ja nie mogę… – Załkała z głębi piersi. – Błagam…

Umknęła równie szybko, jak się pojawiła. Dopiero po pewnym momencie zorientował się, że coś mu włożyła do rąk.

Noworodka.

Słodki Jezu.

Szaroniebieskie oczy, zakrzywione paluszki. Niepozorny nosek, brak szyi. Same zmarszczki, od stóp do głów. Chryste, czy one wszystkie wyglądają tak samo?

– Wielki Boże – szepnęła Pauline. – Ta biedaczka…

– Gdzie… – Zamiast przytulić dziecko, trzymał je z dala od siebie. Niemal skamieniał z wrażenia. – Gdzie ona się podziała? Dokąd poszła?

– Nie mam pojęcia. Pewnie chciała je oddać. Może bała się wejść do środka…

Griff rozejrzał się po ruchliwej ulicy, mając głupią nadzieję, że wypatrzy ciemne, wełniane odzienie kobiety i odróżni je od setki innych, podobnych. Pewnie jest gdzieś blisko. Pewnie go obserwuje – nadętego, bezsensownego arystokratę, któremu zaufała i oddała swoje dziecko. Pewnie cierpi.

Niemowlę doskonale wiedziało, że zrobiono mu krzywdę. Rozpłakało się rozpaczliwie, twarzyczka mu poczerwieniała, piąstki zacisnęły się w gniewie. Na buzię i koc spadały krople deszczu. Dziecko otworzyło usta tak szeroko, że jego wargi niemal zniknęły. Język i bezzębne wargi były szkarłatne ze złości.

Miał wrażenie, że maleństwo krzyczy wprost do niego: „Jesteś przecież cholernym księciem. Masz ponad metr osiemdziesiąt, ważysz swoje. Zrób coś, ty bezużyteczny gamoniu. Możesz przecież wszystko naprawić!”

– Co robimy? – spytała Pauline.

– Ja…

Griff nie miał pojęcia. Całym swym pustym, wypalonym sercem pragnął ukoić rozpacz dziecka. Ale nie umiał. Po prostu nie był w stanie tego zrobić.

Oddał dziecko Pauline, mruknął jakieś przeprosiny, odwrócił się i ruszył przed siebie, w deszcz.

– Wasza wysokość! Griff, zaczekaj!

Ten krzyk był w stanie zignorować, ale płacz noworodka niósł się ponad

gwarem ulic, ponad szumem deszczu. Oskarżycielski, choć pozbawiony słów. Prześladował go jeszcze na końcu ulicy.

A potem przez resztę nocy.

# 13

Kiedy Pauline obudziła się następnego dnia, było jeszcze ciemno. Otuliła się szlafrokiem, zapaliła przenośną lampę i zeszła na dół, do biblioteki.

Nie znalazła tam mężczyzny, przez którego spędziła właśnie bezsenną noc, pełną troski i marzeń na przemian.

Za to natrafiła na coś równie intrygującego.

Na nieprzyzwoite książki.

Wzięła z półki tomik, rozpaliła w kominku i usadowiła się wygodnie.

Mniej więcej w godzinę później, kiedy zaczytała się w skandalicznym opisie spotkania, kiedy to kochanek mleczarki wsunął jej ręce pod spódnicę i przesuwał je coraz wyżej – drzwi biblioteki otworzyły się na oścież, wpuszczając powiew zimnego powietrza.

Drgnęła i uniosła głowę, brutalnie oderwana od lektury. Zarumieniła się tak mocno, że jej policzki chyba świeciły w ciemności.

Na szczęście nie była to ani księżna, ani nikt ze służby.

Tylko Griff.

Rzucił jej przelotne spojrzenie.

– Nie śpisz o tak wczesnej porze? – zapytał.

Zamknęła książkę.

– Budzę się co rano o piątej. Przecież jestem ze wsi. Nie potrafię spać dłużej.

Zsunął z ramion płaszcz, ten sam, w którym widziała go wczoraj. Był nieogolony i bez czapki. Wyglądał równie żałośnie, jak poprzedniego dnia, gdy stał pod drzwiami sierocińca z płaczącym niemowlęciem w ramionach.

Niezależnie od tego, co robił przez całą noc, nie poprawiło mu to nastroju.

– Dopiero co wróciłeś? – Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to karcąco.

Skinął głową.

Ta sytuacja doskonale pokazywała, jak bardzo się różnią. Jak dzień i noc. Ona dopiero co wstała, on jeszcze się nie położył. Ale nawet dzień i noc od czasu do czasu spotykają się ze sobą.

– Gdzie byłeś?

Westchnął ciężko.

– Simms, słowo honoru, że sam nie mam pojęcia – odpowiedział znużonym, zachrypniętym głosem.

– Och. – Przełknęła ślinę. – Cieszę się, że wróciłeś.

Bez słowa podszedł do biurka, podwinął rękawy koszuli, zapalił dwie świece, usiadł i zapatrzył się w popsuty zegarowy mechanizm.

Pauline poprawiła się w fotelu, podciągnęła kolana pod brodę i oparła na nich podbródek. Popatrzyła na Griffa uważnie.

Działo się z nim coś bardzo złego. Wyglądał okropnie. Jak nawiedzony – jeszcze bardziej niż podczas ich pierwszego, nocnego spotkania.

Chyba potrzebował, żeby go ktoś przytulił.

Nie miała pojęcia, jak do tego doprowadzić. Nie chciała tak po prostu podejść i go objąć, z wielu powodów. Ale była jedna rzecz, którą mogła dla niego zrobić, wykorzystując umiejętności, które nabyła przez wiele lat praktyki.

Wstała, podeszła do kredensu w rogu sali i nalała mu kieliszek.

– Kiedy wiele lat temu zaczęłam pracować w gospodzie, pan Fosbury skarcił mnie, że za dużo gadam. – Obserwowała, jak złocisty płyn spływa do kieliszka. – „Pauline, naucz się odróżniać mężczyzn, którzy przychodzą tu, żeby sobie pogadać od tych, którzy chcą być sami” – powiedziała, naśladując bardzo niski, szorstki głos swojego pryncypała.

Powoli, uważnie przeszła po dywanie i postawiła kieliszek kilka cali od łokcia Griffa. Nie spojrzał na niego ani na nią. Przesunął dłonią po zmęczonej twarzy i dalej wpatrywał się w zepsuty zegar, jakby miał nadzieję, że zębate koła same zaczną się poruszać. Albo odmierzać czas do tyłu.

– Skorzystałam z tej rady i zaczęłam uważać na swoje słowa. Tylko że pan Fosbury nie do końca miał rację. Owszem, niektórzy woleli rozmowę, inni spokój. Ale nikt nie chciał być sam.

Griff wziął głęboki oddech.

Pauline policzyła w myśli do pięciu, najwolniej, jak potrafiła.

Cisza.

No cóż, dała mu szansę. Skinęła głową w duchu i odwróciła się, by odejść.

– W takim razie zostawię cię tutaj…

– Nie.

Zamarła, słysząc to szorstkie słowo.

Obrócił się do niej twarzą, chwycił ją w talii i przyciągnął do siebie, rozsuwając nogi. Potem pochylił się do przodu, dotykając głową jej brzucha.

– Nie odchodź – powiedział prosto w jej pępek.

– Nie odejdę. – Gładziła jego gęste, ciemne włosy, ogarnięta uczuciem, którego nie potrafiła nawet nazwać.

– Przepraszam.

– Ja… wiem.

Przez kilka chwil obejmowali się bez ruchu. Dotykali się. Oddychali. Ogrzewali się nawzajem w ciemności. W sercu Pauline wezbrała wdzięczność. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się o niego niepokoiła.

– Jak ona się czuje? – spytał szeptem.

Wiedziała, że nie chodzi o księżnę.

– Ta malutka?

Poczuła, jak skinął głową.

– To był chłopiec. Ma się świetnie. Zaniosłam go do żłobka. Pielęgniarki zmieniły mu pieluchę i dały mleka. Pewnie jest już ochrzczony.

– Mam nadzieję, że dostał lepsze imię niż Hubert.

Uśmiechnęła się i znowu pogłaskała go po włosach.

– Nie powinienem cię zostawiać. Ja po prostu… – Westchnął ciężko.

– Nie rób sobie wyrzutów. Widać było, że to miejsce bardzo cię irytuje. Wielu silnych, poważnych mężczyzn wpada w panikę, słysząc płacz noworodka.

Uniósł głowę i przyjrzał jej się uważnie.

Jej głupi, dziewczęcy umysł wybrał właśnie tę chwilę, by przyznać, że nigdy w życiu nie widziała przystojniejszego mężczyzny. Pewnie dlatego, że nikt inny nie patrzył na nią w ten sposób. I nie obejmował jej mocnymi ramionami.

– Czy możemy powrócić do tamtej rozmowy? – szepnęła. – Staliśmy przed bramą. Powiedziałeś, że mnie lubisz, i poprosiłeś o rozejm. A ja… – Musnęła dłonią jego policzek. – Ja miałam cię właśnie przeprosić za to…

– Nie przepraszaj. Zasłużyłem na więcej. Przez większość życia zachowywałem się jak ostatni łajdak. Rok temu postanowiłem się zmienić. Ale chyba mi nie idzie. Może nie jestem już łajdakiem, tylko zwykłym draniem, ale to mała pociecha…

– Ja osobiście nie narzekam. – Rozprostowała w palcach pasmo jego włosów. – Chwilami zachowywałeś się całkiem przyzwoicie. Uchroniłeś mnie przed upadkiem, i to dwa razy. Wspaniale potraktowałeś moją siostrę. Podejrzewam też, że dałeś mi tę pracę, żeby mnie uratować…

Wcale nie była tego teraz taka pewna.

Być może to ona ma uratować jego.

– W każdym razie, należą ci się przeprosiny za cały dzisiejszy dzień, włącznie z tymi kieliszkami…

Zaśmiała się lekko.

– To przecież nic takiego. Głupia zabawa z gospody.

– Ja też jestem mistrzem towarzyskich zabaw – pochwalił się.

– Naprawdę?

– Jak najbardziej. – Puścił ją i poprawił się w krześle. – Potrafię zadowolić dwie kobiety naraz, mając ręce związane z tyłu. I zawiązane oczy.

– Ale z ciebie chwalipięta.

– Wcale się nie chwalę.

Wielki Boże. Sądząc po wyrazie jego twarzy, wcale nie był z tego dumny. Niezależnie od tego, wyobraźnia Pauline rozigrała się na dobre.

– Znalazłam te nieprzyzwoite książki – powiedziała. – I mam kilka pytań.

– Boże. – Zasłonił twarz dłońmi. – Nie, Simms. Tylko nie to.

– Ale tylko ciebie mogę o to zapytać. Poza tym jesteś mi dłużny za ten koncert na kieliszkach.

Opuścił ręce.

– Dobrze, już dobrze. Masz pytania? Oto odpowiedzi: „Tak”. „Nie”. „Tak, z dużą ilością lubrykantów”. Dopasuj je sobie dowolnie.

Żartobliwie klepnęła go w ramię.

– W książkach to jest po prostu śmieszne. Całe to pulsowanie, boskie drżenie, niewysłowiona ekstaza i kataklizm, spajający dwie dusze w jedną…

– Spajający kataklizm? W której książce?

– Nieważne. Chodzi głównie o tę niewysłowioną ekstazę. Czy to… czy to naprawdę tak jest?

Westchnął.

– Na to pytanie najlepiej jest odpowiedzieć doświadczalnie…

– Właśnie o to chodzi. Przeżyłam coś takiego. – Skrzywiła się. – Odrobinę. I wcale nie było tak, jak opisują. Żadnej ekstazy. Nawet nie było dygotek. Dlatego zastanawiałam się, czy to książki kłamią… czy to moja wina.

– Simms! – Wstał z krzesła i spojrzał jej prosto w oczy.

Zmusiła się, by nie odwracać wzroku, ale z jego twarzy wyczytała, że w przeciwnym razie nawet nie będzie chciał z nią rozmawiać. Więc spojrzała mu prosto w oczy.

A potem czekała.

– To nie była twoja wina.

W jego głowie dźwięczały setki dzwonków alarmowych. Nie powinien z nią o tym rozmawiać. Do diabła, nie powinien z nią przebywać sam na sam. Ale tak bardzo potrzebował czyjejś bliskości. A ona potrzebowała tej rozmowy.

– To nie była twoja wina – powtórzył.

– Więc książki przesadzają – stwierdziła.

– Tego nie powiedziałem.

Zmarszczyła nos.

– Nic nie rozumiem…

– Dlatego, że w tych sprawach nie ma prostych odpowiedzi. Czy to jest niezwykłe doświadczenie? Owszem. Czy to może być koszmar? Tak. Można to porównać do rozmowy. Jeśli rozmawiasz z kimś nieodpowiednim, wszystko jest wymuszone i zdawkowe. Ale czasami spotykasz kogoś, z kim rozmowa po prostu płynie. Nigdy nie kończą wam się tematy. Jesteście ze sobą szczerzy, nic was nie krępuje. Zaskakujecie się nawzajem..

– Ale jak znaleźć taką osobę… nie rozmawiając z całym miastem?

Griff zaśmiał się sucho.

– Co za pytanie. Znajdź odpowiedź, wsadź ją do butelki, a odniesiesz największy sukces handlowy w tym kraju. Ja też ustawię się w kolejce.

„Rozmawiał" w życiu z wieloma kobietami i wcale nie był z tego dumny. Kiedyś, owszem, szczycił się tym, a kobiety też nie narzekały. Teraz jednak doszedł do wniosku, że takie związki są godne pożałowania.

Ujął w dłonie jej słodką twarzyczkę. Przesunął kciukiem po dolnej wardze.

– Nie znam zbyt wielu odpowiedzi, ale powiem ci jedno. To na pewno nie była twoja wina.

Objął ją znowu, czując, jak ciemność między nimi kurczy się i gęstnieje.

– Griff. – Chwyciła go za przegub ręki. – Ja o to nie prosiłam.

– Wiem.

Pochylił się, by ją pocałować. Serce zabiło mu jak młotem.

– Ale…

– Simms. Zadałaś pytanie. Nie przeszkadzaj mi, kiedy zaczynam wyjaśnienia.

Jego usta zawisły nad jej wargami… a potem zaczął się zastanawiać. Wcale nie potrzebowała pocałunku. Pocałunek potrafi wiele ukryć. Powinna zobaczyć jego, zobaczyć siebie, i zrozumieć, jaka jest piękna i zmysłowa.

Przesunął dłońmi po jej kształtnym ciele, gładząc je przez szlafrok. Zachwycił go cichy pomruk rozkoszy, jaki wydała.

– Śniło mi się coś takiego… – powiedziała. – Wczoraj w nocy.

– Nie mów mi takich rzeczy.

Na samą myśl o tym, jak spokojnie śpi w białej pościeli…

– To co mam ci powiedzieć? Że jesteś najbardziej pociągającym mężczyzną w moim życiu, a kiedy czuję zapach twojej wody kolońskiej, moje halki stają w ogniu?

– Lepiej powiedz mi, żebym sobie poszedł do diabła.

Zaczął rozwiązywać pasek szlafroka, ale znieruchomiał w pół gestu.

– Powiedziałabyś mi prawdę? Gdybyś tak rzeczywiście myślała?

Uśmiechnęła się.

– Czyżbyś mnie do tej pory nie poznał?

Szarpnął węzeł paska, przyciągając ją do siebie.

– Wiesz, jak bardzo cię pragnę dotykać, wszędzie…

Nic ponadto, napomniał sam siebie. Tylko dotyk.

Na więcej sobie nie pozwoli.

Rozwiązał w końcu szlafrok i rozsunął jego poły, odsłaniając białą koszulkę. Była nowa – nie taka przejrzysta jak poprzednia. Ale i tak go podnieciła.

Przesuwał dłońmi po całym jej ciele, tulił piersi przez koszulkę, pieścił biodra i uda. Masował kciukami twarde sutki. Najpierw rozpiął jeden guzik, potem następny. Tylko tyle, by odsunąć tkaninę, uklęknąć i wreszcie – wreszcie! – zacząć ją całować tak, jak pragnął tego tamtej nocy, w mrocznym ogrodzie.

Całował czule jej szyję, jednocześnie wędrując dłonią w dół, między uda. Płótno koszulki ułożyło się pod jego dotykiem, nie przeszkadzając w pieszczotach. Nawet przez tkaninę czuł, jaka jest gorąca. I wilgotna. Mój Boże, tak łatwo mógłby ją wziąć. Rozpiąć spodnie, podciągnąć jej koszulkę i wreszcie trafić do domu. Kwestia paru sekund.

– Dzisiaj tylko ty zaznasz rozkoszy – przyrzekł obojgu, głaszcząc ją przez bawełnę. – Daję ci na to słowo. Niczego od ciebie nie wezmę. Będę tylko dawał.

Powinien położyć ją na sofie albo na dywanie, ale był samolubny. Pragnął jej całej dla siebie, bez granic. Całego jej ciężaru w ramionach, całego żaru jej ciała. Nie chciał się nią dzielić nawet z sofą albo dywanem.

Zamknął ją w ciasnym uścisku jednego ramienia. Drugą dłonią pieścił jej sekretne miejsce.

Mało co sprawiało mu w życiu większą satysfakcję niż doprowadzanie kobiet do ekstazy. Przypominało to rozwiązywanie zagadek. Wszystkie były tak samo zbudowane, ale różniły się wielkością i kształtem tych najważniejszych, rozkosznych części. I każda inaczej reagowała na pieszczoty i dotyk. Trzeba było stosować różne techniki, a poszukiwanie tej właściwej było upokarzające i podniecające zarazem.

Ale kiedy się udało pieścić kobietę we właściwy sposób, we właściwej chwili i we właściwym miejscu, satysfakcja nie mogła równać się z niczym. Zwycięstwo szło do głowy jak wino. Ciekaw był, jak zachowa się Pauline, szczytując. Bardzo pragnął się tego dowiedzieć. Spodziewał się czegoś niezwykłego, zupełnie różnego

od dotychczasowych doświadczeń.

Podciągnął koszulkę do góry.

– Możesz powiedzieć „nie” – szepnął.

– Mogę, ale nie chcę.

Dzięki Bogu. Cierpliwie, delikatnie przesunął dłonią po udzie. Ale kiedy znalazł się blisko, cierpliwość go nagle opuściła. Musiał znaleźć się w niej, chociaż w taki sposób. Wsunął palec w gorącą wilgoć.

Westchnęła. Zacisnęła dłonie na jego ciele. O mało nie oszalał, gdy poczuł jej paznokcie na skórze.

– Przestraszyłaś się? – spytał, nieruchomiejąc na moment. – Mam przestać?

– Owszem, trochę się boję. – Spojrzała na niego, przełykając ślinę. – Ale nie przestawaj…

Pocałował ją jeszcze raz, napierając językiem w tym samym rytmie, co dłonią. Gdy poczuł, że jest gotowa, wsunął drugi palec. Jej wewnętrzne mięśnie napinały się i rozluźniały, obejmując go ciasno. Obolały penis na próżno prężył się w spodniach.

Przysunęła się bliżej, napierając brzuchem na jego erekcję. Przyniosło mu to odrobinę ulgi.

Przerwała pocałunek i oparła głowę na jego ramieniu. Oddychała urywanie. Kołysała biodrami, poruszając się w rytm jego pieszczot, szukając coraz większej przyjemności.

Zaczął szeptać jej do ucha czułe głupstwa. Wiedział, że może sobie na to pozwolić, bo była tak podniecona, że na pewno nic z tego nie zapamięta. Mówił jej, jak pięknie wyglądała w blasku księżyca i jaki dumny był z jej odwagi. Jak zauroczyła go już tej pierwszej nocy. O tym, że do tej pory nie potrafi odnaleźć powrotnej drogi z tej kryształowej klatki. O tym, jak podoba mu się jej szyja i przenikliwe, zielone oczy. Ile razy marzył o tym, żeby całymi godzinami zlizywać ten cukier, którym była wtedy obsypana.

– Tutaj… tu bym cię posmakował – szeptał. – Byłabyś taka słodka. A potem…

Wsunął palce najgłębiej, jak mógł. Kciukiem podrażnił naprężony, wrażliwy punkt u bramy jej kobiecości.

– Griff – westchnęła.

– Tak – odpowiedział. – Tak jest dobrze.

Wydała kilka uroczych pomruków, jak wznosząca się gama na pianinie. A potem wzniosła się na szczyt i jęknęła cudownie, głęboko, poruszając go do głębi. Mimo wszystko spodziewał się czegoś takiego.

Za to jego własna reakcja była zadziwiająca do tego stopnia, że zaparła mu dech

w piersiach. Nigdy nie przeżył czegoś takiego.

Do zwykłej satysfakcji z zaspokojenia kobiety dołączyła się nieznośna czułość, serdeczność, opiekuńczość. Całował ją raz za razem w czubek głowy, jakby chciał przelać tam swoje wezbrane emocje.

– To nie była twoja wina – szepnął, skubiąc cudowny płatek jej ucha. – On był po prostu głupi. Albo nieczuły. Albo po prostu za młody i nie wiedział, co robi. Ale to nie była twoja wina. Rozumiesz?

Przywarła do jego piersi na długą chwilę. W końcu podniosła na niego wzrok.

– Zabierzesz mnie na górę?

Niczego w życiu nie pragnął bardziej. Zabrać ją na górę, niech świat eksploduje, potem będziemy odbudowywać ruiny.

– Niczego nie oczekuję – tłumaczyła pośpiesznie. – Nie chcę żadnych obietnic. Chcę po prostu wiedzieć, jak to jest, kiedy jest dobrze. Może nigdy w życiu nie będę miała takiej szansy. Nie jestem damą, nie muszę dbać o reputację. Nikogo to nie obchodzi.

Do diabła. Mnie to obchodzi, pomyślał.

Obchodziło go to, bardzo, i nie mógł temu dłużej zaprzeczać. Sprowadził ją do swojego domu, wziął ją pod opiekę. I powinien ją dobrze traktować.

Przesunęła dłońmi po jego piersi, a potem po ramionach. Musnęła pocałunkiem szyję.

– Griff, proszę…

Jego penis zadygotał radośnie, przychylając się do tej prośby.

To ta – szepnęło jego głupie serce. Ją sobie wybieram.

Ale w jego żyłach płynął mroczny prąd strachu. Ryzyko było zbyt wielkie dla nich obojga. Nie mógł jej tak po prostu wziąć. Przecież nie będzie do niego należała. Jeśli to zrobi, czekają ich długie miesiące, pełne rozpaczy i zagrożeń.

– Nie mogę. – Pogłaskał ją po włosach. – To nie twoja wina. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardo cię pragnę. Ale po prostu nie mogę.

Odsunął ją szorstko – inaczej nie byłby w stanie się od niej oderwać.

# 14

**P**auline spóźniła się na śniadanie. Zastanawiała się, czy w ogóle na nie zejść, wymówić się bólem głowy albo zmęczeniem, ale nie chciała, żeby ją zasypywano pytaniami.

Nie wiedziała, jak spojrzy w oczy księżnej. Ta kobieta miała spostrzegawczość jastrzębia. Trzeba będzie kontrolować każdy ruch, słowo i spojrzenie, żeby nic się nie wydało.

Przed wejściem do jadalni zatrzymała się na chwilę, żeby się skoncentrować.

Zza drzwi dochodziły głosy – księżnej i Griffa.

Do diabła.

Przecież normalnie nie wstawał tak wcześnie. Jak ona ma sobie z tym poradzić?

Pewnie tak samo jak on. Najprawdopodobniej nie będzie na nią w ogóle zwracał uwagi.

Chyba właśnie dlatego zszedł a śniadanie – bo bał się, że Pauline przyzna się księżnej, że bezwstydnie się na niego rzuciła poprzedniego wieczoru. Postanowił więc zdusić wszelkie spekulacje.

Udawaj, że nic się nie zdarzyło, powiedziała sobie w duchu. Wcale nie byliście sam na sam w bibliotece. Nie było żadnych przepełnionych tęsknotą uścisków. Ani rozkosznych pieszczot pod koszulką, ani szeptania podniecających, czułych słówek do ucha.

Zebrawszy się w sobie, rezolutnie wkroczyła do jadalni, przezornie spuszczając wzrok.

– Przepraszam za spóźnienie, wasze wysokości. Nie najlepiej…

Wyjaśnienia przerwało szuranie nóg krzesła. Ten dźwięk zmroził jej krew w żyłach.

Och, nie. Niemożliwe.

Przerażona, podniosła wzrok.

A jednak.

Ósmy książę Halford wstał z miejsca, gdy weszła do pokoju. Pewnie bez zastanowienia, bo dżentelmeni wstają tylko w obecności dam. Służących się tak

nie honoruje.

Na widok Pauline nikt nigdy nie wstawał. Zrobiło to na niej niesamowite wrażenie. Tylko że przy takim zachowaniu nie mieli żadnych szans na dyskrecję.

Potem było jeszcze gorzej, bo Griff pochylił w ukłonie ciemną, przystojną głowę.

– Panno Simms.

Brew księżnej powędrowała do góry.

– No, no.

Jej książęca wysokość wiedziała już wszystko. A przynajmniej zdawała sobie sprawę, że coś się wydarzyło. Pauline mogła się jedynie modlić, by szczegóły pozostały dla księżnej jedynie grą wyobraźni.

– Proszę siadać, panno Simms – zaprosił ją Griff.

Pokręciła głową.

– Wasza wysokość pierwszy.

– Poczekajcie chwilę – włączyła się księżna, wstając. – Właśnie zamierzałam przejść do porannego salonu, więc oszczędzę wam fatygi ponownego podnoszenia się z krzeseł.

– Czy dzisiaj mamy lekcje, wasza wysokość?

Księżna posłała jej dziwne spojrzenie.

– Nie. Dziś jest środa, dzień, w którym przyjmuję wizyty. Spodziewam się całego tłumu ciekawskich dam.

– Czy mam księżnej towarzyszyć?

– Lepiej nie. Niech się zastanawiają. Jeśli będą chciały na ciebie znowu popatrzeć, dziś wieczorem jest bal w ogrodach Vauxhall. Przedtem masz czas wolny.

Gdy tylko księżna wyszła, Pauline zaczęła szeptać do Griffa:

– Co ty wyprawiasz? Wstajesz w mojej obecności? Nie powinieneś tego robić. Widziałeś jej twarz? Była taka zadowolona. Pewnie myśli, że coś się między nami zmieniło!

– Wszystko się między nami zmieniło – odpowiedział Griff i dodał: – Przygotuj się, bo zaraz po śniadaniu wychodzimy.

– My? Wychodzimy? Dokąd? – Pauline świetnie sobie zdawała sprawę, że brzmi to jak entuzjastyczne popiskiwanie szczeniaka. Ale w głowie kłębiło jej się mnóstwo pytań.

– Tak. Wychodzimy we dwójkę. – Pomaszerował palcami po stole. – Po sprawunki. Chyba że masz inne plany.

Poza tym że miała ochotę poczytać ze dwie godzinki, a potem się zdrzemnąć?

– Nie mam żadnych.

– To świetnie. Weź narzutkę i spotkamy się w holu.

W dalszym ciągu nie była pewna, co dla niego oznaczała poprzednia noc. Ale nie mogła przecież zrezygnować z okazji, by spędzić z nim trochę czasu.

Nade wszystko chciała być z nim. W sercu dobrze wiedziała, co to oznacza. Poważne zagrożenie. Uczucia i zdradę.

Uważaj, Pauline. Z tego nie wyniknie nic dobrego.

Na ten jeden dzień postanowiła zapomnieć o zdrowym rozsądku i cieszyć się bliskością Griffa, nawet jeśli stawką byłoby złamane serce. Przez tych kilka godzin na pewno się w nim aż tak nie zakocha.

W końcu… wybierali się przecież po sprawunki.

Tylko że to nie były takie zwyczajne sprawunki.

Zabrał ją do księgarni. Do tamtej księgarni.

Kiedy powóz zatrzymał się przed znajomą wystawą, serce Pauline zaczęło wyczyniać dziwne skoki w jej piersi. Jakby chciało jednocześnie zatonąć i unosić się w górę.

Przypomniała sobie niemiłe słowa księgarza: „Zmykaj, zanim pogonię cię miotłą”.

– Dlaczego mnie tu przywiozłeś? – spytała, wysiadając z powozu.

– To księgarnia. A ty chcesz otworzyć wypożyczalnię, więc będziesz potrzebować książek, prawda? Trudno będzie je znaleźć w jakimś warzywniaku albo u kupca bławatnego.

Pociągnął ją za rękę.

– Chodź. Wykupimy wszystkie nieprzyzwoite, niemoralne, skandaliczne tomy, jakie tkwią na tych półkach.

Ruszył do wejścia, ale Pauline się opierała.

Zdziwiło go to.

– Jeśli nie chcesz przyjąć prezentu, potrącę ci to z twojego tysiąca funtów.

– Nie o to chodzi.

– To o co?

Skarciła się w myśli. Przecież chciał dobrze. Więcej niż dobrze. Przywiózł ją tutaj, by spełnić jej marzenia.

– A może jest tu jakaś inna księgarnia? Z większym wyborem książek? Ta jest taka malutka…

– Snidling jest najlepszy. Moja rodzina patronuje temu sklepikowi od pokoleń. Robią tu wspaniałe oprawy na zamówienie. To ważne dla wypożyczalni. Twoje

książki powinny być wytrzymałe. Wczoraj miałaś rację – dodał łagodniejszym tonem. – Co do Huberta i czapki. Nie mogę ci tak po prostu dać tysiąca funtów, otrzepać złoty pył z dłoni i odejść. Jeśli takie są twoje marzenia, chcę się upewnić, że przynajmniej spróbujesz je spełnić.

Och, Griff.

– Ale ja tam nie mogę wejść – wyrzuciła z siebie.

– Oczywiście, że możesz.

– Nie… Nie jestem tam mile widziana.

Spoważniał.

– Dlaczego tak mówisz?

Nie było innego wyjścia. Musiała powiedzieć mu prawdę. Słuchał jej opowieści z kamienną, obojętną twarzą. Ciężko było jej przyznać się do upokorzenia. Ale Griff musiał wiedzieć, dlaczego nie chce skorzystać z jego pomocy.

– Rozumiesz więc, że nie mogę tam wejść. Nie do tej księgarni.

Nie odpowiedział jej. A przynajmniej nie słowami.

Gdy lokaj otworzył drzwi, ujął ją stanowczo za rękę i wprowadził do środka.

Księgarz wyszedł zza lady i powitał go głębokim ukłonem.

– Wasza wysokość. Co za zaszczyt.

Griff zdjął czapkę i położył ją na ladzie.

– Czym mogę dziś służyć waszej wysokości?

– To jest panna Simms, przyjaciółka mojej matki. Chce nabyć książki do swojej biblioteki. O ile się nie mylę, zawarliście już znajomość na początku tego tygodnia.

Snidling rzucił okiem w stronę Pauline i oblizał językiem wargi, pośpiesznie jak jaszczurka.

– Obawiam się, że nie przypominam sobie tego, wasza wysokość. Proszę mi wybaczyć.

– Rozumiem. To ruchliwy sklep.

– Ludzie ciągle przychodzą i wychodzą. Nie jestem w stanie zapamiętać każdej twarzy.

Co za gad. Pauline doskonale wiedziała, że ją rozpoznał. Ciągle spoglądał w jej stronę, a policzki mu poczerwieniały.

Miała ochotę wytknąć mu kłamstwo. Wcale się go nie bała. Przynajmniej nie teraz, kiedy stała obok księcia. Ale on stanowczo przyciskał dłoń do jej pleców, jakby mówił: „Pozwól mi się z nim rozprawić”.

– Więc nie pamiętasz panny Simms? – zapytał po raz kolejny.

– Obawiam się, że nie, wasza wysokość.

– W takim razie pozwól, że potrząsnę twoją pamięcią – zaproponował książę

wyniośle i ostro zarazem. Słowo „potrząsnę” wymówił z takim naciskiem, że zabrzmiało jak groźba.

Pauline nigdy w życiu nie słyszała nic bardziej podniecającego.

– Rozmawiałeś z tą damą o pomarańczach, Leadenhall, królowej Saby i przeganianiu szkodników miotłą.

Księgarz zaczął się jąkać, dygocąc gwałtownie. Na policzki wystąpił mu krwisty rumieniec.

– W-wasza wysokość, pokornie proszę o wybaczenie. Nie miałem pojęcia, że młoda dama…

– To nie mnie należą się przeprosiny.

– Oczywiście, wasza wysokość. – Sklepikarz odwrócił się do Pauline. Starał się unikać jej wzroku.

– Panno Simms, proszę przyjąć moje najgłębsze przeprosiny. Nie zdawałem sobie sprawy. Bardzo przepraszam, jeśli zinterpretowała panna moje uwagi tak, że poczuła się nimi urażona.

– No i jak? Przyjmiesz te przeprosiny, panno Simms? – spytał książę.

Pauline rzuciła księgarzowi gniewne spojrzenie. Były to najbardziej nieszczere, najgorsze przeprosiny, jakie słyszała w życiu. Ale szkoda jej było dnia na roztrząsanie tego tematu.

– Owszem – odpowiedziała spokojnie.

– Świetnie. – Griff zatarł ręce. – W takim razie składamy zamówienie. Pisz listę, Snidling.

Księgarz odetchnął z ulgą. Podreptał za ladę, otworzył rejestr na nowej stronie i zanurzył pióro w atramencie.

Griff z wielką pewnością siebie zaczął dyktować tytuły i autorów.

– Zaczniemy od pani Radcliffe i pani Wollstonecraft. I od wszystkich współczesnych poetów. Byron i spółka. Do tego *Mnich*, *Moll Flanders*, *Tom Jones*, dobry przekład *L'École des Filles* i *Fanny Hill*. Dwa egzemplarze tego ostatniego tytułu.

Snidling podniósł wzrok.

– Wasza wysokość mówił, że to mają być książki do biblioteki dla młodej damy, prawda?

– Tak jest.

– Wasza wysokość, radziłbym…

– Żadnych rad – przerwał mu Griff. – Masz tylko zapisywać wymieniane przeze mnie tytuły.

Pauline poczuła, że robi jej się sucho w ustach. Wielkie nieba! Nawet gdyby

książę zdarł z siebie szaty, napiął mięśnie i trzymał księgarza na ostrzu szpady, nie wydałby jej się bardziej atrakcyjny niż w tej chwili.

Griff wymieniał kolejne tytuły. W ogóle nie mogła się na nich skupić.

Gdy lista zapełniła całą kartkę z obu stron, powiedział:

– Na początek wystarczy. Teraz zajmijmy się oprawami.

Griff gestem ręki zaprosił Pauline do obejrzenia próbek skóry. Zbliżyła się i serce jej zabiło. Minionej nocy pieścił jej piersi głodnymi dłońmi, napełnił ją sobą… Ale nic, co wtedy przeżyła, nie mogło się równać z tą chwilą.

Stała u jego boku, a uwielbienie przepełniało jej duszę. Jakim cudem on tego nie zauważył? Jak to się stało, że świat wokół nich wciąż był taki sam? Ją trafiła błyskawica, a on dalej mówił tym samym, spokojnym tonem:

– Naturalnie, wybierzesz safianowe oprawy. Są najlepsze. Do tego złote litery, na okładce i na grzbiecie. Jaki jest twój ulubiony kolor?

– Mój ulubiony kolor? Chyba… brązowy.

– Brązowy? – skrzywił się. – Taki niepozorny?

– To prawda. – Pauline pogładziła z uczuciem próbkę beżowej skóry, którą tak podziwiała kilka dni wcześniej. Mięciutka i kompletnie niepraktyczna. Pauline próbowała więc skupić się na safianie.

– W takim razie niech będzie czerwony – powiedziała, wskazując na karmazynową koźlą skórkę. – To najlepszy kolor dla nieprzyzwoitych książek, prawda?

– Niewątpliwie.

– Wszyscy będą od razu wiedzieli, że pochodzą z mojej wypożyczalni. To będzie świetna reklama.

– W takim razie, czerwony. Z marmurkowymi winietami i złotymi napisami. Zapisz to, Snidling.

Księgarz pośpiesznie robił notatki, z błyskiem chciwości w oku. Pauline niemal widziała, jak w myślach oblicza ogromny zysk z tego zamówienia.

– Mogę spojrzeć na listę? – zapytał książę.

– Naturalnie, wasza wysokość. – Snidling odwrócił ku niemu rejestr.

Griff przesunął palcem po zapiskach i pokiwał głową z aprobatą.

Potem jednym szarpnięciem wyrwał stronę z rejestru, podziękował uprzejmie, złożył ją na pół i przesunął palcami po zgięciu.

– Przyda się, kiedy będziemy składać zamówienie u konkurencji – powiedział z satysfakcją.

Księgarz uśmiechnął się nerwowo.

– Nie rozumiem, wasza wysokość.

– Naprawdę? W takim razie zaraz wszystko wyjaśnię. – Książę podszedł bliżej i spojrzał na niego z góry. – Może panna Simms przyjęła pańskie żałosne, marne, wręcz obraźliwe przeprosiny. Ale ja na pewno nie.

– Ale, wasza wysokość…

– Powiedziałbym „do widzenia”, ale skłamałbym, bo już się więcej nie zobaczymy.

Pauline miała ochotę krzyczeć z radości. Albo pocałować go na oczach wszystkich. Albo upajać się zwycięstwem przez dłuższą chwilę.

Ale Griff nie miał ochoty dłużej zwlekać.

Wyprowadził ją na zewnątrz.

– Nie przejmuj się. Znajdziemy inny sklep.

– Nie musimy się z tym spieszyć.

– Owszem, musimy – opowiedział. – Powóz czeka na nas za rogiem. Przejdziemy się?

– Chętnie.

Ledwie to powiedziała, ruszył w takim tempie, że z trudem za nim nadążała.

– Przepraszam – powiedział, gdy zorientował się, co się dzieje. – Zdenerwowałem się.

– Dzięki ci za ten gniew. I za to, co przed chwilą zrobiłeś. Fantastycznie się z nim rozprawiłeś.

Zapatrzył się w przestrzeń, uderzając się rękawiczkami po udzie.

– Griff, przez resztę tygodnia będę bardzo ciężko pracować – obiecała. – Zacznę od dzisiejszego wieczora w Vauxhall. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby stał się kompletną porażką.

Beztrosko machnął ręką, nie dbając o jej obietnice.

– Naprawdę. Obiecuję. To było… – Sama nie wiedziała, jak wyrazić swoje uczucia. – Nikt jeszcze nie zrobił dla mnie czegoś takiego.

Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

– I właśnie dlatego jestem taki wściekły, Simms.

Ten ognisty błysk w jego oczach… Rozbroił ją kompletnie. Znała to spojrzenie. Dokładnie odzwierciedlało gniew i oddanie, jakie płonęły w niej zawsze, gdy ktoś krzywdził Danielę. Świetnie znała tę czystą, bezrozumną wściekłość, że takie rzeczy mogą się dziać na świecie i że nie ma sposobu, by je powstrzymać. Griff czuł teraz to samo. Z jej powodu. I nawet nie próbował tego ukryć.

Jeśli miała jakąkolwiek nadzieję, że się w nim nie zakocha, utraciła ją w tej jednej chwili. To była tylko kwestia czasu. Po tygodniu będzie go kochać bez granic, strasznym, beznadziejnym, cudownym uczuciem.

Jej serce było teraz jak moneta – awers był radością, a rewers przerażeniem. Za każdym uderzeniem moneta się obracała, a uczucia zamieniały miejscami.

– Panna Simms?

Drgnęła, zaskoczona.

– Ach, to rzeczywiście pani. – Przed nimi stała lady Haughfell. – I wasza wysokość. Cóż za miła niespodzianka. Właśnie wracamy z waszej rezydencji

– Jak miło – odparł Griff.

– Owszem, poszłyśmy z wizytą towarzyską, żeby pogłębić znajomość z przemiłą panną Simms. Mamy wielką ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o jej rodzinie. Dziwne, bo nasz herbarz Debretta nic o niej nie wspomina.

Pauline doskonale zrozumiała podtekst tej wypowiedzi. Nie należysz do nas. Wiem o tym i zamierzam poznać całą prawdę.

– Nie było nas w domu – odpowiedział Griff.

– Dało się zauważyć.

– Uprzejmie przepraszam za tę niedogodność – powiedział chłodno. – Może zechce nas pani odwiedzić kiedy indziej.

– Z przyjemnością. Proszę przyjąć wyrazy mojej najgłębszej troski o zdrowie księżnej i życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

– Co takiego? – Głos mu się zmienił w jednej chwili.

Lady Haughfell uniosła brew.

– Nic książę nie wie? Lokaj nam powiedział, że matka waszej wysokości poważnie zachorowała.

# 15

Griff nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do domu. Powóz był zbyt daleko, ulice zbyt zapchane. Czas wlókł się impertynencko powoli.

Pauline usiłowała go ułagodzić.

– Z pewnością nic jej nie jest. Może powiedziała, że jest chora, po to, żeby nie musieć podejmować tych okropnych ludzi.

Kiwnął głową, mając nadzieję, że dziewczyna się nie myli. Nie mógł się jednak uspokoić, póki nie przekona się na własne oczy, że wszystko jest w porządku.

Kiedy dotarli do rezydencji Halford, wbiegł po schodach po dwa naraz i pognał korytarzem do apartamentów księżnej. Otworzył gwałtownie drzwi. Leżała na środku łóżka, z zamkniętymi oczami i dłońmi złożonymi na pościeli.

Bez ruchu.

Przejął go mróz. To nie mogło się zdarzyć. Jeszcze nie. Wiedział, że matka się starzeje i że, siłą rzeczy, zdrowie zacznie ją zawodzić. Ale nadal przejawiała taką silną wolę, tyle w niej było życia. Nie mogła mu tego zrobić akurat teraz.

Nie był gotów, żeby zostać samemu.

– Matko? – Nie odpowiedziała, a jemu ścisnęło się boleśnie gardło. – Matko.

W końcu otworzyła oczy, trzepocząc niewinnie rzęsami.

– Griffin? – odezwała się słabym głosem. – Czy to ty, mój drogi chłopcze?

Niech to diabli.

W tej chwili olśniło go, że to tylko podstęp. Przez całe życie matka ani razu nie zwróciła się do niego „drogi chłopcze”. Zapamiętałby to.

Księżna żyła, miała się dobrze i knuła, jak zwykle. Miał ochotę ją udusić.

– Podejdź bliżej. – Uniosła białą rękę, przebierając palcami w powietrzu. – Chcę jeszcze ten jeden raz spojrzeć ci w twarz.

Doprawdy, miała niebagatelne zdolności aktorskie. Powinna występować na scenie.

Wydobyła z siebie żałosny kaszel.

– Jedyne, czego żałuję… to zabawa w Vauxhall dziś wieczorem.

– Nieważne. Nie pójdziemy.

– Nie. – Siła sprzeciwu w jej głosie wyraźnie ją ożywiła. – Nie, musicie pójść. Wszyscy się was spodziewają.

– To dlaczego udajesz chorą?

– Wcale nie udaję. – Wygładziła pościel jedną ręką. – Po prostu jestem dzisiaj za słaba na Vauxhall. Przeciągi, mgła nad rzeką, te wszystkie schody… Zimno mi się robi na samą myśl. Wy dwoje musicie pójść beze mnie. Nie chcę zrujnować wam wieczoru.

– Trudno mi w to uwierzyć. Ogromnie się starałaś, żeby zepsuć nam ten wieczór.

Co za diaboliczna kobieta. Naprawdę nie rozumiała, w jaką panikę przez nią wpadł? To było tysiąc razy gorsze niż swaty albo nawet trucicielstwo czy porwanie. Nie mógł jej tego wybaczyć.

– Nie jesteś chora – stwierdził. – Rozkazuję ci wstać z łóżka i być zdrową.

Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

– Griffin, jesteś księciem. Nie świętym Jakubem, który uzdrawia trędowatych.

– A który święty jest patronem zbuntowanych synów? – Popatrzył gniewnie na tajemnicze wzniesienie pod narzutą. – Co ty tam trzymasz?

Objęła wzgórek dłońmi.

– Nic.

– To nie jest nic. Widzę wyraźnie, że coś chowasz pod tym kocem. Co to jest? – Sięgnął ręką, zamierzając ściągnąć narzutę i pościel.

Złapała je mocno.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Dowiem się, co ukrywasz.

Mocowali się przez parę sekund. Póki coś ostrego nie ukłuło go w nadgarstek.

– Auć.

Cofnął rękę. Zaskoczony, pomasował małą, okrągłą rankę. To teraz kłuła go szpilkami? Dobry Boże. Z szablą siałaby przerażenie.

– Cofam to, co przedtem powiedziałem. Jesteś chora. Poważnie chora. W przyszłym tygodniu zastanowimy się, jak cię urządzić na koniec życia. Podobno w Irlandii są wspaniałe sanatoria.

Pauline odciągnęła go na bok.

– W porządku – szepnęła. – Bardzo dobrze się składa. Jeśli mam się okazać towarzyską katastrofą, bez niej pójdzie łatwiej.

Griff nie był tego taki pewien. Wiedział doskonale, co się dzieje w matczynej głowie. Chciała ich zmusić, żeby poszli sami. Żeby spędzili cały wieczór razem, w rozpaczliwie romantycznym otoczeniu, a potem…

– To nie jest dobry pomysł – powiedział.

Zielone oczy spojrzały na niego błagalnie.

– Jestem w Londynie tylko ten jeden tydzień. Bardzo możliwe, że już nigdy nie wrócę. Marzyłam, żeby zobaczyć Vauxhall. I zasłużyć przynajmniej na swoje utrzymanie.

Westchnął, celując palcem w jej nos.

– No to staraj się zachowywać okropnie.

Uniosła dłoń w kpiącym salucie. Ale jej czarujący uśmiech wzbudził w nim niepokój. Wkrótce niczego nie będzie potrafił jej odmówić.

Wychodząc z sypialni, obrzucił jeszcze matkę nieżyczliwym spojrzeniem.

– Higgs – powiedział. – Dopilnuj, żeby moja matka nie ruszała się z łóżka. I wezwij doktora. Nie jakiegoś, który będzie się cackać. Takiego z pijawkami.

Po wyjściu księcia Pauline zbliżyła się do łóżka księżnej.

– Wasza wysokość, doprawdy… To nie było miłe z twojej strony. On się tak przestraszył.

Nawet bardziej niż przestraszył. Widziała, jak twarz mu poszarzała jak popiół, a kostki zaciśniętych dłoni zbielały. Nie rozumieli, jakie to szczęście, że mają siebie nawzajem? Nigdy dotąd nie spotkała ludzi, którzy kochali się w sposób oczywisty, a jednak nie żałowali czasu i wysiłku, żeby temu zaprzeczyć.

Zachowywali zimną krew i trwali w uporze.

– Sądziłam, że takie gierki są poniżej godności księżnej.

Cmoknęła z irytacją.

– Doskonale, przyznaję. Nie jestem naprawdę chora. Jestem zrozpaczona. Spójrz.

Księżna odrzuciła narzutę, ukazując niekształtny kocyk dziecinny, na tyle wielki, żeby otulić małe cielę. Nawet nie krowie cielę, ale małego słonia. Włóczkę zmieniano dwakroć, w trakcie pracy. Tak więc w jednej trzeciej kocyk był brzoskwiniowy, a w jednej trzeciej lawendowy. A teraz przerzuciła się na włóczkę różową.

Motki białe, zielone i niebieskie walały się złowieszczo dookoła.

Pauline gwizdnęła.

– Okropne.

– Wiem i z każdą chwilą coraz gorsze. Ten wieczór to szansa, na którą czekałyśmy. Zobaczysz.

– Nie, wasza wysokość. Okażę się katastrofą. Bez cienia wątpliwości. Elegancja, sposób bycia, ogłada, dykcja… to wszystko. Nie mam żadnych cech, którymi powinna odznaczać się księżna.

Starsza kobieta machnęła ręką.

– Zapomnij o tym. Jest tylko jedna jedyna cecha, która czyni z kobiety księżnę.

– Co to takiego?

– Ślub z księciem.

Pauline potrząsnęła głową.

– To się nie wydarzy.

– Znam swojego syna, dziewczyno. Już jest w połowie w tobie zakochany. To się zaczęło pierwszego dnia, a dziś rano… – Chrząknęła. – Jedno mocne pchnięcie we właściwą stronę i jest nasz. Nawet nie próbuj mi wmawiać, że nic do niego nie czujesz.

Westchnęła, nie wiedząc, jak odpowiedzieć. Nie chciał wziąć jej do łóżka. Ale po dzisiejszej wizycie w księgarni uwierzyła, że Griffowi na niej zależy. Chociaż trochę. Zdawała sobie także sprawę, że sama jest niebezpiecznie bliska tego, że się w nim zakocha.

Ale co to ma za znaczenie? Przecież nie takie, że będzie chciał się z nią ożenić. Albo że ona w ogóle będzie mogła za niego wyjść.

Podniosła się z krzesła.

– Odpoczywaj, księżno.

– Jeszcze jedno – zawołała starsza kobieta, kiedy Pauline znalazła się już przy drzwiach. – Dzisiejszego wieczoru musisz włożyć ametysty. Powiem Fleur.

Ametysty?

Pauline nie posiadała się ze zdumienia.

– Ależ, wasza wysokość. Nie mogłabym nosić…

– Jesteś na nie gotowa. Co więcej, on jest gotowy, żeby cię w nich zobaczyć. – Wyszła z pokoju, a księżna zawołała jeszcze za nią: – Liczę na ciebie, dziewczyno.

Wydawało się, że zbyt wielu ludzi na nią liczy. I miała z tym coraz większy kłopot. Książę wynajął ją, żeby go uchroniła przed wyswataniem. Księżna liczyła na to, że Pauline pomoże jej się wyplątać z włóczkowego galimatiasu. Pauline polubiła oboje – i rozumiała, że każde z nich potrzebuje czegoś więcej.

Ale gdzieś tam, o wiele za daleko, była nieszczęsna Daniela, wiernie zbierająca jajka i licząca dni do soboty. Siostra potrzebowała jej najbardziej.

Pauline zatrzymała się w korytarzu, zerkając na porcelanową pasterkę, której o mało nie stłukła parę dni wcześniej.

Co ja tu robię?

Dla tych ludzi życie na wsi sprowadzało się do dekoracyjnych figurek. A ona znała je jako wyczerpującą, nieustanną harówkę. Niezależnie od tego, jakimi złudzeniami karmiła się księżna, ona, Pauline, nigdy nie stanie się częścią tego arystokratycznego świata.

Jedyne, czego pragnęła, to własny sklepik w Spindle Cove i wypożyczalnia „niegrzecznych” książek. I nie chodziło o szlachetne intencje, ale o to, żeby jej i jej siostrze było dobrze w życiu. Ale bała się marzyć, żeby nie pomylić bajki.

Była ciężko pracującą dziewczyną i wynajęto ją z konkretnego powodu. Żeby zapewniła kompletną katastrofę pewnych planów.

– Colin, Colin, stało się coś strasznego!

Colin Sandhurst, lord Payne, podniósł głowę znad listu, który właśnie pisał. W drzwiach gabinetu stała żona – pociągająca, jak zwykle, istota o ciemnych włosach i wydatnych, stworzonych do całowania ustach.

Ale jej śliczne oczy spoglądały ponuro zza okularów.

Natychmiast podniósł się zza biurka.

– Min, dobry Boże. O co chodzi?

– Musimy coś zrobić.

– Zrobimy, oczywiście. – Przemierzył pokój, podchodząc do niej. – Oczywiście, że zrobimy. W tej chwili wyskoczę przez okno, jeśli tego sobie życzysz. Albo napiszę list do „The Times” w ostrym tonie. Ale nasze działania odniosą większy skutek, jeśli powiesz mi, co się stało.

Ujął ją za ramiona i zaprowadził na kanapę.

– To ten twój okropny, rozpustny przyjaciel – powiedziała. – Sprzed naszego ślubu.

Zachichotał.

– Obawiam się, że ten opis pasuje do szokującej liczby ludzi. Musisz go nieco zawęzić.

– Książę. Ten zachłanny, ohydny książę z Winterset Grange.

– Halford?

– Tak, ten właśnie. On ma Pauline Simms. Naszą Pauline z gospody Pod Bykiem i Pączkiem Róży. I trzyma ją jak zakładniczkę tutaj, w mieście. – Zadrżała. – Bogu wiadomo, co on tej biedaczce zrobił. Pewnie uczynił ją swoją miłosną zabawką.

Colin z trudem powstrzymał się od śmiechu.

– Minervo, usiłuję za tobą nadążyć, ale nie ułatwiasz mi tego. Może zaczniesz od początku i powiesz mi, co się dzisiaj zdarzyło.

– Widziałam ich razem. Szłam do księgarni, żeby… – Zaczerwieniła się lekko. – Żeby sprawdzić, czy sprzedano więcej egzemplarzy mojej książki. To silniejsze ode mnie.

– I sprzedano?

– Tak – odparła dumnie. – Trzy.

– Doskonale, Min. Wspaniale. – Colin kupił tylko dwie.

Wiedział, że udusiłaby go za to, ale to było silniejsze od niego. Zapotrzebowanie na traktaty geologiczne nie było specjalnie szerokie. Ale ona była taka słodka, kiedy coś podbudowywało jej poczucie własnej wartości – i szczególnie kreatywna w łóżku. Kierowały nim ściśle samolubne motywy.

– W każdym razie, kiedy zbliżałam się do księgarni, zobaczyłam ich oboje, jak z niej wychodzili. Wstrętny książę Halford i Pauline Simms. To było jasne jak słońce.

Colin westchnął. Nie chciał jej urazić, sprawa była drażliwa, ale to, o czym mówiła, wydawało się mało prawdopodobne.

– Czy miałaś na nosie okulary?

Zerknęła na niego oburzona.

– Oczywiście, że tak.

– A jednak. Przypuszczam, że musiałaś się pomylić.

– Nie. Wiem, że nie, Colin. Nie wierzysz mi?

– Wierzę bez zastrzeżeń, że jesteś przekonana, że ich widziałaś. – Zamknął jedną z jej słodkich, małych dłoni w swoich i pogłaskał uspokajająco. – Ale nadal sądzę, że to zbyt nieprawdopodobne.

– Prawdą jest, że trudno by znaleźć dwoje tak różnych od siebie ludzi – zgodziła się Minerva. – Książę jest zepsuty i rozpustny. A Pauline to złota dziewczyna.

– Cóż. Przeciwieństwa czasami się przyciągają. A kobiety ze Spindle Cove, „porywane” przez dandysów, nie zawsze są tak niechętne, jak ktoś postronny mógłby sądzić.

Uśmiechnęła się.

– Przypuszczam, że to prawda.

– Zanim wyruszymy z misją ratunkową, zastanówmy się nad paroma rzeczami. Wszystko wskazuje na to, że Pauline nie miała środków na podróż do Londynu. Po drugie, znam Halforda. Ten człowiek nie zbliżyłby się do księgarni. A wreszcie – delikatnym, czułem gestem dotknął jej nosa – narzekałaś, że w twoich okularach trzeba wymienić szkła. Wydaje się, że pomyłka jest najwłaściwszym wyjaśnieniem.

– Colin…

– Jednakże – dodał – zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię uspokoić. Dzisiaj popytam w klubach. Zbiorę plotki na temat Halforda.

– Dobry pomysł. A ja odwiedzę Susannę i lorda Rycliffa. Jeśli coś złego stało się w Spindle Cove, na pewno o tym słyszeli.

– Doskonale. A jeśli nasze małe śledztwo niczego nie przyniesie, dokonamy

eksperymentu. Jutro wpadniemy z wizytą do rezydencji Halforda.

Skinęła głową. W oczach miała łzy.

– Droga Min. – Pogładził czule jej policzek. – Czy naprawdę tak cię to martwi?

– Nie – powiedziała. – Tylko jestem taka dumna. – Uścisnęła jego rękę. – Stosujesz metodę naukową.

# 16

**P**rzez resztę dnia Griff był zajęty. Miał mnóstwo spotkań, wyznaczonych na popołudnie; wszystkie dotyczyły zarządu jego posiadłości.

A to i tak nie było dosyć. Te wszystkie spotkania z doradcami prawnymi, agentami ziemskimi, sekretarzami… Były jak kule armatnie w skrzyni. Ciężkie, zajmujące miejsce – ale niewypełniające skrzyni do końca. Myśli o Pauline wypełniały każdą szczelinę, niczym milion ziarenek piasku.

Albo kryształków cukru – zapewne właściwsze porównanie.

Jakoś udało mu się wypełnić sobie czas do późnego popołudnia, kiedy to oddał się w ręce swojego kamerdynera. Wyłonił się z pokoju godzinę później – gładko ogolony, starannie ubrany i zupełnie nieprzygotowany na zjawisko, które właśnie schodziło po schodach.

Dobry Boże.

Jedno spojrzenie i Griff wiedział, że wszystko skończone. Wieczór stanowił porażkę, zanim się zdążył zacząć. Nikt nie uwierzy, że to zwykła panna służąca. Nie dzisiaj, nie wtedy, kiedy wygląda, jak wygląda.

Miała na sobie odsłaniającą ramiona suknię w kolorze głębokiego, pięknego różu; jej biodra opływały spódnice z materiału zwiewnego jak pajęczyna; na rękach – sięgające do łokcia rękawiczki tej samej barwy. Włosy, skręcone w loki, upięte, układały się w elegancką, zachwycającą fryzurę, której stworzenie wydawało się nie wymagać żadnego wysiłku. Prawdziwa sztuka. Fleur należała się podwyżka.

Robiła wrażenie. Jej szyja tworzyła białą, szczupłą kolumnę, a obnażone ramiona… ach, jej ramiona wydawały się wyrzeźbione z księżycowego światła. Subtelna i spokojna, tajemnicza, kobieca… Sznur bladych ametystów spływał zmysłowo po jej dekolcie, przyciągając i załamując światło.

Griff przypomniał sobie, że jest księciem i libertynem. Widział w życiu wiele pięknych kobiet. Wspanialsze suknie, cenniejsze klejnoty. Rozum mu podpowiadał, że Pauline Simms nie jest w stanie przyćmić wszystkich i wszystkiego, co zdarzyło się przedtem. A jednak w jakiś sposób jej się to udało.

Nie mógł wskazać żadnej szczególnej cechy czy szczególnego gestu z jej strony. To było po prostu…

To była ona. Będzie moja.

– Cóż? – odezwała się w końcu.

Spojrzał jej w oczy – lśniące, zielone, skośne jak u kota, inteligentne oczy, osadzone w twarzy o kształcie serca. Dzisiaj widział w nich niepokój – i obawę przed zranieniem.

Wielki Boże. Nie miała pojęcia. Oczarowała go tak, że niemal zaczął się ślinić, i zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

Uniosła brew.

Czeka na twoją reakcję. Zareaguj. Ale nie przesadnie. W sposób wyważony. Jedno czy dwa dobrze dobrane słowa.

To, co z siebie wydobył, brzmiało:

– Dohm…

Och, Boże. Czy ten dziwny dźwięk naprawdę pochodził z jego gardła?

Pauline zamrugała.

– Słucham?

Widocznie tak. Odchrząknął przeciągle, usiłując znaleźć sposób, żeby naprawić to, co zepsuł.

– Dobrze – powiedział, chrząkając ponownie. – Powiedziałem: „dobrze”.

Na policzki Pauline wypłynął śliczny rumieniec. Zagryzła wargę, wyraźnie niepewna.

– „Dobrze” w jaki sposób? – zapytała. – „Dobrze”, czyli „raczej niedobrze”, co ma służyć naszym celom? Czy też „dobrze”, czyli w istocie „naprawdę dobrze” i jesteś niezadowolony?

Griff westchnął w duchu. Co miał powiedzieć? Dobrze jak

„Dobry Boże, jesteś najbardziej promienną, cudowną istotą, jaką spotkałem w życiu; odjęło mi mowę i stoję przed tobą, drżąc cały”. Czy to coś wyjaśni?

– Dobrze, to po prostu dobrze – oznajmił. – Nie jestem niezadowolony.

Leciutko skrzywiła usta.

– Wobec tego… dobrze.

Obecnie można już było uznać tę rozmowę za najbardziej wariacką, w jakiej Griff uczestniczył – włączając w to dyskusję z Delem po pijanemu na temat wyścigów ostryg.

– Czy kolor nie jest zbyt okropny? – Ujęła fałdę materiału w dłoń. – Sukiennik określił go jako „płatek kwiatu pokryty rosą”, ale twoja matka twierdzi, że bardziej przypomina „mrożoną jagodę”. Co o tym sądzisz?

– Jestem mężczyzną, Simms. O ile nie rozmawiamy o kobiecych sutkach, te rozróżnienia nie mają dla mnie znaczenia.

Wydęła usta w karcącym grymasie.

– Jakikolwiek by to był odcień, dobrze na tobie wygląda. – Za dobrze. Wciągnął na ręce czarne, wieczorowe rękawiczki i wziął kapelusz od Higgsa. – Chodźmy.

Powóz już czekał w pełnej gotowości. Odwrócił się do Pauline. Musiała potrzebować pomocy, spętana tymi wszystkimi spódnicami. Ujęła podaną dłoń bez wahania i ścisnęła ją mocno, wspomagając się jego siłą. Ciepły dotyk jej palców w satynowej rękawiczce niemal odebrał mu panowanie nad sobą. Wchodząc do powozu, sam z trudem zachowywał równowagę; zajął miejsce naprzeciwko niej, tyłem do kierunku jazdy.

Spojrzał w stronę okna. Musi się opanować. Dopiero wyszli z domu i czekał ich cały wieczór.

Kiedy dotarli do przeprawy przez rzekę i wysiedli z powozu, zapadał zmierzch. Mgła i mrok pogłębiały wrażenie romantycznej tajemniczości, jakby Griff nie próbował tego dyskredytować.

– Przepłyniemy rzekę łodzią? – zapytała, obserwując z niepokojem spuszczanie łodzi na wodę. Mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

Skinął głową.

– To jedyny sposób, żeby się dostać do Vauxhall. W końcu powstanie most, ale na razie nie jest ukończony.

– Nigdy nie płynęłam łodzią. Nigdy w życiu.

– Nigdy? Ale przecież mieszkasz nad morzem.

– Wiem. To absurdalne, prawda? Panie czasami udają się na przejażdżkę łódką, ale nigdy nie miałam powodu, żeby się do nich przyłączyć.

– Nie bój się. – Wyciągnął rękę. – Chodź.

Pomaganie jej przy wsiadaniu do łodzi było jeszcze bardziej ryzykowne niż przedtem do powozu. Griff wszedł pierwszy, zapierając się mocno butami w dno łodzi i starając się utrzymać prosto.

Pauline przyjęła jego dłoń i zrobiła ostrożny krok w stronę siedzenia przy rufie. Zachwiała się. Musiał chwycić ją za oba ramiona, opadła na jego pierś.

– A niech to. – Usiłowała stanąć prosto i łódź się zachwiała.

Niemal wywrócił mu się żołądek. Przed oczami przemknął mu obraz – krótki, trzeźwiący koszmar: Pauline wpada w czarną wodę i te piękne, ciężkie spódnice wciągają ją na samo dno.

– Nie ruszaj się – powiedział, ściskając ją mocniej. – Jeszcze nie.

Trzymał ją mocno tuż przy sobie. Przez chwilę stali bez ruchu – kołysząc się w

swoich ramionach, podczas gdy łódź odzyskiwała równowagę.

– Dobrze się czujesz? – szepnął.

Kiwnęła głową.

– Serce ci bije tak szybko – zauważył.

– Tak samo jak twoje.

Uśmiechnął się lekko.

– Zgadza się.

Kiedy łódź w końcu znieruchomiała, pomógł jej usiąść i dał znak przewoźnikowi, który ruszył, przecinając Tamizę równymi, gładkimi pociągnięciami wioseł.

– Widzisz? – szepnął, nie puszczając jej. – Nie ma się czego bać. Wyobraź sobie, że podróżujemy przez kryształową komnatę z poematu. W drodze do innego świata. Innej Anglii. Innego Londynu z jego Tower. Innej Tamizy i innych wzgórz.

Jej napięcie wyraźnie zelżało.

– Jest piękna, księżycowa noc.

– Tak, właśnie tak – odezwała się, ponownie usidlając go swoim czarem.

Griff nigdy nie był typem romantyka, nawet jako chłopak. Kiedy był z Pauline, świat się zmieniał. Zmuszała go, żeby go oglądał innymi oczami. Nagle jego biblioteka stała się ósmym cudem świata, a korynckie kolumny zasługiwały na bluźnierstwo. Przeprawa przez Tamizę zamieniała się w epicką podróż, a pocałunek… pocałunek był wszystkim.

Głęboko, pod maską zapracowanej panny służącej o ostrym języku, dostrzegł kobietę, która łaknęła w życiu poezji. Niczego nie dostała – nawet równych szans. Ale miała żywą duszę, która karmiła się zwykłymi możliwościami – chłonęła je jak knot świecy i tym jaśniej płonęła.

A dzisiejsza noc? Griff zwrócił głowę ku zachodowi, patrząc na zniżające się nad horyzontem słońce. Za niecałą godzinę jej świat eksploduje cudownymi możliwościami.

Niczego tak nie pragnął, jak znaleźć się obok niej, kiedy to się stanie.

Pauline uznała Vauxhall za raczej przytłaczające. I to jeszcze zanim tam weszli.

Kiedy wysiedli po drugiej stronie rzeki, chwilę trwało, zanim jej żołądek przestał wywracać fikołki. Zaczęli wchodzić na wysokie schody, prowadzące do wspaniałej bramy. Im wyżej wchodzili, tym głośniej brzmiała muzyka.

A niech to, pomyślała. Nie powiedziała tego głośno, nie tej nocy. Ale wciąż powtarzała to w myślach, nawet kiedy przekroczyli bramę i znaleźli się we właściwych ogrodach.

A niech to, a niech to, a niech to, a niech to…

Nie wiedziała, że przyrodę można podporządkować do tego stopnia. Trawniki były doskonale płaskie. Krzaki przycięte w geometryczne kształty. Drzewa zasadzone w równych szeregach.

Kolumnady, tworzące zakryte alejki, biegły w różnych kierunkach. Na końcu każdej wisiały wielkie malowidła. Z tej odległości nie widziała ich wyraźnie. Zauważyła także biały pawilon muzyczny w kształcie ogromnej muszli, pokrytej wszelakimi ozdobami.

Uświadomiła sobie nagle, że od paru minut nie zamyka ust ze zdumienia. Książę zwrócił na to uwagę.

Spojrzał na nią z rozbawieniem.

– Ściemnia się – powiedziała. – Czy nie powinniśmy iść w stronę pawilonu?

– Jeszcze nie – odparł, chwytając ją za ramię. Sprowadził ją z głównej alejki, w stronę ciemniejącego zagajnika, z daleka od kolumnady.

– Co się dzieje?

– Coś się zdarzy i chcę, żebyś to zobaczyła. Chcę być z tobą, kiedy to zobaczysz.

Stanęła na palcach, wyciągając szyję i rozglądając się we wszystkie strony.

– Na co czekamy?

– To już się zaczyna – powiedział, odwracając jej głowę. – Patrz.

Pauline spojrzała. Nad jej głową pojawiła się płonąca kula. Wisząca wysoko świetlista kula.

Zamrugała i pojawiły się dwie.

A potem dziesięć.

A potem… tysiące.

Ciepły blask rozlał się po ogrodach falą światła, wydobywając z mroku gdzieniegdzie czerwoną, gdzie indziej zieloną czy niebieską lampkę. Zachwyt pozbawiał ją tchu; odchyliła głowę do tyłu. Na drzewach nad nimi, na każdej gałęzi, zawieszono lampy. Światło wędrowało od jednej do drugiej i wkrótce cały zagajniczek płonął blaskiem. Wrażenie przypominało widok, kiedy stoi się pod barwnym witrażem w kościele, w wyjątkowo słoneczny dzień. Tyle że teraz była noc i wszystkie kolory promieniały. Lampy były jak tysiące klejnotów – zdobiących gałęzie drzew i rzeźbiony kamienny łuk.

Pauline trudno było znaleźć odpowiednie słowa. Roześmiała się i klepnęła dłonią w policzek.

– Jak to się robi? – zapytała. – Jak można zapalić je wszystkie naraz?

– Poprzez system lontów – wyjaśnił. – Wystarczy zapalić kilka, a iskra wędruje

do kolejnych.

– To magia – powiedziała.

– Tak – zgodził się cicho. – Myślę, że tak.

Odwróciła się do księcia, oszołomiona pięknem widowiska. Nie patrzył wcale na wiszące na drzewach świetliste kule.

Patrzył na nią.

Przez jej nagie ramiona przebiegł dreszcz. Skrzyżowała ręce, żeby się ogrzać.

– Pozwól – powiedział, kładąc jej na ramionach dłonie w rękawiczkach i pocierając nimi w górę i w dół.

Gładka skóra sunęła po jej ciele, ciepła i miękka. Miły gest, ale w żaden sposób nie przyczyniał się do tego, żeby pozbawić ją gęsiej skórki.

Pieścił wzrokiem jej usta.

– Może popełniliśmy błąd, przychodząc tutaj.

– Nie – odparła z naciskiem, mając nadzieję, że słowa nie toną w łoskocie jej serca. – Nie, obiecuję, że jestem w stanie to zrobić.

– Halford! – rozległ się nagle czyjś głos. Odwróciła się; lord Delacre machał do nich z alejki pod kolumnami. – No, chodźcie. Mamy lożę tam dalej.

– To sygnał – zwróciła się do Griffa, puszczając do niego oko. – Pora, żebym zarobiła swoje tysiąc funtów. Przygotuj się na katastrofę.

Poszli w stronę alejki, a potem do loży, którą zarezerwował Delacre. Pauline wmieszała się między ludzi. Griff patrzył, jak się śmieje i żartuje, popijając szampana i pochłaniając, jeden za drugim, cieniutkie jak opłatki plasterki szynki.

Griff, ze swej strony, trzymał się z boku, od czasu do czasu pociągając brandy z kieszonkowej flaszeczki i w końcu uświadamiając sobie bolesną prawdę. Musi znaleźć nowych przyjaciół.

Martin zabrał ze sobą swoją piosenkareczkę z Drury Lane, Delacre odnowił znajomość z wdową. Parę dobrze ubranych prostytutek kręciło się na obrzeżach grupy, mając nadzieję na szampana, zanim będą musiały odejść. Pauline, bez cienia wysiłku, była najbardziej wyrafinowaną kobietą w tym kręgu. Gdyby wykazała się w tej chwili słabą znajomością ustaw zbożowych, nikogo by to nie obeszło.

Wszyscy choć w połowie przyzwoici panowie, którzy kiedyś należeli do ich grupy, w ostatnich latach odpłynęli – pożenili się, odziedziczyli tytuły, ustatkowali się. Griff także chciałby odejść – nie żeniąc się – ale trudno jest odejść, kiedy jest się „duszą” towarzystwa.

– Hal, kiedy otwierasz Grange w tym roku? – zapytał Martin z ręką na upudrowanych ramionach swojej kochanki. – Moja Ruby lubi spędzać wakacje na

wsi. Sprowadzi przyjaciółki. Bardzo przyjazne przyjaciółki.

Umalowana blondyna posłała mu fałszywie skromny uśmiech.

W zeszłych latach Griff spędzał zwykle chłodniejsze miesiące roku w Winterset Grange. Ten dom był jego pierwszym zakupem, kiedy osiągnął pełnoletność. Nawet przy sześciu rodzinnych posiadłościach chciał mieć jakieś miejsce wyłącznie dla siebie. Inni panowie mieli kawalerskie apartamenty w mieście. On był księciem. I miał kawalerską posiadłość. Tam też, przez całe lata po ukończeniu uniwersytetu, on i jego przyjaciele z Oksfordu wznosili tradycję domowych przyjęć na nowe wyżyny – albo może „doliny" – rozpusty.

Słynący z hojności gospodarz trzymał drzwi otwarte dla wszelkich i wszystkich gości – zwłaszcza tych należących do płci pięknej. Za dnia spano. Noce upływały na hazardzie, piciu i cielesnych rozrywkach.

Grange tak się zakorzeniło w świadomości towarzystwa, że kiedy Griff nie otworzył domu zeszłej zimy, pojawiły się plotki, że jest niewypłacalny.

Nie był, rzecz jasna, spłukany. Był załamany.

– Otwierasz Grange w tym roku, prawda? – powiedział Martin.

– Jeszcze nie wiem – odparł Griff. – Może wcale.

– Och, daj spokój, Hal. Musisz. Zeszłej zimy byłem zmuszony pojechać do domu, do Shropshire. Co za nuda, mówię ci. Staruszek upiera się, żebym zasilił szeregi klechów.

– Problemy młodszych synów.

Griff nie miał ochoty otwierać domu tylko po to, żeby Martin i Delacre, oraz wszyscy inni przerośnięci młodzieńcy w Anglii, mogli u niego zbijać bąki i urządzać pijackie zawody w bilard, trwające trzy dni i trzy noce z rzędu.

Za młodu to była świetna zabawa, ale teraz… Obawiał się, że jego cierpliwość i hojność się wyczerpały.

Albo zmieniły kierunek.

Czuł, że może ten dom otworzyć tylko z jednego powodu – dla Pauline.

Jak tylko ta myśl przemknęła mu przez głowę, zajął się nią jego umysł. Wiedział, że Pauline marzy o otwarciu księgarni w Spindle Cove. Ale może pragnęła tego, bo nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby dostać coś więcej.

On mógł dać jej więcej.

Odwróciła się do niego, jakby poczuła, co się w nim dzieje. Podeszła, prześlizgując się przez zatłoczoną lożę.

– Lord Delacre poprosił mnie do tańca – szepnęła. – Nie mam zielonego pojęcia o krokach. Jeśli zdołam potknąć się we właściwym momencie, myślę, że oboje dotrzemy do naszej wazy z ponczem. Czy mogę dostać dziesięć funtów premii?

Uśmiechnął się wbrew sobie.

– Dwadzieścia.

Patrzył, jak odpływa, trzymając Dela pod ramię, w stronę barwnego tłumu tancerzy.

Och, nie może się z nią ożenić. W ogóle nie może się ożenić. Ale może się nią zaopiekować, dopilnować, żeby nigdy nie musiała walczyć o przeżycie. W wieku dwudziestu trzech lat napracowała się dość na całe życie. Nie powinna wrócić do tej harówki. Zasługiwała na najlepsze smakołyki, najdelikatniejsze materiały, na to, żeby obsługiwało ją tuzin pokojówek i na kąpiele w głębokich, miedzianych wannach.

Delacre kołysał nią w tańcu z boku na bok. W tej ślicznej różowej sukni jej zwinna figurka była jak marzenie. Miał nadzieję, że się bawi, przynajmniej trochę. W sprawiedliwszym świecie urządzono by jej bal debiutancki i tuziny admiratorów biłoby się o jej rękę. Podziwiał ją w imieniu tych tuzinów. Nie mógł oderwać od niej oczu.

Tancerze zwrócili się w drugą stronę i Griff dostrzegł jej twarz.

Niech to diabli. Znał dobrze ten wyraz twarzy. I nie podobał mu się.

Zanim pomyślał, jego nogi już go niosły. Musiał się do niej dostać, natychmiast.

Działo się coś złego.

# 17

*J*ak długo znasz księcia? – Lord Delacre zręcznie prowadził ją w tańcu. Był tak dobrym, eleganckim tancerzem, że prawie nie zdarzało jej się postawić fałszywego kroku.

– Poznałam go dopiero w tym tygodniu – odparła Pauline zgodnie z prawdą. – A wy dwaj, jak długo się znacie?

– Studiowaliśmy razem w Eton. I od tamtej pory pozostajemy w bliskiej przyjaźni. – Spojrzał na nią wzrokiem, z którego trudno było cokolwiek odczytać. – Wiesz, zawarliśmy pakt.

– Pakt?

– Tak. Zaprzysiężony krwią nad skrzyżowanymi szpadami. Żeby bronić się nawzajem przed wszelkimi zagrożeniami: podstępem, zdradą…

– Śmiercią? – dokończyła Pauline.

– Gorzej. Małżeństwem.

Roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać.

– Ile mieliście lat, kiedy złożyliście tę przysięgę?

– Dziewiętnaście. Ale ona nigdy nie traci mocy. Odnawia się automatycznie.

– Rozumiem. – Usiłowała przybrać zamyślony wyraz twarzy. – Lordzie Delacre, jeśli książę pragnie uniknąć małżeństwa, czy nie potrafi obronić się sam?

Potrząsnął głową.

– Rzeczywiście jesteś nowa w Londynie, prawda? Taki mężczyzna jak Halford potrzebuje zaufanego przyjaciela, który osłania jego tyły przez cały czas. W towarzystwie roi się od kobiet, które polują na majątek. A w tej dziedzinie jego majątek to niezwykle cenna skóra białego tygrysa. Wspaniała zdobycz. W tym mieście są kobiety, które posunęłyby się do zatrutych strzał i rozmaitych pułapek, byle go usidlić. – Uniósł brew i z kpiącą powagą przesunął wzrokiem po otaczającym ich tłumie. Po czym znowu spojrzał na nią.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy uderzą.

– A zatem sądzisz, że jestem jedną z tych kobiet – podsumowała Pauline. – Łowczynią fortuny, jak pozostałe. Drogi panie, pozwól się zapewnić, że nie mam

takowych planów wobec księcia. W mojej torebce nie znajdziesz ostrych strzał ani procy. Nie mam też żadnych cech, które mogłyby kogoś takiego, jak książę Halford, skłonić do małżeństwa.

No, a gdzie ta waza z ponczem? Nie miała ochoty wyjaśniać Delacre'owi swojego układu z Griffem, ale wprowadzenie planu w życie odniosłoby ten sam skutek. Skąpany w arakowym ponczu, z pewnością przestałby ją traktować jak matrymonialne zagrożenie.

– Mam nadzieję, że znasz reputację Halforda – powiedział Delacre. – Możesz mu ofiarować swoje wdzięki, ile razy chcesz, a i tak się z tobą nie ożeni.

– Dlaczego podejrzewasz, że jestem skłonna komukolwiek ofiarować swoje wdzięki?

– Proszę wybaczyć, panno Simms – odparł sztywno. – Nie miałem niczego takiego na myśli.

Kłamca. Miał na myśli dokładnie to, co powiedział. Jakby wystarczyło na nią spojrzeć – nie wiedząc nawet o jej skromnym, pospolitym pochodzeniu – żeby się zorientować, że jest tego rodzaju dziewczyną.

Co gorsza, do pewnego stopnia się nie mylił. W młodości nie strzegła swoich „wdzięków" tak pilnie, jakby należało. Griff o tym wiedział i nigdy nie okazywał jej z tego powodu pogardy.

Pauline rozejrzała się. Rozpaczliwie pragnęła zakończyć tę rozmowę. I wrócić do Griffa.

Aha. Jest. Wielka, srebrna waza ponczu, w kształcie otwartej muszli ostrygi. Jak tylko dotrą do krawędzi parkietu, poprosi lorda Delacre o coś do picia. Podejdą do wazy… On się pochyli, żeby nabrać napoju…

A wtedy starczy jedno mocne pchnięcie.

– Lordzie Delacre, twojemu przyjacielowi nic z mojej strony nie grozi. – W duchu dodała: Tobie natomiast…

– Chciałbym cię wziąć za słowo, panno Simms. – Delacre spojrzał gdzieś ponad jej ramieniem. – Gdyby tylko sam Halford nie przeczył temu, co mówisz.

– Co?

– Wystarczy. – Griff pojawił się nagle znikąd i zatrzymał ich w środku tańca. – Teraz moja kolej.

– Och, daj spokój, Halford – sprzeciwił się Delacre. – Daj nam skończyć taniec. Prowadzimy interesującą rozmowę.

Griff chwycił przyjaciela za klapę, odciągnął od Pauline i zniżył głos do groźnego pomruku:

– Powiedziałem, ona jest moja.

Delacre podniósł ręce.

– Doskonale. Jest twoja.

Skłoniwszy się lekko – i rzuciwszy Pauline nieufne spojrzenie – Delacre zniknął.

Griff wziął ją w ramiona i podjął taniec. Pauline patrzyła na niego zdumiona.

– Dlaczego się wtrąciłeś? Byłam o krok od cudownej katastrofy.

Wzruszył ramionami.

– Doszedłem do wniosku, że nie mam ochoty oglądać, jak nurkujesz w wazie z ponczem. Suknia, którą masz na sobie, kosztowała zbyt wiele pracy. Tak samo jak poncz. Nie wspominając już o tym, że dzisiaj jest dość wietrznie. Mogłabyś się przeziębić.

Mogłaby się przeziębić?

– Zdajesz sobie sprawę – szepnęła – że zgodnie z naszą umową, wcześniej czy później będziesz musiał pozwolić mi się potknąć?

– Cóż, nie dzisiejszej nocy. Dzisiaj jestem tu dla ciebie. I nie pozwolę ci upaść. – Pochylił się bliżej i szepnął jej do ucha: – Widziałem, że czułaś się nieswojo, Pauline.

Serce jej się ścisnęło. To, że zauważył z daleka, że coś jest nie tak – i nie tracił czasu, żeby pośpieszyć z pomocą – wzruszyło ją głęboko. Nieważne, co mówiono o jego przeszłości czy reputacji. To był dobry człowiek.

Mocno ścisnęła go za ramię.

– Wszystko w porządku. – Położył jej rękę na plecach. – Po prostu ruszaj się tak, jak cię prowadzę.

W tańcu przeszli w stronę pawilonu, na przeciwną stronę niż loża znajomych. Zamiast wracać na parkiet, poprowadził ją dalej od orkiestry, na słabo oświetloną ścieżkę. Kiedy tłum został za nimi, odwrócił ją twarzą do siebie.

– Co się stało? – zapytał, kładąc jej ręce na ramionach i wpatrując się uważnie w jej twarz. – Czy chodzi o coś, co Del powiedział? Zabiję go bez wyrzutów sumienia.

Pauline uśmiechnęła się blado.

– Nie rób tego, proszę. – Nawet jeśli Delacre ją obraził, wiedziała, że na swój niemądry, skrzywiony sposób starał się okazać dobrym przyjacielem dla Griffa. Nie chciała znaleźć się między młotem a kowadłem.

– Czy ktoś inny sprawił ci przykrość? Czy źle się czujesz?

– Nie, nic podobnego.

– A zatem tęsknisz za domem.

– Tęsknię za domem. – To nie było kłamstwo. – Jestem oszołomiona. Gdziekolwiek się zwrócę, myślę: Daniela chciałaby to zobaczyć. I stąd…

Przyciągnął ją blisko.

– Żal i smutek.

Skinęła głową.

– To przejdzie. Spacer pomoże.

Podał jej ramię, a ona je przyjęła. Razem ruszyli w mrok między drzewami. Po raz kolejny to, że tak doskonale rozumiał jej uczucia, dało jej do myślenia. Zupełnie jakby sam przeżywał coś podobnego.

– Czy mogę cię o coś zapytać? – odezwała się.

– Tylko jeśli nie ma to żadnego związku z wytopem rudy miedzi.

Uśmiechnęła się.

– Chodzi o moją siostrę. Zachowywałeś się przy niej doskonale. Po prostu doskonale. Czy masz w rodzinie kogoś takiego, jak Daniela?

– Nie – odparł. – Wcale nie mam rodzeństwa. Już nie.

A więc stracił kogoś. Ścisnęła go za ramię.

– Griff, tak mi przykro. Nie wiedziałam.

– Nie jest tak, jak myślisz… to znaczy jest, ale nie jest. Moja matka powiła czworo dzieci, ale tylko ja przeżyłem dłużej niż tydzień. Nie mam żadnych wspomnień po braciach i siostrze. – Uniósł zwieszającą się nisko gałąź, żeby Pauline wygodniej było przejść; schyliła się lekko. – Daniela jest czarująca. Masz szczęście, że jest przy tobie ktoś taki.

– Tak. Nie zawsze zdawałam sobie z tego sprawę, ale tak jest.

Pauline nie była święta, Daniela także nie. Jak wszystkim siostrom, zdarzało im się kłócić i mieć do siebie różne żale i pretensje. No i był ten niechlubny epizod, kiedy ojciec zabrał je na targ. Pauline, może ośmioletnia, pobiegła, żeby znaleźć jakichś nowych przyjaciół, żeby zaczerpnąć odrobinę radości z cudzego życia. Zmieszała się, kiedy Daniela podeszła do ich rozbawionej grupki.

– Czy ta głupia to twoja siostra? – zapytał szyderczo jeden z chłopców.

– Rany, nie – odparła. – W życiu jej nie widziałam. Odpędźcie ją.

Nawet dzisiaj pamiętała wyraz przerażenia na twarzy siostry. Poczucie winy przygniotło ją jak kamień młyński. Zrozumiała w tamtej chwili, że wyparła się osoby, która kochała ją najbardziej na świecie. I dlaczego? Żeby wywrzeć wrażenie na paru dzieciakach na targu? Popędziła za Danielą, błagając o wybaczenie. Objęły się mocno i nie mogły przestać płakać. To było bolesne wspomnienie, ale nie śmiała wyrzucić go z pamięci.

– Mam szczęście, że ją mam – powtórzyła. – Nikt inny tego nie rozumie. Nikt.

– Może mają za dużo rodzeństwa. Nie wszyscy mamy takie szczęście.

Po tych słowach zamilkł.

Pauline przyglądała się jego przystojnej twarzy w słabo rozświetlonym lampami mroku. Był złożonym człowiekiem, z bogatym dziedzictwem i obowiązkami, których nie potrafiłaby ogarnąć rozumem. Kim ona była – służąca z Sussex – żeby mu cokolwiek podpowiadać?

Ale musiała próbować. Poza nią nie było nikogo.

Odwróciła się, kładąc mu rękę na rękawie.

– Griff…

– Nie. – Słysząc nowy ton w jej głosie, zmrużył oczy. Cofnął się, opierając o pobliskie drzewo. – Nie, Simms. Nie zaczynaj tego.

– Nie zaczynać czego? Wymówiłam tylko twoje imię.

– Ale tym tonem. Znam ten ton. Chcesz podjąć próżny wysiłek, żeby mnie naprawić, naprawić moje złamane życie… Jakie by ci niemądre, kobiece pomysły przychodziły teraz do głowy, porzuć je. Postawisz się tylko w kłopotliwej sytuacji.

Wielkie nieba. Ten człowiek był tak przejrzysty, że mogłaby spojrzeć na jego marynarkę i zobaczyć drzewo, o które się opierał.

Jeśli sądził, że parę ostrych słów ją zniechęci, po tym, jak tulił ją do siebie zeszłej nocy, po tych słodkich słowach, jakie jej szeptał do ucha…

– Jesteś żałosny – powiedziała spokojnie. – Taki żałosny, że nie mogę się nawet na ciebie gniewać, więc nie myśl sobie, że mnie odepchniesz, Griff. Wiem, że cierpisz. Po prostu wiem. Czułam to już tamtego pierwszego dnia i…

Odwrócił wzrok.

– Nie będę o tym mówić.

– Świetnie. Zaprzecz. Nie dbam o to. Nie wiem, czy to męska duma, czy arystokratyczna flegma. Cokolwiek by to było, ja na pewno tej cechy nie mam. Ty możesz udawać, że nie cierpisz. Ja nie potrafię udawać, że mnie to nie obchodzi.

Zebrała się na odwagę, żeby ciągnąć:

– Nie proszę cię o zwierzenia. Rozumiem, dlaczego nie chciałbyś się dzielić swoimi zmartwieniami z taką dziewczyną jak ja, ale… Może nie powinieneś porzucać całkiem myśli o małżeństwie. Boli mnie, że jesteś taki samotny.

– Kto mówi, że jestem samotny? – parsknął gniewnie. – Nie brakuje mi towarzystwa, jeśli tylko zapragnę.

– Tak, tak. Jesteś wielkim dandysem i libertynem… tak słyszałam. Ale nie widzę niczego, co by to potwierdzało. Z tego, co zauważyłam, jesteś człowiekiem, który bywa niezwykle hojny, potrafi być przyzwoity, który włóczy się nocą po domu i naprawia stare zegary.

Wyciągnął gwałtownie rękę i przyciągnął ją do piersi.

– Nie miej złudzeń co do mojej przyzwoitości.

Szybkim ruchem odwrócił ich pozycję. Przyciskał ją teraz szeroką piersią do drzewa. Walczyła trochę; lekki materiał sukni zahaczał o korę.

Nie pozwoli, żeby zobaczył, jak drży.

– Nie chciałeś wziąć mnie zeszłej nocy – powiedziała. – Z pewnością nie możesz się spodziewać, że teraz mnie przestraszysz.

– Wcale nie. – Pochylił się tak, że prawie dotknął nosem jej nosa. – Spodziewam się, że ci się spodoba.

Pocałował ją mocno, zaborczo. Nie poprzestał na tym. Wsunął rękę pod stanik jej sukni, obejmując pierś.

O słodkie nieba.

Gorset krępował jednak jego ruchy, więc poddał się, klnąc pod nosem, i ściągnął jej suknię z ramion.

Wciągnęła powietrze. Nie mógł chyba zrobić tego tutaj.

A może mógł.

Poczuła na piersi chłodny powiew wieczoru. Mimo ciemności, czuła się wystawiona na widok publiczny, bezradna… Pocałował ją znowu, gładząc pierś. Jego wprawne pieszczoty pozbawiały ją woli i rozumu. Wśród słodkich iskierek rozkoszy w jej głowie narodził się cel. Tym razem ona także chciała go dotknąć.

Wsunęła dłonie w rękawiczkach pod poły jego kubraka, przesuwając palcami po twardych mięśniach brzucha i klatki piersiowej. Nawet przez kamizelkę czuła jego siłę.

Wyszarpnęła mu koszulę ze spodni i włożyła ręce pod spód. Mruknął zachęcająco. Przesunęła potem ręce wyżej, na pierś, skupiając się na biciu jego serca.

Nastąpił jakiś wybuch. Poczuła go w piersi i pomyślała, że może to pękło jej serce. A potem przestrzeń dookoła rozświetliły iskry sypiące się z nieba.

Roześmiała się sama z siebie, kiedy zrozumiała, co się dzieje.

No, jasne.

– Ognie sztuczne.

Jeszcze raz musnął ustami jej usta i podniósł głowę. Wstrzymała oddech, czekając na to, co powie. Ale nie wymówił słowa. Tylko patrzył na nią – tak samo, jak pierwszego dnia w Spindle Cove – jakby była najwspanialszą, najstraszliwszą, najbardziej zagadkową, najdoskonalszą istotą, jaką w życiu widział.

Nie, nie. Tego było zbyt wiele.

Czuła pod dłonią bicie jego serca. A on swoją trzymał, niczym skarb, jej małą, nieznaczącą pierś. A nad ich głowami wybuchały krwawe ognie, przetykane srebrem i złotem.

To była niezwykle poruszająca chwila. Bez osłony pocałunku nie była w stanie ukryć swoich uczuć. Nie mogła patrzeć nigdzie indziej, jak tylko w jego ciemne oczy.

Jej własny puls bił nierówno, ale w tym, co czuła pod dłonią, nie było wahania. Żadnych wątpliwości. Tylko czyste, niezmącone pragnienie.

Pauline, mogła sobie niemal wyobrazić, jak bije jego serce. Pauline, Pauline, Pauline.

To nie mogło być prawdą. Z pewnością mówiło coś innego.

Prawdopodobnie: głupia, głupia, głupia.

Gdzieś w pobliżu miłość otwierała się w ziemi niczym złowieszcza przepaść, z każdą chwilą szersza. Chwila nieuwagi, a w nią wpadnie.

– Griff – szepnęła. – Potrzebujesz kogoś. Każdy kogoś potrzebuje.

Podciągnął jej suknię niecierpliwym gestem, zakrywając pierś. Odsunął się.

– Nie rozumiesz. – Jego słowa były pełne żaru. – Nie mów mi, że kogoś potrzebuję. Całe moje życie to nieustające pasmo jakichś „onych". Kolejny „ktoś" to dokładnie to, czego nie potrzebuję. A zwłaszcza nie chcę znaleźć się w pokoju pełnym żałosnych, bezbarwnych młodych kobiet i usłyszeć: Halford, masz obowiązek się ożenić. Po prostu wybierz „kogoś".

Odsunęła się jak oparzona.

– Och, rozumiem.

Zaklął.

– To nie to, co chciałem…

– Nie, masz rację. – Odsunęła się drobnymi, pośpiesznymi kroczkami. – Wybrać bezbarwną dziewczynę z tłumu. Co za koszmar. Nic dobrego nie może z czegoś takiego wyniknąć.

– Pauline, poczekaj.

Odwróciła się i odbiegła, zostawiając go w ciemnym zagajniku i wyłaniając się na placu, gdzie gromada ludzi oglądała fajerwerki. Przystanęła gwałtownie, chwytając oddech. Wszędzie wokół ludzie śmiali się i krzyczeli z radości.

Jakiś mężczyzna potrącił ją nagle. Dawna Pauline poczęstowałaby go łokciem, ale teraz nie miała do tego głowy. Więc odwróciła się tylko, podnosząc rękę do gardła przepraszającym gestem.

Och, Boże. Och, nie.

Uciekł. A ametysty zniknęły.

Griff szukał jej po całym zagajniku.

W końcu dostrzegł jej suknię na skraju zatłoczonego trawnika. Różową plamę,

pulsującą złotym światłem z góry. Miał wrażenie, że patrzy na oddzielone od ciała własne serce.

Potem z mroku wychynął jakiś mężczyzna – i serce mu zamarło.

– Pauline! – krzyknął.

Nie usłyszała go. A nawet jeśli, to się nie odwróciła. Zatrzymała się tylko na chwilę. Uniosła spódnice i popędziła w mrok nocy.

Ścigała kogoś. Słyszał, jak krzyczy:

– Stój! Stój, przeklęty złodzieju!

Złodzieju?

Griff pobiegł za nią, ale musiał lawirować w tłumie, a ona znacznie go wyprzedzała. Zdumiewało go, że potrafi biec tak szybko w tej ciężkiej sukni. Niezmordowanie ścigała złoczyńcę – kimkolwiek był – poprzez kolumnady i oświetlone lampami kępy drzew.

A w miarę jak biegła, potok przekleństw rozwijał się za nią niczym barwny sztandar. Wydawało się, że po lekcjach dykcji i wymowy nie zostało ani śladu.

– Łajdak! – wrzasnęła, przebiegając obok zdumionego dżentelmena, w którym Griff rozpoznał austriackiego ambasadora. – Stój, ty przeklęty diable!

Cóż, jeśli dążyła do publicznej katastrofy – cel osiągnęła. Bez wazy z ponczem.

– Urwę ci jaja, ty brudny wypierdku dziwki!

Griff przybrał przepraszającą minę: „Nie, nie, nie o was chodzi”, mijając w pędzie lożę królewską, nie śmiąc zwolnić w celu udzielenia wyjaśnień. Parsknąłby śmiechem, gdyby nie brakowało mu tchu – i gdyby tak się nie martwił o Pauline.

Dotarli do skraju Vauxhall i ruszyli przez sąsiadujący z nim teren – pełen małych fabryczek, domów kupców zajmujących się handlem morskim oraz czynszówek. Ulice nie były oświetlone. Bogu wiadomo, jakie kryły się tam niebezpieczeństwa.

A jednak parła naprzód.

Co ona sobie myślała? Cokolwiek jej odebrano, nie warto ryzykować życia.

Nie nadążała za złodziejem, za to Griff zbliżał się do niej.

– Pauline! – krzyknął, rozpaczliwie wciągając powietrze. – Zostaw go!

– Nie mogę!

Skręciła za róg i Griff stracił ją z oczu na parę pełnych grozy sekund. Przyśpieszył kroku, modląc się, żeby wciąż była cała i zdrowa – żeby mógł ją złapać i potrząsnąć, aż odzyska rozum.

Kiedy zbliżał się do rogu, krótki, przenikliwy krzyk rozdarł powietrze.

Wielki Boże. Błagam.

Minął róg – i oto była; leżała na ziemi, na środku ulicy.

– Pauline! Pauline, jesteś ranna?

– Nie zatrzymuj się – krzyknęła. – Goń go!

– Uciekł. – Griff nawet nie spojrzał w tamtą stronę. – A nawet jakbym zdołał go złapać, nie ma mowy, żebym cię tu zostawił.

Ludzie wynurzali się już z okolicznych domostw, przyglądając się ciekawie świetnemu dżentelmenowi i damie na ciemnej ulicy. Griff przyjął groźną postawę i rozejrzał się wokół ostrzegawczym wzrokiem, dając do zrozumienia, że bezpieczniej będzie zostawić ich w spokoju.

– Co się stało? – szepnął, kucając przy Pauline. – Zranił cię? Uderzył cię czymś? – Przyjrzał się jej, czy nie krwawi. Straszna myśl przyszła mu do głowy. – Nie miał pistoletu czy noża?

– Nie – załkała.

Odetchnął. Bogu niech będą dzięki.

– Nic z tych rzeczy. To tylko te przeklęte buty. Obcas utknął między kamieniami bruku i skręciłam kostkę.

Uniósł jej spódnicę – kostka była skręcona pod takim kątem, że się skrzywił. Uwolnił najpierw jej stopę, potem but. Dotknął delikatnie spuchniętej nogi. Stłumiła rozpaczliwy szloch.

– Tak bardzo boli? Może jest złamana?

Potrząsnęła głową.

– Nie jest złamana. Tylko…

– Co? – zapytał ponuro. – Co ten drań ci zrobił?

– Och, Boże. Znienawidzisz mnie.

– Nigdy.

Opadła na niego, jakby wyciekła z niej wszelka wola walki.

– Griff, on zabrał naszyjnik. Ametysty twojej matki. Były warte tysiące. A teraz znikły.

# 18

**A** zatem koniec. Pauline poddała się. Zdała się na niego, na jego opiekę, nie bardzo wiedząc, co innego mogłaby zrobić. Zawsze uważała się za osobę odporną i twardą, ale tym razem została pobita.

Jeden dla Londynu, zero dla Pauline.

Mniej niż zero. Nawet jeśli Griff zapłaci jej obiecane tysiąc funtów, pozostanie jego dłużniczką na parę tysięcy. Księżna nigdy jej nie wybaczy. Jak zdoła zwrócić te pieniądze?

Książę wciąż kucał u jej boku.

– Zarzuć mi ręce na szyję – polecił.

Posłuchała, z wahaniem splatając palce na jego ramionach.

– Trzymaj się mocno – upomniał ją, mrucząc przekleństwa. – Jesteś córką wiejskiego gospodarza i służącą. Wiem, że stać cię na więcej.

Zmusiła mięśnie do pracy. Nie mylił się – miała silne ciało, co oznaczało, że nie była raczej lekka jak piórko. Była mu winna pomoc.

Podniósł ją, mruknąwszy z wysiłku. Przesunął ją tak, że spoczęła bezpiecznie na jego szerokiej piersi.

– Pantofel – powiedziała słabym głosem.

– Do diabła z pantoflem.

Uznała, że ma rację. Co znaczy jakiś tam pantofel wobec tego, że właśnie straciła naszyjnik wart kilka tysięcy funtów?

Zaniósł ją na koniec ulicy, w inną stronę niż ta, z której przyszli. Zastanowiła się, czy nie zwrócić mu na to uwagi, ale pomyślała, że pewnie wie, co robi. Jego twarz, którą widziała od czasu do czasu w słabym świetle z jakiegoś okna, wyrażała zdecydowanie.

– Tak mi przykro.

Kiwnął lekceważąco głową.

– Niepotrzebnie.

Nie odzywał się już do niej w drodze do domu. Ani w łodzi, która przewiozła ich przez Tamizę. Ani w powozie, którym jechali do Mayfair.

W domu, w rezydencji Halford, słyszała, jak wydaje ciche, ale stanowcze polecenia służbie. Wniesiono ją do Różowego Salonu i ułożono na największej kanapie.

– Wzywam doktora – oznajmił Griff.

– Nie, nie potrzeba – sprzeciwiła się.

Wyszedł z pokoju i to był koniec dyskusji.

Tak więc Pauline siedziała w Różowym Salonie, podczas gdy doktor badał jej kostkę. Opuchlizna już wydawała się cofać. Nie było trwałego uszkodzenia. W każdym razie nie, jeśli chodzi o kostkę. Pod innymi względami mogła już nigdy nie dojść do siebie.

Kiedy doktor wychodził, Griff pojawił się w drzwiach, żeby z nim porozmawiać. Zdjął kubrak, podwinął rękawy na nadgarstkach.

Pauline podniosła się i pokuśtykała na środek dywanu, żeby się z nim spotkać.

– Cóż – odezwała się. – W końcu doprowadziłam do katastrofy. Byłam jak harpia o plugawym języku, sunąc po tych zadbanych trawnikach.

Nie rozbawiło go to.

– Chodź – powiedział. – Pomogę ci wejść na górę.

Machnęła ręką.

– To nie jest poważne zwichnięcie. Doktor powiedział, że szybko się zagoi.

Uparł się, żeby objąć ją w pasie i poprowadzić do schodów. Nie potrafiła się sprzeciwić. Sprzeczność między gniewnym wyrazem jego twarzy a pomocnymi gestami budziła w niej niepokój.

Postawiła zdrową stopę na pierwszym stopniu.

– Jesteś zły na mnie.

– Jestem zły, nie mogę zaprzeczyć. Ale staram się nie kierować gniewu na ciebie.

Pokonała kolejny stopień.

– Tak mi przykro. Jakoś to spłacę. Zaczynając, oczywiście, od tego tysiąca funtów. Co do reszty… – Zatrzymała się i spojrzała na niego. – Nie wiem jak, ale przysięgam, załatwię to.

Spojrzał na nią, wyraźnie zdumiony.

– O czym ty mówisz?

– Naszyjnik. Jakoś go spłacę. – Chwyciła mocno poręcz i postawiła kolejny krok.

Nie poruszył się.

– To absurd – mruknął.

Schylił się, objął ręką jej uda i podniósł ją do góry – w ramionach. Wniósł ją po

schodach, ale potem nie ruszył po kolejnych schodach do góry, do jej sypialni.

Skierował się do swoich apartamentów.

Trzymając ją jedną ręką, otworzył drzwi, przeniósł ją przez próg, a potem kopnięciem zamknął drzwi. Przeszedł przez salon, a potem złożył ją na łóżku.

Swoim łóżku.

To było wielkie łóżko – z twardego mahoniu, z kolumienkami i aksamitnymi zasłonami dookoła.

Usiłowała unieść się na łokciach, ale ciężka suknia ściągała ją w dół. Zanim zdołała się poruszyć, uwięził ją jak w klatce. Klęczał nad nią, obejmując jej uda.

Potem ujął jej twarz w mocne dłonie, nie pozwalając jej spojrzeć nigdzie indziej, tylko na niego. Patrzył na nią wzrokiem szaleńca. Serce gwałtownie jej przyśpieszyło.

– Jestem zły, Pauline. Jestem oburzony na tego drania, który śmiał cię dotknąć. Jestem oburzony, że stała ci się krzywda. I owszem, jestem zły na ciebie. Za to, że go ścigałaś, że wystawiłaś się na takie niebezpieczeństwo. Wiesz, jacy ludzie kryją się w tych wszystkich uliczkach i zaułkach?

– Nie wiedziałam, co robić. Zabrał…

– Naszyjnik mojej matki. Co z tego? Ma ich dziesiątki.

– Ale ten jest cenny. Wiem, że jest dla niej ważny. Dlatego chciała, żebym go dzisiaj włożyła, żeby…

Żebyś mógł na mnie patrzeć, jak na prawdziwą damę. Żebyś się we mnie zakochał i zapragnął pojąć mnie za żonę. Śmiechu warte.

– Sądzisz, że sznur klejnotów cenię wyżej niż twoje życie? Wiem, Simms, że nie zawsze się zgadzamy, ale to niskie. Naprawdę masz o mnie tak złe mniemanie?

– Ależ… Nie. Myślę o tobie… wiele.

– Ja przypadkiem też wiele o tobie myślę.

Miłe słowa, ale powiedziane z taką złością…

– Jutro – powiedział – mogę kupić matce drugi naszyjnik. Lepszy. Pół tuzina, jeśli będzie sobie życzyć. Klejnoty można zastąpić.

– Podobnie jak służące.

– Nie. Nie zaczynaj tej gry. – Przycisnął czoło do jej czoła. – Kiedy usłyszałem twój krzyk… to było, jakbym dostał szpadą w brzuch. Chciałem umrzeć.

Chciałem umrzeć.

Te słowa wzbudziły w niej niedowierzanie. Nie mógł tak naprawdę myśleć. Z pewnością przesadzał.

– Mogłem cię znaleźć połamaną, krwawiącą… – Głos mu się załamał. – Albo jeszcze gorzej. Nie mów, że mogą mnie obchodzić oszlifowane kamyki na

łańcuszku. Wolę wierzyć, że jednak znasz mnie lepiej.

– Znam.

– A jednak jesteś gotowa uwierzyć, że naszyjnik jest dla mnie tak ważny, że mógłbym cię odesłać?

Machnęła bezradnie ręką.

– Niedawno powiedziałeś, że wcale mnie nie chcesz.

– Nic takiego nie mówiłem. Uciekłaś, zanim zdążyłem dokończyć. – Przesunął ręką wzdłuż jej ciała. – Powiedziałem, że nie potrzebuję „kogoś". Bo ty nie jesteś dla mnie pierwszym lepszym kimś. Jesteś wyjątkowa, uparta i śliczna, i o wiele za odważna dla własnego dobra. – Zacisnął dłoń w pięść na materiale jej sukni. – Jesteś sobą. Chcę ciebie. Od chwili, kiedy wpadłaś przez drzwi tawerny, pragnę cię.

Przycisnęła dłoń do ust, próbując zapanować nad uczuciami.

– Nie. – Odsunął jej rękę od twarzy. – Nie ukrywaj się. Nie uciekaj ode mnie już nigdy więcej.

Pocałował ją łapczywie, z rozpaczą, a ona otworzyła się na tę zmysłową napaść, witając jego język własnym i tuląc go gorąco.

Odsunął się, dysząc z wysiłku. Wbił w nią płonący wzrok.

– Gdybym poprosił, żebyś ze mną została…

– Nie mogłabym. – Oszołomiona, znieruchomiała w jego ramionach. – Wiesz, że bym nie mogła. Muszę wracać do domu, do Danieli. Przyrzekłam jej, a ty dałeś nam swoje słowo.

– A gdybym zaoferował ci dom? Dom na wsi, ze wszystkim, co ty i twoja siostra mogłybyście kiedykolwiek potrzebować?

– Nie mogłabym zostać utrzymanką. Nawet twoją. Straciłabym szacunek dla siebie i dla ciebie.

Wzrok mu spochmurniał.

– Nie mogę się z tobą ożenić.

– Wiem. – Smutek ścisnął ją w gardle. – Nie ma sposobu, żeby to trwało dłużej niż do końca tygodnia.

Objął jej twarz dłonią, gładząc kciukiem po policzku.

– Cóż, wiedz jedno. Dziś wieczorem zamierzam się z tobą kochać.

Ogarnęło ją podniecenie.

– Tak, Griff, proszę.

Podwinął jej spódnice, unosząc je w górę. Objął palcami jej udo, gładząc je delikatnie.

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? Nie jesteś zbyt posiniaczona i obolała pod

tym jedwabiem?

Jego troska wzruszyła ją głęboko.

– Daję słowo. Nic mi nie jest.

– Sam ocenię. – Przewrócił ją na brzuch i zaczął ciągnąć za sznurówki i haftki. – Do diabła z tym wszystkim. Nie mogłem się doczekać, żeby znowu zobaczyć cię nagą.

Znowu?

– A kiedy wcześniej widziałeś mnie nagą?

– Pierwszej nocy w bibliotece.

– Ale… cały czas miałam na sobie koszulę.

– Wiem. – Ściągnął jej suknię z bioder i zabrał się do rozpinania halek. – Ale koszula była cudownie cienka. Kiedy stanęłaś przed lampą, światło przeniknęło ją na wylot. Widziałem wszystko.

– Wszystko?

– Wszystko.

Pauline nie wiedziała, jak zareagować. Po prostu leżała bezwładnie, kiedy rozsznurowywał jej gorset, aż odrzucił go na bok. Potem podniósł ją do pozycji półsiedzącej i ściągnął jej koszulę przez głowę. Opadła na pościel kompletnie naga, jeśli nie liczyć pończoch.

Usiadł i zaczął zdejmować własne ubranie. Kamizelka, krawat, koszula. Patrzyła, jak odrzuca warstwę za warstwą elegancji, odsłaniając człowieka kryjącego się pod spodem.

– Rany – szepnęła.

Był doskonały. Szeroki w ramionach, wąski w pasie. Umięśniony wszędzie. Z ciemnymi włosami na piersi. Odwrócił się, siadając na krawędzi łóżka, żeby zdjąć buty i rozpiąć bryczesy, dając jej mnóstwo czasu na podziwianie rzeźby jego nagich pleców.

– No, proszę – powiedział, odrzucając resztę stroju.

Wyciągnął się obok niej, a ona nagle poczuła się onieśmielona. Był taki doskonały, wszędzie. Doskonałe męskie ciało. A ona nie miała idealnego kobiecego ciała. Wcale nie.

Po raz pierwszy czuła naprawdę, że mu nie dorównuje.

Najpierw powiódł wzrokiem po jej ciele, ale potem nastąpiły pieszczoty. Objął jej pierś. Zaczęła mieć niemądrą nadzieję, że może powie, że podoba mu się to, co widzi. Nie musiała usłyszeć, że jest „piękna”, „doskonała”, „perfekcyjna”. Szorstkie „dobrze”, jak wcześniej tego wieczoru, zupełnie by ją zadowoliło.

Kiedy kciukiem dotknął jej stwardniałego sutka, nastąpiło coś o wiele lepszego.

Z głębi jego gardła wydobył się pomruk zadowolenia. Dźwięk był tak pierwotny i niepozostawiający wątpliwości… Poruszał i ożywiał jej kobiecość, a odpowiedzią był cichy jęk ulgi.

– Działasz na mnie tak samo podniecająco, jak przedtem – mruknął. – Bardziej. Nie masz pojęcia, jak cierpiałem tej pierwszej nocy. I każdej następnej.

Zaśmiała się cicho, z lekceważeniem.

– Jestem zbudowana jak czternastoletni chłopiec.

– Bzdura. Byłem czternastoletnim chłopcem. Moje piersi nie były ani odrobinę tak pociągające. – Obwiódł palcem jej sutek, a potem krzywiznę pod spodem.

Poruszyła się gwałtownie pod wpływem niespodziewanego doznania.

– Należysz zatem do tych mężczyzn, którzy lubią u kobiet małe piersi?

Jej szczodrze obdarzone przyjaciółki pocieszały ją, zapewniając, że tacy istnieją, ale ona jeszcze żadnego nie spotkała. Przyzwyczaiła się myśleć o nich jak o mitycznych stworach, takich jak skrzaty i smoki.

– Nigdy nie rozumiałem tego sposobu myślenia. – Mówiąc to, całował jej piersi i gładził śmiałymi ruchami jej brzuch i uda. – To tak, jak z tymi starszymi panami, którzy co wieczór przychodzą do klubu, biorą to samo na kolację i siadają przy tym samym stole. Jak można cieszyć się życiem, jeśli nie docenia się jego różnorodności? – Dotknął jednej z jej piersi językiem.

Westchnęła z przyjemności. Poza tym… nie wiedziała, jak odpowiedzieć. Przypuszczała, że książę ma szerokie możliwości, jeśli chodzi o „różnorodność”, kiedy tylko ma ochotę. Może po jej powrocie do Spindle Cove weźmie sobie dla odmiany jakąś jasnowłosą piękność o bujnym biuście.

Jakby wyczuwając jej niepewność, zaczął się nagle zachowywać inaczej.

– Jesteś niezwykle atrakcyjną kobietą. Wiesz o tym, prawda? – Kiedy milczała, dodał: – Uwierzyłabyś mi, gdybyś się zobaczyła.

– Widziałam. I w tym szkopuł.

Potrząsnął głową.

– Nie, nie. Nie w lustrze. Wiem, jak działają lustra. Wszystkie są w przymierzu z handlarzami damskich kosmetyków. Okłamują kobiety. Prowadzą jej wzrok od jednej wyimaginowanej wady do drugiej, aż nie widzi niczego poza konstelacją niedoskonałości. Gdybyś mogła wyjść poza swoje ciało, na chwilę pożyczyć moje oczy… Zobaczyłabyś tylko piękno. – Przycisnął dłoń do piersi. – Przysięgam na siedmiu książąt Halford, jacy byli przede mną.

Minęło parę chwil, zanim zdołała się odezwać.

– Cóż… Widziałam ich portrety. Zgadzam się, że jestem od nich ładniejsza.

Zachichotał.

– Bogu niech będą dzięki.

Wsunął biodra między jej uda, rozsuwając je szeroko.

– Zróbmy to teraz – powiedział, zanurzając twarz w jej szyi. – Następnym razem będę działał wolno. Będę cię całował wszędzie, dotykał godzinami. Ale teraz brakuje mi cierpliwości. Potrzebuję… Boże, potrzebuję cię. Potrzebuję cię.

– Tak. – Pocałowała go, unosząc zapraszająco biodra. Ona też go potrzebowała. Rozpaczliwie.

Ułożył się wygodnie i pchnął.

Kiedy ich ciała się połączyły – krzyknęła. Ale nie z bólu. Pomimo krótkiego wstępu, była gotowa. Była gotowa od paru dni, a na te wrażenia czekała latami. Poczucie pełni. Przeszywającą rozkosz.

W końcu była z Griffem. Pod nim, wokół niego, obejmowała go, całowała, gładziła jego włosy i ramiona.

W końcu – tak kochał mężczyzna. Nie pozbawiony doświadczenia młodzieniaszek, ale dojrzały mężczyzna. Taki, który rozumiał nie tylko, czego sam chce, ale także, czego pragnie ona. Kochał ją gładkimi, silnymi ruchami, zanurzając się za każdym razem nieco głębiej. Kiedy już sądziła, że nie może przyjąć go więcej, pokazywał jej, że się myli.

W końcu ich biodra się spotkały. Zanurzył się w niej całkowicie. Była rozciągnięta do granic możliwości. Napięcie paliło słodkim ogniem.

Osunął się na nią i jej piersi spłaszczyły się pod jego torsem. Ich serca biły przy sobie, wymieniając uderzenia. Poruszał wolno biodrami, budząc w niej fale rozkoszy.

Patrzył jej w oczy z dziwnym, półprzytomnym wyrazem twarzy.

– To jest… to jest dobre, Simms. Rozkosz nie jest mi obca, ale to jest… dobre.

– Nie powiedziałeś, że nie doznałeś czegoś takiego od dawna.

Skinął głową.

– Od miesięcy. A ty?

– Och, wieki całe minęły. Lata.

Znieruchomiał na chwilę.

– Przypuszczam, że to dlatego.

Schylił się, żeby ją pocałować. Chwyciła go za ramiona i plecy, chcąc skłonić do szybszego ruchu. Do szaleństwa. Nie podejrzewała, żeby był mężczyzną, który kocha się słodko, powoli.

– Griff – jęknęła błagalnie.

Przerwał.

– Nie chcę cię zranić. Próbuję być delikatny.

Przytuliła się do niego na tyle, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Po prostu bądź sobą. Pragnę cię.

W jego oczach błysnął dziki ogień. Podniósł się na ramionach, wbijając kolana w materac i pchając mocno.

– Tak – sapnęła, podniecona jego siłą. – Jeszcze. Jeszcze.

Zrobił to. Dawał jej rozkosz za rozkoszą, aż padła wyczerpana.

To była pierwotna, prymitywna zmysłowość, ale to, co ją poruszało – to uczucia. Mówiąc, mógł być nonszalancki i używać kpiny. Ale z każdym ruchem wyznawał, jak bardzo jej pożąda, jak rozpaczliwie pragnie – każdym mięśniem ciała, każdym uderzeniem krwi.

Och, i ten wyraz jego ciemnych, przykuwających wzrok oczu… poruszał ją do głębi. Czuła się bezradna wobec takiej determinacji. Niczego by jej nie odmówił. Dawał jej wszystko, na co go było stać.

Uniosła ręce nad głową i oparła je o wezgłowie łóżka, poruszając się z równym zapamiętaniem, jak on.

– Tak dobrze – jęknął, nie przerywając. – Poruszaj się razem ze mną.

Jej ciało wygięło się w łuk. Była teraz na granicy bólu, ale nie dbała o to.

Sprzeczność była cudowna. Oni oboje, kochający się jak dwa dzikie zwierzaki wśród haftowanej pościeli i porozrzucanych, zwiewnych halek. Jej bezradność, to, że leżała pod nim, tym mocniej działała na zmysły. Kiedy objęła jego biodro nogą w pończosze, przesuwając jedwabiem po jego nagim udzie, wydał z siebie dziki, pierwotny jęk.

Był taki zwierzęcy i taki elegancki… i tak cudownie podniecający, że nie mogła tego znieść.

Jej głowa opadła do tyłu, zacisnęła powieki. Czuła, jak narasta w niej rozkosz.

Oboje byli na jej skraju.

– Poddaj się temu – powiedział.

Otworzyła oczy. Patrzył na nią, był zdecydowany. Nie przerywał rytmu ani na chwilę.

Zrozumiała, że nie podda się rozkoszy… póki ona nie będzie gotowa na swoją. Że jest gotów poruszać się w ten sposób godzinami, jeśli ona tego potrzebuje.

Patrzyła w jego ciemne oczy. Były dla niej kotwicą.

– Poddaj się temu. Na miłość Boga, Pauline, poddaj się temu.

Jej imię na jego ustach… to dopełniło wszystkiego. Ponieważ zrozumiała, że to dla niej. Cały ten wysiłek – był dla niej.

Zalała ją rozkosz, przejmując jej ciało i duszę niezrównaną radością.

Przysiadł na nogach, podciągając ją do siebie potężnymi ramionami.

– Griff… – szepnęła, mając nadzieję, że nie będzie musiała powiedzieć nic więcej.

– Wiem. – Jego twarz płonęła rozkoszą. Cofnął się raptownie i nasienie spłynęło gdzieś między fałdy eleganckiej pościeli i halki.

Potem opadł obok niej na łóżko, spocony, usiłując odzyskać oddech. Leżeli tak parę minut, milcząc i wpatrując się w baldachim nad głowami; oboje dyszeli ciężko.

Co teraz? – zastanawiała się. Może kiedy zaspokoił pożądanie, pożałuje tego, co zrobił. Może uczucia, jakie sobie wyobrażał, że ma dla niej, zniknęły zmiecione siłą jego orgazmu.

Im dłużej leżeli obok siebie, nie obejmując się, tym bardziej wzrastał jej niepokój.

Wiedziała, że to nie może potrwać dłużej niż tydzień. Ale czyżby już się skończyło?

W końcu, z cichym jękiem, objął ją ramieniem.

– Chodź tu.

Przyciągnął ją mocno i pocałował czule w czubek głowy.

Nie mogła się powstrzymać. Załkała z ulgi.

Przytulił jej głowę do piersi, osłaniając swoim ciałem. Nie próbował powstrzymać jej płaczu, zbesztać za niemądre łzy. Pozwolił jej po prostu na własne uczucia, tuląc ją cały czas. Jakby rozumiał, że wszyscy inni mężczyźni zawiedli ją pod tym – tak prostym – względem i chciał to naprawić.

Po jakimś czasie odprężyła się.

– Przed tobą byłam tylko z jednym mężczyzną. Nazywał się Errol Bright, najstarszy syn sklepikarza. Powiedział, że mnie kocha. Mówił mnóstwo rzeczy i składał wiele obietnic, których nigdy nie dotrzymał. – Jej twarz pokraśniała z zażenowania. – Mówię ci to tylko po to, żebyś wiedział, że nie spodziewam się więcej. Nie chcę żadnych obietnic, Griff. Mam nadzieję, że rozumiesz, że nie robię tego co rusz, z pierwszym lepszym mężczyzną. Nawet jeśli to będzie ten jeden raz, to ma dla mnie duże znaczenie.

Jego głowa uniosła się i opadła, kiedy wciągnął głęboko powietrze. Znalazł jej dłoń i ścisnął mocno.

– Pauline? Proszę, uwierz, że mówię to szczerze. Jestem zaszczycony.

Odetchnęła z ulgą. Nie wiedziała, na jakie słowa mogła mieć nadzieję – ale to było lepsze. Brzmiał w tym nowy ton: Jestem zaszczycony. Z jakiegoś powodu wątpiła, że powiedział to wcześniej innej kobiecie. W każdym razie nie w łóżku.

Obróciła się w jego ramionach, przesuwając zaborczo dłonią po jego piersi.

Mruknął zachęcająco. Była zachwycona, że teraz może go dotykać, poznawać jego całe ciało.

Jej palce trafiły na świeżą, nie całkiem zagojoną ranę na jego ramieniu.

– Boli?

– Nie, nie… Nie tutaj.

Te słowa brzmiały jak wyznanie. Dwa uczciwe słowa były dla niej jak skarb.

– Tutaj? – Dotknęła małego siniaka na jego skroni, gdzie wczoraj go uderzyła.

– Nie.

– A zatem gdzie indziej. – Opuściła rękę na jego bijące serce. – Gdzieś wewnątrz. Cierpisz.

Skinął głową.

– Jak wszyscy diabli.

Zaciekawiło ją to ogromnie, ale powstrzymała się od zarzucania go prośbami o wyjaśnienia czy pytaniami o szczegóły. Zaufał jej na tyle. Może z czasem zaufa bardziej.

– Czy mogę cię pocałować, żeby ból zelżał? – Uśmiechnęła się psotnie.

– Nie sądzę. – W zamyśleniu odsunął kosmyk włosów z jej twarzy. Smutek na jego twarzy ustąpił szelmowskiemu rozbawieniu. – Ale możesz mnie przekonać, żebym leżał zupełnie nieruchomo, podczas gdy ty nie będziesz ustawała w wysiłkach, żeby to osiągnąć.

# 19

*T*a godzina ich wyczerpała.

Griff gładził jej włosy, chcąc się odprężyć, ulegając zwykłej przyjemności, jaką sprawiały jej pocałunki. Muskała wargami jego pierś, ramiona, szyję, brzuch. Była równie skrupulatna, jak słodka, pokrywając delikatnymi muśnięciami każdy cal jego ciała. Nie zagoiły się dzięki temu jego najgłębsze, najbardziej ukryte rany, ale umysł przestał się zadręczać, a to było niemal równie dobre.

A kiedy językiem wytyczyła ścieżkę od pępka w dół, nie wytrzymał.

– Potrzebuję cię znowu. – Chwycił ją wpół i umieścił nad sobą. – Weź go do ręki i poprowadź mnie.

Jeśli poruszyło ją to śmiałe żądanie, nie okazała tego.

Oblała się tylko rumieńcem, sięgając między nich. Jej ciało pasowało do niego jak rękawica, obejmując go mocno, kiedy poruszał nią w górę i w dół, ucząc, jak ma się zachowywać.

Mądra dziewczyna szybko chwyciła rytm. Dłonie oparła płasko na jego piersi, przyciskając go do łóżka. Mięśnie jej ud napinały się i miękły na zmianę. Jędrne, słodkie piersi podskakiwały na boki. Nie przypominał sobie bardziej erotycznego widoku.

– Simms…

Jęknęła, zatopiona w rozkoszy.

– Simms – powtórzył.

Otworzyła półprzytomne oczy o ciężkich powiekach.

– Ile czasu upłynęło, odkąd się ostatnio kochałaś?

Zagryzła wargę.

– Dwadzieścia minut?

– Zgadza się. Ja tak samo. Plus minus trzydzieści sekund.

Roześmiała się, opierając mocniej dłońmi na jego piersi.

– Dlaczego pytasz?

– Ponieważ pierwszy raz był szokująco dobry. – Znowu poruszył nią w górę i w dół. – Ale to… to jest niezwykłe. Jeszcze lepsze. Usiłuję zrozumieć. To przecież

nie wynik długiej posuchy?

– Zawsze tyle gadasz, kochając się?

Potrząsnął głową.

– Nie. Teraz jest inaczej. Z tobą wszystko jest inne.

Ciaśniejsze, bardziej śliskie, gorętsze, wilgotniejsze, słodsze. Nie takie, jak w sennym marzeniu czy doskonałe. Bardziej rzeczywiste. I takie cholernie dobre, aż bał się zranić ich oboje w tym szaleńczym, gorączkowym pędzie do spełnienia.

Usiadł z trudem. Nie wystarczyło mu patrzeć. Chciał poczuć miękkość jej piersi i ich gorącą pieszczotę na własnym ciele. Osłonić swoje dziko bijące serce.

Chciał ją całować, kochając się z nią.

Przyciągnął ją mocno, przesuwają jej nogi tak, że go objęły, krzyżując się w kostkach za plecami.

Obejmując ją jedną ręką mocno w pasie, narzucił jeszcze szybsze tempo. Drugą ręką sięgnął między nich, masując wypukłość u szczytu jej ud, aż zadrżała z rozkoszy.

Nie przestawał. Przy niej nie chciał być leniwy czy ustawać w pół kroku. Tej kobiecie chciał dać to, co w nim najlepsze. Pieścił ją, całował jej szyję, szepcząc miłosne słówka do ucha, aż przejęła ją jeszcze głębsza, gwałtowniejsza fala rozkoszy.

– Och – jęknęła później. – Och, Griff. Och, Boże.

Dzięki jej słowom czuł się jak bóg. Albo przynajmniej półbóg. Pogański, sprośny, nieśmiertelny bożek rozkoszy.

Chętnie dałby jej tę rozkosz po raz trzeci, ale dla niego było w tej chwili na to za późno. Podniósł ją, a ona objęła wrażliwą część jego ciała małą, delikatną dłonią.

– W ten sposób – powiedział, demonstrując.

Poszła za jego wskazówką.

– Tak?

– Och, tak.

Ściskała go delikatnie, ale mocno. Odrzucił głowę, wpijając się palcami w skotłowaną pościel. Po paru chwilach dyszał ciężko i jęczał, a gorące nasienie pociekło jej między palcami.

Uśmiechnęła się – bardzo, jak się wydawało, z siebie zadowolona.

On także był z niej zadowolony. Tak zadowolony, że w jego sercu nie mogło być miejsca na żadne inne uczucie. W całym jego życiu.

A to nie mogło trwać. Nie mogło trwać.

Boże, nie miał pojęcia, jak zdoła się zdobyć na to, żeby pozwolić jej odejść.

Więc zamiast tego pocałował ją, obejmując i przyciągając do siebie.

Wykorzystując jej bliskość, żeby ukryć własną słabość.

Po paru minutach leniwego, cudownego całowania westchnęła przy jego wargach:

– Muszę już iść.

– Nie. – Ścisnął ją mocniej. – Nie, nie, nie. Jeszcze nie.

– Nie mogę ryzykować, że zasnę. Wiesz, że muszę iść do swojego pokoju. Nie mogą nas zastać razem. Służba…

Potrząsnął głową.

– Służba to służba. Kogo obchodzi, co myślą?

Odsunęła się i zamrugała.

Skrzywił się.

– Błagam. Udawaj, że tego nie powiedziałem. Albo przynajmniej udawaj, że nie słyszałaś.

– Nieważne. – Zsunęła się z jego kolan i sięgnęła po rzuconą niedbale koszulę. Rozprostowała ją i nasunęła przez głowę, trafiając dłońmi w rękawy. – Nie chcę się kłócić.

– Cóż, to coś nowego. – Pociągnął się za ucho.

– Po prostu nie chcę marnować tego, co mamy.

– A co mamy?

Wytrzymała jego spojrzenie.

– Parę dni – odparła cicho. – I parę wspólnych nocy. Przyjmując, że nas dzisiaj nie nakryją.

Chciałby się z tym nie zgodzić, ale nie mógł.

– Odprowadzę cię do sypialni.

– Nie, zostań. Odpoczywaj. – Popchnęła go na łóżko, kładąc mu dłoń na ramieniu i całując mocno w czoło. – Tym razem nie zabłądzę w korytarzach.

Zgarnęła suknię i pończochy w jedno zawiniątko i ruszyła w stronę bocznych drzwi, wiodących do jego garderoby.

– Czy wszystkie pokoje są połączone? – zapytała. – Przechodząc z pokoju do pokoju, nie będę musiała tyle krążyć po korytarzach. Nie narażę się tak bardzo na to, że mnie ktoś zobaczy.

Skinął głową; nagle ogarnęła go senność. Wyssała z niego wszystkie siły.

– Tak, są połączone.

Zabrała świecznik z nocnego stolika i przeszła przez garderobę.

Leżał spokojnie, nasłuchując. Słyszał, jak otwiera drzwi garderoby, przechodząc do jego osobistego salonu. Stamtąd mogła się wyślizgnąć na korytarz albo…

O Chryste.

– Czekaj. – Zerwał się z łóżka, plącząc się we własnych spodniach, które usiłował pośpiesznie włożyć. W biegu przez garderobę zerwał z wieszaka świeżą koszulę. – Poczekaj, Pauline. Nie…

Za późno.

– Nie chciałam – powiedziała, stojąc na środku pokoju.

Tego pokoju.

– Przepraszam. Naprawdę nie chciałam naruszać… – przełknęła z trudem – … twojej prywatności.

Potarł nerwowo szyję. Nie da się od tego wykręcić. W końcu musi się z tym zmierzyć. Ogarnęło go przyprawiające o zawrót głowy poczucie nieuchronności. Jakby właśnie skoczył z urwiska.

– Sam namalowałeś to wszystko? – Podniosła wysoko świecznik. – Są… eee, są śliczne.

– Nie, nie namalowałem tego.

– Och. Dobrze. To jest… nie ma w tym nic złego, żeby dorosły mężczyzna malował swój pokój w tęcze i kucyki. Całkiem ładne tęcze i kucyki.

– Naprawdę tak sądzisz? – Skrzyżował ręce na piersi i oparł się o ścianę.

– Och… Tak. Jakżeby inaczej? One… cóż, na tej ścianie hasają wesoło, czyż nie? Popatrz tylko: hasają i… – Znowu przełknęła ślinę – …prężą się dumnie.

Dobry Boże. Była kompletnie zbita z tropu i usiłowała jakoś wybrnąć, żeby go nie urazić. Bez specjalnego powodu starała się dzielnie oszczędzić jego uczucia. Gorzej nie mogła, ale miło było tak pomyśleć.

– Jak pięknie grzywa tego konika faluje na wietrze. Majestatycznie. – Przechyliła głowę. – Czy tam, na łące, to są jaskry?

Nie wytrzymał dłużej. Parsknął śmiechem. Dobrze było śmiać się w tym pokoju. To miejsce miało się wypełnić radością i śmiechem, ale Bóg zniweczył to, co tak starannie zaplanował.

– Kucyki są żałosne – przyznał. – Artysta, który je namalował, wprawiał się na podobiznach arabskich koni wyścigowych. Jego patron miał u mnie dług karciany, więc wypożyczył mi jego usługi. Trochę go chyba poniosło.

– I co ty robisz w tym pokoju? – zapytała.

– Niewiele. Nigdy go nie skończono, jak widzisz. – Machnął w stronę pustej południowej ściany. – Malunki nie mnie miały się podobać. Chodziło raczej o kobiece gusta.

Spochmurniała.

– Och, rozumiem. A więc zamierzałeś wprowadzić kobietę do domu. Umieścić obok siebie. Kobietę, która lubi kucyki i tęcze.

Spodobało mu się wyraźna zazdrość w jej głosie i chętnie by się jeszcze z nią podrażnił – gdyby prawda nie była inna.

– Nie kobietę, Pauline. Małą dziewczynkę. – Poczuł ściskanie w gardle i odchrząknął niecierpliwie. – Moją małą dziewczynkę.

Pauline przyjrzała mu się uważnie, niepewna, czy z niej nie kpi.

– Masz córkę? – zapytała.

– Nie. Tak.

– A zatem?

– Miałem… córkę. Umarła w niemowlęctwie.

Wstrzymała oddech. Wiedziała, że gniecie go jakiś ciężar, ale nie wyobrażała sobie czegoś takiego. Stracił dziecko? Tamtego dnia w przytułku dla dzieci – to naturalne, że atmosfera go przygnębiła. Nic dziwnego, że chciał wyjść. I tamto dziecko, które mu wciśnięto w ramiona…

Biedny człowiek. Jak bardzo musiał to przeżyć. Okazała mu taki brak uczuć, nie zdając sobie z tego zupełnie sprawy.

– Och, Griff. Przykro mi. Tak bardzo mi przykro.

Wzruszył ramionami.

– Zdarza się.

– Być może. Ale to nie sprawia, że smutek jest mniejszy.

Chciała do niego podejść. Ale kiedy zrobiła krok w jego kierunku, zaczął chodzić po pokoju, wymykając się jej.

– W każdym razie dlatego ten pokój nie został ukończony. – Obszedł pokój dookoła, zatrzymując się przy oknie. – Nie zdążyłem go umeblować. Nie było już czasu.

– Twoja matka nie ma pojęcia o niczym?

Potrząsnął głową.

– Była wtedy na wsi. Trzymałem ten pokój zamknięty, odkąd… Cóż, odkąd stał się niepotrzebny.

– Powinieneś wyznać jej prawdę. Zauważyła, że dzieje się tutaj coś dziwnego. Myśli, że składasz koty w ofierze albo wprowadzasz w życie perwersyjne fantazje.

Zachichotał.

– Nic dziwnego, że te obrazki tak cię zaszokowały. Nie mogę sobie wyobrazić, co pomyślałaś.

– Nie mam wcale ochoty o tym mówić. – Powiodła jeszcze raz wzrokiem po pokoju. – A więc matką twojej córeczki była…

– Moja kochanka – stwierdził. – Dawna kochanka.

Dawna kochanka. Chcąc nie chcąc, Pauline nie była w stanie zmusić się, żeby

wyrazić żal z tego akurat powodu.

– Kochałeś ją?

– Nie, nie. To było czysto fizyczne. – Przesunął dłonią po włosach. – Śpiewała w operze i my… To niegodne, wiem. Ale mężczyznom mojego stanu takie rzeczy uchodzą aż nazbyt łatwo. Tak się po prostu robi.

– Nie musisz się usprawiedliwiać, Griff – powiedziała. – Nie przede mną.

– Gdybym miał coś na swoją obronę, to przede wszystkim tobie winienem wyjaśnienia. Ale nie mam. Nie byliśmy sobie bliscy. Widywałem ją coraz rzadziej i już miałem zerwać tę znajomość, kiedy powiedziała mi, że poczęła.

– Czy byłeś szczęśliwy?

– Byłem wściekły. Zawsze byłem taki ostrożny, a ona zapewniała, że też jest ostrożna. – Znowu zaczął chodzić po pokoju. – Ale przyjąłem odpowiedzialność. Umieściłem ją w domu na wsi, niedaleko, żaby mogła poczekać do rozwiązania. Wystarałem się o pokojówkę i położną, ustanowiłem fundusz dla dziecka. Bo tak postępują mężczyźni z mojej sfery, kiedy ich kochanka zajdzie w ciążę.

– Tak się robi – przyznała.

Skinął głową.

– Odwiedziłem ją w nowym domu, żeby zobaczyć, jak się urządziła i zapewnić o wsparciu. Już kiedy miałem wychodzić, chwyciła mnie za rękę… – Spojrzał na pustą ścianę, jakby odległe wspomnienie malowało się akurat na niej. – To samo już było szokujące. Nigdy nie trzymaliśmy się za ręce. Ale złapała mnie za rękę i położyła moją dłoń płasko na swoim brzuchu. – Wyciągnął przed siebie rozpostartą dłoń. – A dziecko, moje dziecko, nieźle mnie kopnęło.

Powoli podniósł rękę do piersi.

– Takie silne. To małe życie, życie, które pomogłem stworzyć, przejawiło się w taki gwałtowny, niewymagający słów sposób. Przysięgam, to kopnięcie rozdarło mi serce. Wiele dni nie mogłem dojść do siebie.

Uśmiechnęła się pod nosem.

– Po tym nie mogłem się już trzymać z boku. Wciąż wracałem. Odwiedzałem ją częściej niż kiedykolwiek w mieście, tylko po to, żeby położyć ręce na jej wzdętym brzuchu. Wiedziałaś, że dzieci mogą dostać czkawki, nawet w łonie matki?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Ja też nie. Ale tak jest. Zachwycał mnie każdy drobny wstrząs. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Po raz pierwszy w życiu…

Czułem, że się zakochuję… dokończyła w myśli. Nie powiedziałby tego głośno, ale prawda biła w oczy. Zakochał się nieprzytomnie, nieodwracalnie, we własnym

dziecku i w pojęciu ojcostwa. Wariacka radość z tego powodu malowała się na jego twarzy – i na ścianach pokoju.

– Miała rodzinę w Austrii. Kiedy wojna wreszcie się skończyła, chciała wrócić do domu, nie sądziła jednak, żeby ją przyjęto z nieślubnym dzieckiem. Prosiła, żebym znalazł rodzinę, która zaopiekuje się dzieckiem. Odmówiłem.

– Odmówiłeś?

– Postanowiłem, że wychowam własne dziecko. We własnym domu, pod własnym nazwiskiem.

Pauline patrzyła na niego z niemym podziwem. Dla księcia wychować we własnym domu bękarta, nadając mu swoje nazwisko… to byłoby niezwykłe.

Tak się, z pewnością, nie robiło.

– Wtedy opróżniłem ten pokój i sprowadziłem artystę. – Zatrzymał się na środku pokoju i spojrzał na sufit. – Wiem, że pokoje dziecinne znajdują się zwykle tam, gdzie sypialnie, na górze, ale to mi nie odpowiadało. Chciałem mieć ją blisko.

Przez chwilę wpatrywał się w jedyną pustą ścianę.

– Nie miałem okazji, żeby ją tu sprowadzić. Dostała gorączki w pierwszym tygodniu. To już miesiące temu. Powinienem przemalować ten pokój, ale nie znalazłem na to siły.

– I nikt nie wie o twojej stracie? Nawet przyjaciele?

Potrząsnął głową.

Współczuła mu całym sercem. Nic dziwnego, że był ostatnio taki zamknięty w sobie. Nosił w sobie żałobę. Co gorsza, nosił ją sam. Książna sądziła, że syn nie pali się, żeby mieć dzieci, a prawda była dokładnie odwrotna. Był gotów przyjąć córkę z otwartym sercem – a potem wszystkie jego nadzieje runęły.

Miała ochotę położyć się z nim w łóżku i tulić całymi dniami.

– Widzisz więc – odezwał się – że nie potrzebuję jakiejś młódki, żeby mnie nauczyła, co to miłość i sprawiła, żebym chciał stać się lepszym człowiekiem. Już znalazłem taką dziewczynę. Była taka duża – rozłożył dłonie na szerokość stopy – z paroma włoskami i bez zębów. Nauczyła mnie, co może dać prawdziwe szczęście w życiu. I że nigdy tego nie dostanę.

– Ale to nieprawda. Za jakiś czas…

– Nie, nie mogę. Nie rozumiesz. Mój ojciec był jedynakiem. Matka urodziła po mnie troje innych dzieci. Żadne nie przeżyło tygodnia. Byłem mały, ale pamiętam cały dom w żałobie. Dlatego odsuwałem wszelkie próby założenia rodziny, póki nie zostałem do tego zmuszony, jako że jestem ostatni z rodu. Te wszystkie pokolenia, które miały problemy z dzietnością, nie wróżyły niczego dobrego. Ale tamto energiczne kopnięcie… Dało mi nadzieję, że może być inaczej.

Podeszła do niego i dotknęła jego ramienia.

Zacisnął szczęki.

– Nie mogę znowu przez to przejść. Ród Halfordów kończy się na mnie.

– Wydajesz się bardzo zdecydowany.

– Jestem. – Rozejrzał się po pokoju. – Ufam, że nikomu o tym nie powiesz.

Wiedziała, że nie chodzi mu o jakiegoś niekonkretnego „kogoś". Nie chciał, żeby to dotarło do jego matki.

– Masz moje słowo, ja jej nic nie powiem. Sądzę jednak, że ty powinieneś.

– Nie – odparł stanowczo. – Ona nie może się o tym dowiedzieć. Nigdy. Mówię poważnie, Pauline. To powód, dla którego…

– Powód, dla którego mnie tu sprowadziłeś. Wiem. Teraz rozumiem.

W końcu zrozumiała. To nie polegało na tym, że był rozpustnym libertynem, który nie chciał się żenić. Uznał, że nie może się ożenić i nie wiedział, jak przekonać o tym matkę. Księżna rozpaczliwie pragnęła wnuków. Nie mógł się zdobyć, żeby jej powiedzieć, że już miała wnuczkę, którą straciła… i że więcej ich nie będzie.

Wiedział, że to złamie jego matce serce.

Ukrywał więc żałobę, chcąc znosić cały ból w samotności.

– Griff, nie musisz przechodzić przez to sam. Jeśli nie chcesz podzielić się tym z księżną, to ja będę tu jeszcze przez parę dni. Przynajmniej ze mną rozmawiaj.

– Czy nie to właśnie robię? Rozmawiam z tobą?

No, niezupełnie.

Podczas całej rozmowy mówił niezwykle spokojnym tonem. Niemal do bólu rzeczowym. Zdawała sobie sprawę, że to pozory. Nie był w stanie w pełni przeżyć żałoby. Nie mógł tego zrobić w tym zimnym, tajemnym pokoju. Musiał rozmawiać, wściekać się, płakać, wspominać.

Potrzebował przyjaciela.

– Chowałeś w sobie żałobę. Całymi miesiącami. Możesz ją trzymać w tajemnicy, udawać, że jej nie ma. Ale póki nie otworzysz serca, nie wypłaczesz się, nie zajrzy do niego słońce.

Sięgnęła po jego rękę.

– Nie opowiesz mi o niej czegoś więcej? Wolała być przy tobie czy przy matce? Uśmiechała się i szczebiotała? Jak miała na imię?

Milczał.

– Musiałeś ją bardzo kochać.

Odchrząknął i odsunął się.

– Lepiej już idź. Wkrótce zjawi się służba, żeby rozpalić w kominku.

A więc to tak. Choć tak bardzo się do siebie dzisiaj zbliżyli, tak wiele ich połączyło… to wciąż nie było dosyć.

Skinęła głową i ruszyła w stronę drzwi.

– Skoro tego chcesz.

# 20

***D***obry Boże, to, jak dotąd, najgorsze.

Następnego dnia w porannym salonie jej wysokość okazała niezmierne niezadowolenie.

– Proszę mi pokazać. – Pauline pochyliła się do przodu na żółtym, pasiastym fotelu.

Starsza kobieta podniosła druty do góry. Z jednego zwisała szarawa, bezkształtna bryłka o nieokreślonym przeznaczeniu. Najbardziej chyba przypominała zdechłego szczura.

– Dość ohydne – musiała przyznać Pauline.

– Nieprawda. Całkiem ohydne. – Księżna mlasnęła językiem. – O*h*ydne. Wracamy do ćwiczeń wymowy, dziewczyno. Zrobiłyśmy duże postępy, ale twoje „h” do jutra wieczorem musi brzmieć dźwięcznie, a „ą” i „ę” wyraźnie. Nie możesz dygać przed Jego Królewskom Mościom, prawda?

– Na pewno nie znajdę się nawet w pobliżu księcia regenta.

Na samą myśl ściskał jej się żołądek. Następnego wieczoru miał się odbyć bal w rezydencji regenta, Carlton House. Księżna uznała zaproszenie za ostatnią i najlepszą szansę Pauline, żeby podbić londyńską socjetę.

– Nawet jeśli nauczę się wymawiać poprawnie dźwięczne „h”, to pałac nie jest miejscem dla mnie. Wasza wysokość, chciałabym, żeby pani porzuciła ten pomysł.

– Nie zamierzam wycofywać się z czegokolwiek. Po zeszłej nocy to nasza ostatnia szansa.

Kiedy rano Pauline zeszła na śniadanie, natomiast Griff się nie pojawił, księżna uznała, że jej nadzieje związana z Vauxhall spaliły na panewce. Choć może myliła się co do paru godzin, które nastąpiły później, co do rezultatu miała rację.

– Tylko proszę nie mówić, że nie ostrzegałam – powiedziała Pauline. – Powtarzałam w kółko, że on się ze mną nie ożeni.

– Może nie dobrowolnie. – Księżna usiadła wygodnie i zaczęła znowu wściekle poruszać drutami. – Ale jutro będzie zmuszony się oświadczyć. Taka była umowa. Dał słowo, że jeśli zrobię z ciebie perłę towarzystwa, ożeni się z tobą.

Pauline potrząsnęła głową.

– Wasza wysokość, musi pani pogodzić się z rzeczywistością. To po prostu niemożliwe.

– Właśnie, że możliwe. Wiem, że tak się wydaje. Ale teraz jest ta chwila, żeby zebrać siły i odnieść ostateczny triumf. Rano dykcja. Później przyjdzie nauczyciel tańca. Przećwiczymy również dygnięcia i powitania. Dostaniesz także prześliczną biżuterię. A także, rzecz jasna, zamówiłam najwspanialszą w świecie suknię. Ja się nie poddaję. – Podniosła paskudną robótkę. – Nie mogę.

Wzdychając z rezygnacją, Pauline otworzyła Biblię.

– Święty – przeczytała głośno. – Tob*ą*. Tysięcy. *H*osanna.

Kątem oka zauważyła znajomą postać, wchodzącą do pokoju.

– Och, niech ci*ę*.

Griff.

Doznała tylu uczuć naraz. Chciała do niego podbiec, objąć go, potrząsnąć nim, pocałować, przewrócić na dywan. Bała się na niego patrzeć, żeby nie zdradzić tego wszystkiego.

Martwiła się niepotrzebnie. Zgnębiona księżna nie zwróciła uwagi na reakcję Pauline.

Starsza kobieta zerwała się na równe nogi. Paskudny szary szczur wciąż dyndał na jej drucie i nie było go gdzie ukryć.

Książę zmarszczył brwi i spojrzał na robótkę.

– A cóż to takiego?

Doskonałe pytanie – Pauline miała nadzieję, że księżna będzie wreszcie zmuszona uczciwie na nie odpowiedzieć.

– To? – zapytała księżna.

– Tak. To.

– Powiem ci dokładnie, co to jest. – Księżna uniosła brodę, po czym zwróciła się do Pauline. – To wyjątkowo nieudana robótka na drutach. W istocie, bardzo zła, panno Simms. Spodziewałam się po tobie czegoś lepszego. – Wrzuciła nieszczęsną włóczkową plątaninę do kominka.

Pauline przewróciła oczami, wracając do Biblii.

– Hipokryta – wymówiła cicho, z doskonałą dykcją.

Nie zwracając na nią uwagi, księżna wygładziła przód sukni.

– Cóż, więc o co chodzi? – zapytała syna.

– Muszę ci coś powiedzieć.

W Pauline wezbrała nadzieja. Może zmienił zdanie, uznał, że lepiej wyznać bolesne tajemnice i ulżyć swemu sercu. Podniosła wzrok znad Biblii i posłała mu

zachęcające spojrzenie. Proszę. Tak bardzo ci ulży.

Ale on nawet się do niej nie odwrócił.

– Wysłałem twoje ametysty do jubilera, do naprawy – oznajmił gładko. – Zapięcie pękło, kiedy panna Simms miała je na sobie wczoraj wieczorem.

Pauline wypuściła powietrze z gniewnym parsknięciem. Tyle co do jej nadziei na prawdę.

Księżna zmrużyła oczy w podejrzliwie patrzące szparki.

– Pękło?

Pociągnął za guzik przy mankiecie. Dziś rano książęcy spokój wydawał się zaiste niezmącony.

– Odzyskasz je za parę dni.

Z pewnością, pomyślała Pauline. Jak tylko jubiler zdoła odtworzyć klejnot – z najdrobniejszymi szczegółami, żeby księżna nie zauważyła różnicy. Co za absurdalny wysiłek. Dlaczego po prostu nie wyzna, że biżuteria została ukradziona? Pauline poczułaby się o wiele lepiej.

– Jesteś pewien, że da się naprawić? – zapytała księżna. – Może sama powinnam na nie spojrzeć.

– Nie ma potrzeby. To zwykła naprawa zapięcia.

– Alle… – wtrąciła Pauline.

Kiedy książę i księżna odwrócili się do niej, patrząc pytająco, dokończyła, wskazując palcem Biblię:

– …luja.

Dlaczego nikt w tej rodzinie po prostu ze sobą nie rozmawia? Cały sezon rezydowali w jednym domu, jadali przy jednym stole… i cały czas ukrywali przed sobą różne tajemnice. Księżna rozpaczliwie potrzebowała kogoś, kto by ją podtrzymał na duchu. Jej własny syn sam potrzebował pociechy. Pauline tkwiła między młotem a kowadłem – powiernica wszystkich, zobowiązana do milczenia pod przysięgą. Żałosne.

Pod wieloma względami należeli do tych najbardziej uprzywilejowanych – bogaci, z dobrą pozycją, poważani przez sobie równych. Ale ich ogromne szczęście polegało głównie na tym, że mieli siebie nawzajem. Przeszkadzała im tylko arystokratyczna rezerwa.

– Androny – szepnęła.

Griff pstryknął palcami.

– Werset.

– Hm?

– Rozdział i werset. – Przekręcił szyję, zaglądając jej przez ramię. – Chcę

wiedzieć dokładnie, w którym miejscu w Liście św. Pawła do Efezjan jest użyte słowo „androny”.

Przekręciła się na fotelu, nie dając mu zajrzeć do książki.

– To jest napisane ołówkiem na marginesie. – Nie był jedynym, który potrafił kręcić.

– Ktoś mazał w rodzinnej Biblii? – Księżna uniosła brew, patrząc pytająco na Griffa.

– Co? Na pewno nie ja. Wiesz, że nigdy tego nie czytam.

– Hmm. – Księżna pociągnęła za sznur od dzwonka, a kiedy zjawiła się pokojówka, poinstruowała ją, żeby zwołała całą służbę do salonu.

Kiedy ustawili się wszyscy w równym szeregu, od naczelnika służby, Higgsa, po Margaret, pomywaczkę, Jej Wysokość oznajmiła:

– Ktoś sprofanował Pismo Święte. Niech winny wystąpi.

Nikt się, rzecz jasna, nie poruszył. Więc zrobiła to Pauline.

– Zmyśliłam to – powiedziała, podnosząc się z fotela. – I jest coś jeszcze, o czym wasza wysokość powinna wiedzieć. Książę coś przed tobą ukrywa.

W pokoju zapadła niezmącona cisza.

A spojrzenie, które posłał jej Griff – och, zmroziło ją do szpiku kości. Twarde spojrzenie, pełne gniewu. Nie waż się, mówiły jego oczy.

W tej chwili uświadomiła sobie, że jeśli złamie słowo i wyjawi prawdę o jego córce, on nigdy jej nie wybaczy. Nieważne, że była mu bliska i że dzielili rozkosz zeszłej nocy. Wyrwie ją ze swojego życia, nawet jeśli miałoby boleć tak, jakby ucinał sobie ramię.

Przełknęła z trudem.

– Ametysty – szepnęła. – Książę w swojej dobroci chce mnie chronić, ale nie mówi całej prawdy, wasza wysokość. Zapięcie nie zepsuło się samo z siebie. Złodziej zerwał klejnot z mojej szyi.

Zgromadzona służba sapnęła zbiorowo.

– Och, panno Simms – odezwała się gospodyni. – Nie zranił pani?

– Nie – zapewniła, wdzięczna za troskę. – Nie, nic mi się nie stało. Ale moja reputacja ucierpiała. Mogłam ścigać złodzieja z krzykiem po całym Vauxhall. A naszyjnik zniknął. – Odwróciła się do księżnej. – Tak mi przykro. Ale czuję się dużo lepiej, wyznawszy prawdę. Jak to mówią, spowiedź dobrze robi duszy. Skoro już się wszyscy tutaj zebraliśmy, może są jakieś inne sekrety, które wam ciążą. Może warto coś przewietrzyć i wystawić na światło dzienne.

Powiodła wzrokiem od Griffa do księżnej i z powrotem.

Na miłość boską. Po prostu porozmawiajcie ze sobą.

– Racja – odezwał się ktoś. – Panna Simms ma rację. Źle postąpiłam i muszę to wyznać.

Kucharka w kącie mięła fartuch. Po jej umazanych mąką policzkach spłynęły łzy.

– W zeszłym miesiącu Jej Wysokość zaordynowała turbota na kolację. Cóż, przeszukałam cały targ i nigdzie nie mieli turbota. – Zakryła twarz fartuchem. – Podałam dorsza. Dorsza. Podlałam go obficie sosem, więc nikt nic nie wyczuł. Ale od tamtego czasu czuję się okropnie.

Pauline podeszła do zapłakanej kobiety i poklepała ją współczująco po ramieniu.

– No, już cicho, cicho. Jej wysokość z pewnością ci to wybaczy.

– Nieopatrznie upuściłam żar na dywan w bawialni – wyjąkała jedna z pokojówek. – Wypalił dziurę.

– Ale czy nie czujesz się teraz lepiej, wyjawiwszy prawdę? – zapytała Pauline.

Pokojówka pociągnęła nosem i podniosła głowę.

– Tak, panno Simms. Naprawdę. Kamień spadł mi z serca.

– Tak się cieszę. Nikt nie powinien cierpieć, kryjąc w sobie tajemnice.

Młoda Margaret odezwała się pośpiesznie, też chcąc się wykazać:

– Widziałam, jak Lawrence zabawiał się w spiżarni z pokojówką!

Księżna wyprostowała się.

– Lawrence.

Wzmiankowany lokaj zbladł.

Księżna zwróciła się surowym tonem do pokojówek:

– Która to? Niech wystąpi.

Wystąpiły trzy jednocześnie. Kiedy rozejrzały się i stwierdziły, że nie są same, przeszyły Lawrence’a jadowitym wzrokiem.

Lawrence wił się jak piskorz.

– Ja… ja… – wysunął brodę. – Higgs nosi gorset!

Jeśli chciał odwrócić od siebie uwagę, cel osiągnął. Wszyscy w pokoju unieśli brwi.

Biedny Higgs. Poczerwieniał jak burak.

– To nie jest damski gorset. Szef służby musi się godnie prezentować.

Na długą chwilę zapadła niezręczna cisza.

A potem…

– Nie jestem Francuzką.

Te słowa padły z ust Fleur.

– Co? – wykrzyknęła księżna. – Niemożliwe.

– Nie jestem. N-nie jestem. – Osobista pokojówka księżnej wyznała to

urywanym, źle wymawianym angielskim. Jej akcent był nawet bardziej pospolity niż akcent Pauline, a w dodatku jąkała się rozpaczliwie. – Wiedziałam, że nigdy nie d-d-ostanę tego stanowiska, skoro mówię tak, jak mówię. Więc udawałam Francuzkę, z muchami w nosie, żeby nie musieć za dużo g-gadać. Naprawdę mam na imię F-f-flora. Tak mi przykro. Pójdę się spakować.

Uciekła z pokoju z płaczem.

Księżna ruszyła za nią.

– Fleur… czy Floro… Kimkolwiek jesteś, zaczekaj!

W salonie panowało pełne zdumienia milczenie.

Griff klasnął w dłonie.

– Cóż, piękne dzięki, panno Simms. Co za pouczający poranek.

Pauline przycisnęła rękę do skroni. Och, Boże.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Nikt nawet nie drgnął.

– Tak sobie myślę – odezwał się Griff. – Dlaczego nie miałbym otworzyć?

Higgs otrząsnął się, wracając do życia.

– Wasza wysokość, proszę mi pozwolić.

Griff podniósł rękę.

– Nie, nie. Muszę wyznać, że długo nosiłem w sobie tajemne pragnienie, żeby samemu otwierać drzwi własnego domu.

Kiedy wyszedł, Pauline pośpieszyła za nim.

– Przepraszam. Nie miałam pojęcia, że to wszystko się tak potoczy. Ale czy sam tego nie widzisz? Ten dom jest pełen tajemnic i wszyscy są z tego powodu nieszczęśliwi. Nikt bardziej od ciebie. Musisz wyjawić swoje smutki, otworzyć serce.

– Jedyna rzecz, jaką teraz otworzę, to drzwi frontowe. – Podszedł do wejścia i odsunął zasuwę. Na widok osób stojących na progu mruknął: – Doskonale. Tego mi brakowało.

Pauline zamarła ze zdumienia. W drzwiach stała nie jedna, ale dwie znajome osoby. Kobieta, którą znała w Spindle Cove jako pannę Minervę Highwood. Oraz mąż panny Minervy – Colin Sandhurst, lord Payne.

– Wiedziałam – powiedziała Minerva, mijając księcia i obejmując Pauline w rozpaczliwym uścisku. – Nie bój się, Pauline. Przybywamy na ratunek.

Otworzywszy drzwi, Griff wziął na siebie obowiązek ich zamknięcia. Kiedy to uczynił, przejął go ogromny żal, że dwoje gości znalazło się po ich niewłaściwej stronie.

– Dużo czasu minęło, Halford. – Payne oferował mu uścisk dłoni i pogodny uśmiech.

Nie dość dużo. Co do niego, wytrzymałby jeszcze tydzień lub dwa.

Lady Payne skierowała na niego płonący gniewem wzrok zza szkieł w drucianych oprawkach.

– Ty obrzydliwy trylobicie[2].

Czarujące. Co też Payne zobaczył w tej dziewczynie?

– Gdybym tylko nie zostawiła torebki w domu – dodała z goryczą.

Griff nie miał zielonego pojęcia, co to miało znaczyć, przypuszczał jednak, że nie należało tej rozmowy kontynuować w sieni.

Zaprowadził ich do swojego gabinetu – jedynego pomieszczenia, co do którego miał pewność, że nie zastanie w nim szlochającej pokojówki. Dzwonienie po herbatę wydawało się ryzykownym pomysłem. Nalał Payne'owi brandy i zaproponował paniom kordiał. Kolejne w tym obfitującym w przygody dniu doświadczenie w sztuce przetrwania.

– Pauline, co się stało? – zapytała pobudliwa żona Payne'a. – Co on ci zrobił?

– On mnie tylko zatrudnił, proszę pani. Pracuję tutaj jako dama do towarzystwa księżnej, jego matki.

– Och, doprawdy? – W głosie lady Payne brzmiał nieukrywany sceptycyzm. – A gdzie jest teraz księżna?

– Na górze – wyjaśnił Griff. – Rozwiązuje drobny kryzys w stosunkach ze służbą.

– Zatem – parsknęła – służba w tym domu często bywa nieszczęśliwa. – Przesunęła wzrokiem od księcia do Pauline. – A ja mam uwierzyć, że między wami nie zaszło nic niewłaściwego?

– Masz uwierzyć, że to nie twoja sprawa – odparł Griff. – Skąd te podejrzenia wobec mnie?

– Nie jestem podejrzliwa. Mam aż nadto powodów, żeby czuć do ciebie niechęć. Byłam w tej twojej okropnej jaskini rozpusty. – Zwróciła się do Pauline: – Wiesz, że utrzymuje na wsi tego rodzaju przybytek?

Pauline potrząsnęła głową.

– Nie, proszę pani. To nie moja sprawa, żeby wiedzieć takie rzeczy.

Griff zmarszczył brwi. Dlaczego nagle zrobiła się taka potulna i zgodna?

To nie była ta sama Pauline, którą znał. A z pewnością nie ta sama, która przygniatała go do łóżka zeszłej nocy, przesuwając językiem po wszystkich zakamarkach jego ciała.

– To się nazywa Winterset Grange – ciągnęła inkwizytorka-okularnica. – Byłam tam w zeszłym roku. Colin i ja spędziliśmy tam jedną noc w podróży do Szkocji. Och, to było okropne. – Zadrżała.

– Nie takie okropne, żebyś odmówiła mojej gościnności – powiedział Griff, opierając się o biurko i krzyżując ramiona. – I wybacz, lady Payne, że to powiem, ale wątpię, żebyś miała moralne prawo mnie oceniać.

– Co masz na myśli?

– Wedle twoich własnych słów, uciekłaś z rodzinnego domu z jakimś dandysem. A także, pozwolę sobie dodać, okłamałaś mnie w żywe oczy co do swojej tożsamości. Przypominam sobie, że Payne przedstawił cię jako Mellissandę, zaginioną alpejską księżniczkę i wyrafinowaną zabójczynię, która nie mówi słowa po angielsku. Alpejską księżniczkę-zabójczynię. I mnie posądzasz o deprawację?

Siedziała sztywno wyprostowana, oburzona do głębi.

Rozłożył ręce.

– Alpejską. Księżniczkę. Zabójczynię.

Kipiała ze złości.

– Przyznaję – stwierdził Griff – że scena, której byłaś mimowolnym świadkiem, mogła budzić moralną niechęć. Chcę jedynie zauważyć, że trudno by cię uznać za świętą w jaskini lwa. Czy nie można pojąć, że wszyscy zmieniliśmy się w ciągu ostatniego roku?

– Ludzie nie zmieniają się tak bardzo – powiedziała. – Nie w tym, co najistotniejsze.

– Cóż, tu się mylisz – odparł gniewnie. – Właśnie w tym, co najistotniejsze.

Podszedł do okna. Rozmowa budziła w nim gniew i pewną obawę. Minął cały rok, odkąd robił coś takiego, do czego piła lady Payne. Jego serce i życie uległy zasadniczej zmianie. I nikt tego nie zauważył. Nie Payne, którego kiedyś uważał za bliskiego przyjaciela. Nawet własna matka. Socjeta wciąż uważała go za rozpustnika – a to miało wpływ na to, jak postrzegano wszystkie bliskie mu osoby, włącznie z Pauline.

A więc to była cena, jaką płacił za roztrwonioną na głupstwa młodość. Zeszłej jesieni nie pragnął niczego poza tym, żeby zapewnić córce godne życie. Może lepiej, że nie dożyła, żeby zbrukał ją jego upadek. Wstydziłaby się, że jest z jego krwi.

Pociągnął potężny łyk brandy, czując, jak pali go w gardle.

Payne zbliżył się do niego i odezwał poufnym tonem:

– Słuchaj, Halford. Moja żona może być opiekuńcza, ale nie przyszliśmy tutaj, żeby roztrząsać twoje życiowe wybory. Po prostu martwimy się o Pauline. W tamtej wiejskiej gospodzie spędziłem wiele ponurych nocy. Nie przesadzę za bardzo, twierdząc, że jej przyjazny uśmiech i szybko podana kwarta uratowały mi raz czy dwa życie. To dobra dziewczyna.

Griff stłumił przekleństwo.

– W ogóle jej nie znasz. Nigdy nie poświęciłeś odrobiny czasu, żeby się czegoś o niej dowiedzieć.

– Znam jej sytuację rodzinną. Wiem, że nie ma się na kim oprzeć.

– Teraz ma – powiedział Griff. Te słowa wypłynęły z głębi jego serca.

Payne uniósł znacząco brwi.

– Czy tak?

– Tak.

– I jesteś pewien, że ona tego chce?

– Jest inteligentną, niezależnie myślącą, dorosłą kobietą. Zapytaj jej. – Westchnąwszy z irytacją, Griff przerwał konferencję z Payne'em. – Panno Simms, jeśli niepokoi cię historia mojego życia albo nie jesteś zadowolona z warunków naszej umowy, jeśli chcesz opuścić ten dom z jakiegokolwiek powodu, w tej chwili wypiszę ci czek i możesz odejść z lordem i lady Payne.

Spoglądała na przemian na niego i na gości. Jakby się nad tym głęboko zastanawiała.

Dobry Boże. Może i *chciała* od niego odejść.

– Cóż? – zapytał znowu, tym razem nieco chrapliwym głosem. – Czy chcesz odejść?

# 21

**P**auline żałowała nie do końca szczerze, że nie ma siły powiedzieć: tak. Tak byłoby najłatwiej. Ona i Griff będą się w końcu musieli rozstać, im później, z tym większym trudem.

Ale tego ranka nie mogła odejść. Ponieważ go kochała. Kochała go i nie mogła jeszcze go zostawić.

– Nie, wasza wysokość – powiedziała. – Chcę zostać.

– No, cóż. – Zwrócił się do Minervy: – Przypuszczam, że jesteś usatysfakcjonowana.

Lady Payne nie raczyła się nawet do niego odezwać, tylko podeszła do Pauline. Wsunęła jej w dłoń prostokącik papieru.

– To jest nasza wizytówka. Na odwrocie napisałam adres, jak również adres lady Rycliff. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała… czegokolwiek… zawsze możesz do nas przyjść. W dzień czy w nocy, rozumiesz?

Pauline kiwnęła głową.

– Oboje jesteście tacy dobrzy. Jestem wam wdzięczna za troskę.

Nawet jeśli niczego nie potrzebowała, dobrze było wiedzieć, że ktoś się o nią martwi.

Griff odprowadził ich do wyjścia. Wrócił w gniewnym nastroju.

– Co to było?

– Nie wiem. Chyba powzięli mylne przypuszczenia.

– Cóż, nie starałaś się specjalnie, żeby wyprowadzić ich z błędu. Prawie się nie odzywałaś, poza „wasza wysokość”, „proszę pani”, „proszę pana”.

Złościł się na nią?

– A co innego miałam mówić? On jest lordem. Ona jest lady. Ty jesteś księciem.

– Ale jeśli chodzi o intelekt i charakter, dorównujesz wszystkim, którzy byli w pokoju. Dlaczego z taką łatwością im ustępujesz, podczas gdy wobec mnie zawsze jesteś impertynencka?

– Z tobą jest inaczej. Z tobą wszystko jest inne. Ale nie możesz zrzucać winy tylko na mnie. Sam zachowywałeś się dość oficjalnie. Nie wyjaśniłeś im

pośpiesznie, że łączy nas płomiennie namiętny romans.

Machnął ręką w stronę drzwi.

– Wiedziałem, jak by to przyjęli.

– No właśnie. Dokładnie tak samo, jak wszyscy inni by to przyjęli. W najlepszym wypadku jako coś niemożliwego. W najgorszym, coś wstydliwego i występnego.

Pauline rozumiała, dlaczego jest przygnębiony. Sama też tak się czuła. Parę, która ich odwiedziła, mogli uznać za kogoś w rodzaju wspólnych przyjaciół i skoro nawet oni nie mogli przyjąć za realny związku Griffa z Pauline, to nie było już nadziei. Nikt nie zgodziłby się na to, żeby byli razem. Nikt.

Westchnęła. Co w tym dziwnego? Nieważne, co mówią poeci. Nie ma innej Anglii ani innego Londynu z inną Tower. Istnieje tylko ten świat, w którym żyją, a ten jest nieubłagany, jeśli chodzi o podziały klasowe.

– Między księżną a barmanką są trzydzieści trzy stopnie drabiny społecznej – powiedziała cicho. – Wiedziałeś o tym? To jest opisane na trzech stronach w *Mądrościach pani Worthington*. Mam to wszystko w głowie. Księżniczki są na samym szczycie, oczywiście po królowych i księżniczkach krwi królewskiej. Księżniczki, markizy, hrabiny…

Wymieniając tytuły, odliczała je na palcach.

– …potem żony najstarszych synów markizów, następnie żony najmłodszych synów książąt. Potem córki. Córki książąt, markizów. Za nimi hrabiny, żony najstarszych synów hrabiów. Potem hrabiowskie córki…

– Pauline…

– …to już dziesięć rang, a nie doszłam jeszcze do baronowych. Nie mówiąc już o kategoriach rycerstwa i stopniach wojskowych. A jeszcze niżej mamy…

Podszedł do niej i uniósł jej twarz, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy.

– Pauline.

– Mnie tam nawet nie ma. – Zamrugała mocno. – Taka dziewczyna jak ja, Griff… Stoję o tyle niżej od ciebie. Kiedy jesteśmy razem, możemy o tym zapomnieć. Ale nikt poza nami nie zapomni.

– Zapomnieć? Myślisz, że zapominam, kim jesteś, kiedy jesteśmy razem?

Poruszyła się niespokojnie. Na pewno zapomina, chociaż trochę. Od pierwszego spotkania okazywał jej więcej szacunku i uwagi niż jakikolwiek arystokrata świadomie okazuje służącej.

– Ważne, że, koniec końców, sami musimy o tym pamiętać. Inaczej społeczeństwo nas do tego zmusi.

Wpatrywał się w nią długą chwilę.

– Może masz rację. Musimy pamiętać, kim jesteśmy.

– Cieszę się, że się zgadzasz.

Przeszedł przez pokój, zamknął drzwi gabinetu i obrócił klucz w zamku. Mechanizm szczęknął złowieszczo.

– Uprzątnij biurko, Simms.

– Co? Nie rozumiem…

– Nie dyskutuj – uciął. – Jesteś służącą w gospodzie i chciałaś, żebym sobie o tym przypomniał. Ja jestem księciem i rozkazuję ci uprzątnąć biurko. Tym się zajmujesz, prawda? Sprzątasz ze stołów?

A zatem o to mu chodziło? O odgrywanie swoich ról? Książę libertyn i niegrzeczna służąca?

No cóż… po jakichś dwóch sekundach Pauline uznała, że weźmie udział w zabawie.

Zdjęła kałamarz i postawiła go ostrożnie na stoliku od lampy, żeby atrament się nie rozlał. Potem zamachnęła się jedną ręką, zrzucając z hukiem na podłogę suszkę, papiery, wosk do pieczętowania i wszystko inne.

– Proszę.

– Co za impertynencja.

– Lubisz to.

Szarpnął za krawat, rozluźniając go, i przeszedł przez pokój.

– Musisz wiedzieć, gdzie twoje miejsce.

– Czy to moje miejsce, wasza wysokość? – Podciągnęła się, siadając na biurku i machając nogami.

– Jak na razie. – Usiadł na krześle przed nią, rozstawiając stopy, tak że jej dyndające nogi znalazły się między nimi i zmierzył ją mrocznym, rozkazującym spojrzeniem.

Pauline miała wrażenie, że ta chwila jest krucha jak szkło i tylko czekała, aż coś trzaśnie.

– Podnieś spódnice – powiedział.

Trzask.

Te słowa były jak huk wystrzału na starcie i puls Pauline zaczął galopować.

Zrzuciwszy kopnięciem jeden pantofel, drugi poluzowała palcem stopy. Oba spadły na podłogę. Postawiła stopę w pończosze na jego udzie i wolno uniosła koronkowy skraj spódnicy, odsłaniając nogę po kolano.

– Czy tak?

– Wyżej.

Ciągnęła koronkę wyżej wzdłuż uda cal po calu. Pod halką ukazała się

podwiązka – lawendowa wstążka błysnęła frywolnie.

– Bardziej.

Przesunęła stopę na jego krocze. Powoli poruszała gładką podeszwą w górę i w dół. Wkrótce oboje oddychali z trudem.

Sposób, w jaki na nią patrzył… Nie wstydząc się widocznych reakcji swojego ciała, przenikając ją mrocznym, intensywnym spojrzeniem. Sprawiając, że ogarnęło ją pożądanie, i to bez jednego pocałunku.

– Wyżej – rozkazał, obejmując jej kostkę w mocnym uścisku. – Aż do pasa. Pokaż mi wszystko.

Rozkazujący ton ją podniecał. Wiła się na biurku, unosząc wyżej spódnice, aż poczuła chłodne powietrze między nogami.

– Tak – powiedział, pochylając się w przód na krześle. – O to chodzi.

Pieścił jej łydkę, przesuwając dłonią po jedwabistej skórze. Przycisnął kciukiem wnętrze jej kolana, a ona rozsunęła uda. Jakby znalazł jakąś sekretną dźwignię.

Chwycił ją za biodra, przyciągając gwałtownie na brzeg biurka. Zadawał jej słodką torturę, dotykając palcami wnętrza jej ud.

– Weź mnie – powiedziała błagalnie.

Mlasnął językiem.

– Zrobię, co mi się podoba. A mam ochotę cię spróbować.

Kiedy pochylił głowę, odsunęła się nagle, przerywając scenę, którą odgrywali.

– Griff, poczekaj… – Oblizała nerwowo wargi. – Nikt nigdy tego dla mnie nie zrobił.

Uniósł głowę. Uśmiechnął się powoli, szelmowsko.

– Jeśli chciałaś mnie zniechęcić, to zabrałaś się do tego niewłaściwie.

Ujął dłońmi jej biodra i znowu przyciągnął, przyciskając usta do szczytu jej ud.

Tak jak zapowiedział, pocałował ją. Tam.

Szokujące. I nieopisanie podniecające.

Drgnęła gwałtownie w jego ramionach, ale trzymał ją w żelaznym uścisku. Nie zamierzał pozwolić jej uciec. Osunęła się bezwładnie na mahoniowy blat, poddając rozkoszy, od której nie mogła się uwolnić. Rozłożyła szeroko ramiona, obejmując całą powierzchnię biurka. Wszystkie papiery i korespondencja pospadały. W tej chwili ona była jego pracą do wykonania. I zajmował się nią z oddaniem. Wyłącznie nią.

Po mistrzowsku.

Językiem docierał do jej najbardziej kobiecych, intymnych miejsc z pewnością siebie i zapałem. Odprężyła się, otwierając na pocałunek, wierząc, że on wie, co robi.

Wiedział. Och, był w tym dobry. Prawdziwy mistrz. Nie miała podstaw do porównań, ale postawiłaby całe swoje tysiąc funtów, że tak jest. Gdyby istniał tytuł rycerski przyznawany w dziedzinie sprawiania rozkoszy kobietom, z pewnością otrzymałby ten najwyższy.

Smakował ją, jakby była najwspanialszym daniem na królewskiej uczcie. Nie mogła powstrzymać jęku.

– Griff. – Wiła się niespokojnie na biurku.

Nie przerwał, żeby odpowiedzieć, przesunął tylko jedną dłoń na jej pierś.

Chwyciła go za głowę, przedzierając się niecierpliwie przez warstwy halek, żeby wpleść palce w gęste, ciemne fale jego włosów.

– Tak – wydyszała. – Proszę, nie przestawaj.

Nie zamierzał. Nic na to nie wskazywało. Czuła narastającą rozkosz. Jęczała, błagając go bez słów o spełnienie.

– Och, och.

Wygięła się nad biurkiem, wstrząsana spazmami rozkoszy. Przycisnął jej dłoń do ust.

W końcu uspokoiła się, a on znowu przesunął dłoń na jej pierś. Przez długą chwilę wpatrywała się milcząco w sufit, podczas gdy on pieścił jej piersi i okrywał leniwymi pocałunkami jej uda.

Nie było słów, których mogłaby teraz użyć. Żadnych.

– Podobało ci się?

– Tak – zdołała wydusić. Nie było słów, poza tym jednym. – Tak, tak, tak.

– Czy wierzysz, że czczę każdy cal tego zwinnego, cudownego ciała? Czy rozumiesz, że prędzej wyprułbym sobie bebechy, niżbym pozwolił, żeby spotkała cię krzywda?

Skinęła głową; gardło miała ściśnięte.

– Dobrze. – Twarz mu spochmurniała. – Bo teraz dam ci nauczkę.

Postawił ją na nogach, obrócił, a potem pchnął na biurko, tak że zgięła się w pasie. Powietrze uszło z jej płuc, kiedy jej piersi dotknęły twardego blatu.

Za jej plecami Griff zebrał szybkimi ruchami ciężki materiał sukni i halki i przełożył go ponad jej biodrami.

Położył dłoń na jej siedzeniu, a kolanem rozsunął uda.

– To spotyka panny służące, które się zapominają w obecności księcia. Dostają stanowcze upomnienie.

Słysząc żartobliwą surowość w jego głosie, Pauline poczuła, jak wnętrze jej ud pokrywa się gęsią skórką.

– Impertynencka hultajka.

Klepnął ją lekko po siedzeniu; sapnęła – na wpół rozbawiona, na wpół podniecona. Nie czuła bólu, tylko przyjemność.

– Frywolna kusicielka.

Kolejny słodki klaps.

Wiedziała, że jej nie skrzywdzi – to była tylko fantazja. Jeśli ona mogła grać uwodzicielkę, to on także mógł odegrać swoją rolę. Odpowiadało jej to, że się bawił. To znaczyło, że czuje się przy niej bezpiecznie.

Pochylił się nad nią, przyciskając ją do biurka ciężarem swojego ciała. Jego oddech parzył ją w szyję.

– Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką.

Szeptał chrapliwym, pełnym pożądania głosem, wsuwając rękę między jej uda.

– Lubisz to – powiedział. – Lubisz sobie wyobrażać, że doprowadzasz mnie do utraty zmysłów z pragnienia. Aż się całkowicie zatracę. Odpowiedz – zażądał.

– Tak.

– Tak, co? – Wsunął palec głębiej w jej ciało.

Jęknęła.

– Tak, wasza wysokość.

– Wiedz o tym – powiedział – że ja nie zapominam, jakie jest moje miejsce. I ty też o tym nie zapomnisz.

Och, jakąż miała nadzieję, że jego właściwe miejsce znajdowało się głęboko, głęboko w jej ciele. Tak bardzo go pragnęła, że powiedziałaby wszystko, czego by sobie życzył. Nazwałaby każdym imieniem, które by wybrał.

– Kim jestem?

– Księciem – wydusiła.

– A czego ty chcesz ode mnie? – Wysunął palec, budząc w niej pustkę i poczucie niezaspokojenia.

– Ja… – Poruszyła się niespokojnie. – Chcę, żebyś mnie wychędożył.

Wiedziała, że sprośny język go podniecił. Ostatecznie ten język świadczył o tym, kim była. Kimś pospolitym. Nisko urodzonym.

– Maniery. – Ponownie klepnął ją lekko. – Pamiętaj, do kogo się zwracasz.

– Proszę, wasza wysokość. – Teraz już pragnęła go rozpaczliwie. Mówiła głosem tak lubieżnym i zachęcającym, jak potrafiła. – Wychędoż swoją pokorną sługę, błagam.

– Tak lepiej.

Uniósł jej biodra i wsunął się w nią jednym gładkim ruchem. Jęknęła z satysfakcją, podobnie jak on.

Była dostatecznie podniecona. Nie musiał zabierać się do dzieła ostrożnie, więc

od razu narzucił szybkie tempo. Wsuwał się w nią głębiej i głębiej.

Pauline ściskała kurczowo krawędź biurka, żeby z niego nie spaść. Była niezwykle podniecona. Pokazywał jej nowe, mroczniejsze strony miłości. Przejmowała ją rozkosz.

– Mocniej – jęknęła. – Mocniej, jeśli wasza wysokość raczy.

– Och, raczę – mruknął.

Uniósł ją, trzymając w pasie, aż jej stopy przestały dotykać dywanu, i poruszał się szybkimi, zdecydowanymi ruchami. Przygryzła miękką skórę przedramienia, żeby nie krzyczeć głośno. Była całkowicie na jego łasce. Używał jej dla swojej przyjemności i robił to dobrze.

Potem postawił jej stopy na podłodze i pochylił się nad nią. Nakrył dłońmi jej dłonie, zaciśnięte na brzegu biurka. Czuła, jak krople jego potu spadają na jej obnażone ramię.

– Kim jestem? – Jego głos rozlegał się tak blisko… głęboki, gardłowy głos. Jej ciało drżało w odpowiedzi.

– Księciem.

– Jakim księciem?

– Ósmym księciem Halford… wasza wysokość.

Jej ciało domagało się spełnienia. Dlaczego przerwał? Poruszyła biodrami, chcąc go zachęcić.

Ani drgnął.

– Pozostałe tytuły. Wymień je.

Och, Boże.

– Nie pamiętam.

– Ja pamiętam. Nigdy nie zapominam, kim jestem. Nawet kiedy jestem w tobie i pragnę cię tak, że omal nie wybuchnę. Rozumiesz?

Podjął rytm na nowo. Tym razem wolno, ale nie przerywając. Napierał na nią z taką siłą, że każde pchnięcie wyrywało z jej gardła suchy szloch.

– Griff – szepnęła błagalnie.

Ta jego „lekcja” podniecała ją, ale i wyczerpywała psychicznie. Kiedy byli razem, sami, chciała, żeby zapomniał o trzydziestu trzech dzielących ich szczeblach na społecznej drabinie Anglii. Ale nie mógł tego zrobić. Ani ona. Nie dało się uciec od prawdy.

– Jestem księciem Halford – oznajmił, pchnąwszy mocniej.

Zamknęła oczy, próbując nie płakać. Tego było za wiele – uczuć, rozkoszy. Poczucia beznadziei.

– Jestem markizem Westmore.

Pchnięcie.

– Jestem także hrabią Riddingham. Wicehrabią Newthorpe. Lordem Hartford-on-Trent.

Pchnięcie, pchnięcie, pchnięcie.

– I jestem twoim niewolnikiem, Pauline.

Och, litości.

Rozszlochała się. Tym razem nie mogła się powstrzymać.

Zatrzymał się, zanurzony w niej. Wypełniając ją, modelując na miarę swego pożądania. Kiedy się rozdzielą, na zawsze pozostanie w niej pustka.

W jego głosie brzmiało niezaspokojone pragnienie.

– Słyszysz mnie? Teraz mi wierzysz? Może być tysiąc rang między nami, a mnie to guzik obchodzi. Każda pełna błękitnej krwi żyłka w moim ciele pulsuje pożądaniem wobec ciebie.

Przesunął ramię pod jej ciało i podniósł ją, prostując się. Opadła plecami na jego pierś. Trzymał ją mocno, drugą rękę wsuwając pod zwinięte halki. Drżała z rozkoszy.

– Spójrz na mnie – wychrypiał. – Pocałuj mnie.

Zrobiła, jak kazał, z chęcią odwracając głowę i sięgając do jego ust.

Chciała, żeby to trwało, żeby się nigdy nie skończyło. To była najczystsza rozkosz, jakiej doznała kiedykolwiek.

Ale on był bez skrupułów, niezwykle zręczny i diabelsko skuteczny. Po paru chwilach drżała na całym ciele.

Jego ruchy stały się szybsze, straciły elegancję. Raz jeszcze jej stopy uniosły się nad dywanem. Przerwał pocałunek i zanurzył twarz w jej włosach. Wydawał dzikie, nieartykułowane dźwięki, przyprawiając jej serce o jeszcze gwałtowniejsze bicie.

– Nie zapominam, kim jestem – szepnął. – I to ciebie chcę. Tak… wściekle… cię pragnę…

Wysunął się z jękiem. Ten odgłos sprawił jej satysfakcję.

A potem przycisnął ją tak mocno, że z trudem oddychała. Ale to nie miało znaczenia.

– Cóż – powiedział w końcu chrapliwym głosem. – Coś chyba ustaliliśmy.

– Chyba.

Opadł na fotel i pociągnął ją na kolana. Ułożyli się, splątani i spoceni, wypełniając ciszę chrapliwymi oddechami. Gładził jej włosy leniwie jedną ręką.

Przycisnęła twarz do jego koszuli.

– Griff, to było…

– Wiem – powiedział. – Wiem. Było. I mogę bezwstydnie dodać, że jestem z siebie raczej dumny.

– Powinieneś.

Jego pierś wzniosła się i opadła w pełnym satysfakcji westchnieniu.

– Miałbym ochotę pobiec na Piccadilly i poczekać, aż ktoś znajomy zapyta: „Jak się masz?”, tylko po to, żeby móc odpowiedzieć: „Właśnie odbyłem najcudowniejsze chędożenie w życiu, dziękuję”.

Roześmiała się, wyobrażając sobie tę scenę. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zapytać:

– Najcudowniejsze w życiu? Naprawdę?

– Przynajmniej do tego, które nastąpi później, w nocy. – Musnął ustami jej szyję. – Pauline, każdy raz z tobą jest najlepszy w moim życiu.

A ile razy jeszcze im zostało? Zbyt mało, zbyt mało.

Dyń… dyń… dyń…

Niczym zwiastun losu, przypominający, że ich czas upływa, zegar w pokoju wybił godzinę. Pauline obejrzała się na stolik z boku. Poznała zegar, przy którym Griff majstrował cały tydzień.

– Udało ci się go naprawić.

Uciszył ją, grzejąc oddechem jej ucho.

– Patrz.

Z okienka z przodu wysunęła się maleńka para. Żołnierz i dama. Wykonując kanciaste, mechaniczne ruchy, ukłonili się sobie, odtańczyli króciutkiego walca, po czym rozeszli się i ponownie schowali w zegarze.

– Och, czarujące.

– W dzieciństwie uwielbiałem się temu przyglądać.

W jego głosie brzmiała nutka melancholii. Z pewnością miał nadzieję, że pewnego dnia jego własny potomek będzie oglądał tę scenkę z zachwytem. Teraz myślał, że nigdy nie będzie miał się z kim dzielić tym małym cudem.

Przynajmniej w tej chwili miał ją. Otoczyła jego plecy ramieniem, obejmując go mocno. Słuchała ostatnich dźwięków zegara i gwałtownego bicia jego serca.

– Myślałem, żeby przekazać go do sierocińca – powiedział. – Może chociaż biedne dzieci się nim nacieszą.

– Z całą pewnością.

– Cóż, zatem poproszę moją matkę, żeby go zabrała następnym razem, kiedy pójdzie tam z wizytą.

Przekręciła się na jego kolanach i spojrzała mu w oczy.

– Mam lepszy pomysł.

# 22

**P**auline mogła wpaść na ten pomysł, ale Griff szybko przejął nad nim kontrolę. To nie miała być kolejna wizyta ckliwych paniuś z opieki społecznej. Jeśli miał odwiedzić sierociniec, zrobi to po swojemu. Na swój własny, szelmowski, książęcy sposób.

Roztaczając aurę władzy, bogactwa, jak przystało na szlachetnie urodzonego hultaja.

Pojawił się niezapowiedziany. Przeprowadził przez bramę orszak służby obładowanej skarbami: smakołykami, pomarańczami, zabawkami, wydzierganymi starannie czapeczkami oraz – zgodnie z życzeniem Pauline – książeczkami dla dzieci.

Kiedy wnosili wszystkie te skarby na dziedziniec, w całym domu zapanowało zamieszanie – dzieci w burych strojach zaczęły się powoli wylewać ze wszystkich klas i pokoi.

Panie opiekunki nie były zadowolone. Ich i tak już pochmurne twarze przybrały jeszcze bardziej srogie miny – tego dnia niechęć wyrzeźbiła na nich niejedną nową zmarszczkę. Panie nie miały jednak wyjścia, o ile nie chciały zrezygnować z parotysięcznej, rocznej dotacji.

Dobrze jest być księciem.

Kiedy zgromadziły się wszystkie dzieci, Griff zawołał:

– Gdzie jest Hubert Terrapin?

Chłopiec wysunął się noga za nogą do przodu. Łatwo go było zauważyć. Był najmniejszy w kolejce.

– Hubert, mianuję cię kwatermistrzem.

– Co to znaczy, wasza wysokość?

– Masz nadzorować rozdawanie tego wszystkiego. To poważne zadanie. Dasz radę?

Chłopak wyprostował się jak struna.

– Tak, wasza wysokość.

– To dobrze. Reszta niech się ustawi. Najmłodsi na początku.

Kolejka posuwała się rozpaczliwie wolno. Hubert, jak często dzieci o dobrym sercu, znoszące wiele upokorzeń, starał się wypełniać swoją funkcję jak najuczciwiej, uroczyście odliczając słodycze i cząstki pomarańczy.

– On jest tak skrupulatny – szepnął Griff do Pauline – że zostaniemy tu do jutra.

– Ale to słodkie, prawda? Nic w tym dziwnego. Jak jest czegoś za mało, to naturalne, że ludzie skaczą sobie do oczu. Ale wiele mówi o człowieku sposób, w jaki się odnajduje wobec obfitości. – Włożyła mu słodki smakołyk do ręki. – Coś na ząb.

Uśmiechnął się do siebie, kiedy odeszła. Widocznie w tym tygodniu uczyła się od księżnej, co daje dobre wychowanie bądź jego brak. Myliła się jednak, jeśli sądziła, że tych parę godzin spontanicznej dobroczynności wypływa z jego świątobliwej natury. Czy wydawał je na biednych, czy tracił w karty, zawsze rozstawał się z pieniędzmi bez żalu.

Za to rozstanie z nią… Boże, nie potrafił nawet o tym myśleć. Czas dzielący go od jej nieuchronnego wyjazdu kurczył się boleśnie. Musiał się czymś zająć, inaczej groził mu obłęd.

– Hubert – powiedział – daj mi jedną z tych pomarańczy. Pozwól, że ci pomogę.

W jakiś czas później pogratulował chłopcu dobrze wykonanej pracy, zostawił dziedziniec usłany skórkami pomarańczy i ruszył na poszukiwanie Pauline. Znalazł ją w końcu w izbie chorych.

Co za miła scena. Naprawiony przez niego zegar stał pośrodku półeczki nad kominkiem. Na chodniczku przed paleniskiem Pauline siedziała z trójką maluchów, niczym z kociętami, na kolanach, a starsza dziewczynka czytała im bajkę.

Odczuł boleśnie ironię losu. Ten obrazek przed jego oczyma – Pauline w słodkim uścisku z dziećmi – niczym zakończenie bajki, to było wszystko, czego mógł pragnąć w życiu. I wszystko, czego nigdy nie dostanie.

Nie chciał się w niej zakochać. Bogu wiadomo, że robił wszystko, żeby tego uniknąć. Ale teraz było za późno. I nie mógł nawet użyć sztuczki, w jakiej celowali młodsi mężczyźni – wmówić sobie, że nie czuje tego, co czuje. Może jego serce spoczywało na dnie czarnej, głębokiej studni i szczęśliwie udało mu się ignorować je przez lata. Ale dotarł tam, czekając na córkę. I nie mógł już przestać o nim pamiętać.

Wiedział, co to znaczy kochać. I właśnie tego teraz doświadczał.

Niech go Bóg ma w opiece.

Stał w milczeniu w drzwiach, nie chcąc przerywać. Nie wiedząc, co powie, jeśli się odważy. Wyrzuciłby pewnie z siebie strumień rozpaczliwych błagań: Nie

opuszczaj mnie. Kocham cię. Nie potrafię bez ciebie żyć. Dzieci wpadłyby w histerię. Całymi tygodniami śniłyby im się koszmary.

Więc tylko stał, nic nie mówiąc, przeczuwając czekający go bezmiar rozpaczy.

Póki cieniutki, piskliwy głosik nie wyrwał go z transu.

Pauline obejmowała mocno maluchy. Beth dotarła do najbardziej zachwycająco okropnego miejsca w bajce – fragmentu, w którym smok wyrywał czarne serca pazurem. Ale właśnie kiedy bohaterka opowieści szykowała się do tej ostatecznej próby, rozległ się przenikliwy płacz niemowlęcia.

– Och, to ten nowy – powiedziała Beth. – Zawsze płaczą. Mam nadzieję, że wkrótce wyślą go na wieś.

– Biedactwo – odezwała się Pauline. – Nie wiedziałam, że jesteśmy tak blisko żłobka.

Beth odwróciła kartkę w książce.

– Jest po drugiej stronie korytarza.

Pauline podniosła głowę, spoglądając w stronę korytarza.

Och, nie.

Na progu stał Griff, odrobinę rozczochrany i wściekle przystojny, jak zwykle. Ale jego twarz… Jego twarz zbladła jak papier. Jedno spojrzenie i wiedziała. Przeżywał tortury.

– Muszę iść, kochani. Beth dokończy bajkę.

Dzieci wierciły się, popiskując i ciągnąc ją za spódnicę.

– Wróci pani, panno Simms?

– Boję się, że nie będę mogła. Jutro wieczorem wracam do domu. Mam siostrę, która za mną tęskni. I ja za nią tęsknię. – Uśmiechnęła się nieśmiało do Griffa. – Może jego wysokość odwiedzi was któregoś dnia.

– Ja… – W pokoju niedaleko dziecko znowu zaczęło płakać. Skrzywił się.

– Wiem. – Pośpiesznie chwyciła kapelusz i szal. – Odjedziemy natychmiast.

Szybko ruszyli do wyjścia. Pauline z trudem dotrzymywała mu kroku. Wiedziała, że Griff zmaga się z gwałtownymi uczuciami, że broni się przed czarną rozpaczą, jaką obudził w nim płacz dziecka.

Nie mógł wiecznie uciekać. Żałoba w końcu go dopadnie, ale nie chciała, żeby załamał się tutaj. Nie przy tych wszystkich ludziach dookoła.

Szła szybkim krokiem w stronę drzwi frontowych.

Ale on bez słowa skręcił i wyszedł bocznymi drzwiami.

Pauline pobiegła za nim i dogoniła go na ulicy. Jego twarz miała ten sam nieobecny wyraz, jak tamtego dnia, kiedy wyszedł z domu i błądził ulicami

Londynu przez całą noc.

– Griff, poczekaj – zawołała. – Nie możesz mnie tu zostawić.

– Powóz czeka od frontu. Woźnica zabierze cię do domu.

– A co z tobą?

Machnął ręką w stronę zatłoczonej, anonimowej ulicy.

– Muszę się przejść. Przez jakiś czas. To przejdzie, jeśli tylko… – Głos mu zamarł.

Serce jej krwawiło. Może i udawało mu się tłumić te uczucia przez całe miesiące. Ale teraz przegrywał.

– Po prostu mnie zostaw.

– Nie – odparła, kiedy doszli do krawężnika. – Nie tym razem. Nie zostawię cię samego.

Pomachała energicznie, zatrzymując powóz miejski.

– Jak się nazywa tamten kościół? – zwróciła się do woźnicy. – Ten na drugim końcu Londynu?

Odziany na czarno woźnica zerknął na nią wzdłuż swojego ostrego nosa.

– Ma pani na myśli Świętego Pawła, tak?

– Zgadza się. Tam jedziemy. – Wdrapała się do powozu, wiedząc, że Griff wejdzie za nią. Nie pozwoli jej odjechać samej.

– Nie chcę jechać do jakiegoś przeklętego kościoła. – Rzucił się na ławkę naprzeciwko niej, krzyżując nogi w ciasnym, mrocznym powozie.

– Ja w gruncie rzeczy też nie. Potrzebowałam po prostu jakiegoś odległego miejsca, dokąd moglibyśmy pojechać. Wiem, że potrzebujesz czasu, ale musisz być z kimś…

Ugryzła się w język. Nie potrzebował kogoś. Potrzebował jej.

– W tej chwili nie zostawię cię samego – oświadczyła. – I tyle.

Wyciągnął srebrną flaszeczkę z kieszeni na piersi i zaczął ją odkręcać. Ale szło mu opornie. Zaklął z obrzydzeniem i cisnął flaszkę w kąt powozu.

Pauline schyliła się, żeby ją podnieść, spokojnie odkręciła i podała księciu.

– Proszę.

– Musisz mnie zostawić. – Zacisnął dłonie w pięści na kolanach. – Nie panuję nad sobą. Mogę… mogę wybuchnąć.

Jakby mógł jej zrobić krzywdę.

– Uchylę się – obiecała.

– Mogę płakać.

– Ja już płaczę. – Otarła oczy wierzchem dłoni.

– Ja… – Pochylił się, opierając łokcie na kolanach. – Jezu. Myślę, że

zwymiotuję.

– Proszę. – Wyciągnęła kapelusz. – Nie krępuj się.

Popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Naprawdę. Jest taki brzydki. Możesz go tylko zmienić na lepsze.

Ich oczy się spotkały, jego – pełne urazy, mroczne.

– Nie mogę cię zmusić, żebyś mnie zostawiła?

– Nie.

– A niech to, Simms. – Odwrócił wzrok, przyciskając pięść do ust, jakby chcąc powstrzymać strumień emocji.

Ale ona wyczuwała pęknięcia w zaporze.

Przesunęła się do przodu, aż ich kolana się zetknęły.

– Jesteś bezpieczny – szepnęła. – W tej przestrzeni, ze mną jesteś bezpieczny. Cokolwiek zdarzy się w powozie, zostanie tutaj. Jutro wieczorem jadę do domu. Nikt się nie dowie.

Z przekleństwem na ustach, z gwałtownością rozpaczy chwycił ją za biodra i opuścił głowę na jej kolana. Dłonie, zaplątane w materiał sukni, zacisnął w pięści.

W końcu, z twarzą ukrytą w jej spódnicy, wydał z siebie głośny dźwięk. Gardłowe wycie, wyrażające gniew i żal. Narastało w jego wnętrznościach i wybuchało w całym ciele. Czuła jego drżenie; sama także drżała. Przyciągnął ją bliżej, obejmując mocno.

Miała wrażenie, że wszystkie włosy na jej ciele stają dęba. Siła jego emocji przeraziła ją. Instynktownie chciała się cofnąć, ale stłumiła strach.

Jedną dłoń położyła płasko na jego wstrząsanych drżeniem plecach, drugą dotknęła włosów.

Chociaż w głębi serca chciała go ukoić łagodnymi słowami, oparła się pokusie. Mówienie mu, że go rozumie albo że wszystko będzie dobrze, nie miało sensu. To nie była prawda. Nie była w stanie zrozumieć jego straty – już sama siła jego rozpaczy wymykała się jej rozumieniu – i nie wierzyła, że wszystko będzie dobrze. Stracił kogoś, kogo nie da się zastąpić i zbyt długo dusił w sobie smutek.

– Boże. – Jego głos dobiegał stłumiony przez spódnice. – Niech to diabli. Niech to diabli.

Objęła jego drżące ramiona i pocałowała w czubek głowy, tuląc najmocniej, jak umiała.

Trwali tak, podczas gdy powóz turkotał na ulicach i w okolicach, gdzie nigdy nie była i nie miała się już nigdy pojawić.

Pauline nie wyobrażała sobie nigdy, jak bardzo ojciec może kochać swoje dziecko – własne dzieciństwo jej w tym nie pomogło. Ale Griff jej to dzisiaj

pokazał. Jeśli dałoby się wyjąć z serca zrozpaczonego ojca wszystkie zawiedzione nadzieje i ułożyć jedną obok drugiej, rozciągałyby się z jednego końca Londynu na drugi.

Mila za milą.

Trochę później, uwolniony od tłumionych emocji, leżał obok niej na ławce.

– Opowiedz mi o niej – szepnęła. – Opowiedz mi wszystko.

– Była dokładnie taka duża. – Dotknął palcem czubka najdłuższego palca drugiej dłoni, a potem wnętrza łokcia. – Miała włoski jak miedziane nici.

– Musiała się w ciebie wrodzić.

– Ja mam ciemne włosy.

– Ale broda jest ruda, jak ją zapuszczasz. – Pogładziła jego policzek opuszkiem palca. – Zauważyłam to już tamtego pierwszego dnia. Czy miała także twoje piękne brązowe oczy?

– Nie wiem. Były zamglone… szaroniebieskie, ale położna mówiła, że ściemnieją. – Potarł twarz dłonią. – Rzadko otwierała oczy, kiedy ją trzymałem. Chyba w ogóle mnie nie widziała.

– Wiedziała, że jesteś. – Pauline położyła mu rękę na piersi. – Czuła, że trzymają ją silne ramiona. Poznawałaby twój głos. I wodę kolońską. Masz cudowny, uspokajający zapach. Nie sądzę, żebym kiedyś porzuciła Spindle Cove, gdybyś nie pachniał tak przyjemnie. Pewnie nie otwierała oczu, bo czuła się zupełnie bezpieczna.

Wydał głębokie westchnienie.

– Byłem taki szczęśliwy, kiedy urodziła się dziewczynka.

– Naprawdę? Myślałam, że mężczyźni pragną synów.

Jej własny ojciec chciał mieć synów. Kiedy na świat przyszły córki, nie mógł otrząsnąć się z rozczarowania. Odmówił nawet nadania im imion innych niż te, które wybrał dla chłopców. Tylko pióru starego proboszcza ona i Daniela zawdzięczały to, że nie nazywały się Paul i Daniel.

– Chciałem dziewczynkę – odparł. – Syn z nieprawego łoża miałby dużo gorzej. Nigdy nie mógłby po mnie dziedziczyć, a ja martwiłbym się, że czuje się upokorzony, choćbym nie wiem jak się starał, żeby być dobrym ojcem. Ale córka… córkę mógłbym swobodnie psuć i rozpieszczać. Miałem tyle planów. Nawet sobie nie wyobrażasz.

Zagryzła wargę, pełna współczucia.

– Och, wyobrażam sobie.

– To nie był tylko pokój dziecinny. Zaplanowałem urodziny, święta, wyjścia. Nająłem niańki.

– Czy wybrałeś dla niej odpowiednią szkołę?

Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Zacząłem rozważać różne możliwości.

– No, nie wątpię. – Lżej jej się zrobiło na sercu, kiedy się uśmiechnął. Nawet odrobinę.

Zamknął oczy.

– Żyła krócej niż tydzień. Minął prawie rok. Jak to możliwe, że wciąż ją tak opłakuję?

– Nie mogę udawać, że wiem, czym jest miłość. – Wsunęła mu palce we włosy, gładząc delikatnie jego głowę. – Ile dni znam ciebie? Niewiele dłużej. A wątpię, żebym któregoś dnia nie pomyślała o tobie, choćby mi przyszło dożyć dziewięćdziesiątki. Ja… – Nie mogła się powstrzymać. – Tak bardzo cię kocham.

Otworzył gwałtownie oczy.

– Przepraszam – powiedziała. – To nieodpowiedni moment na takie wyznanie.

– A kiedy będzie lepszy moment? – Podniósł się, siadając obok niej.

– Nie wiem. – Splotła ręce na kolanach. – Pewnie nigdy. Ale ja nie bardzo potrafię ukrywać takie rzeczy, a ty zasługujesz na to, żeby to usłyszeć. Zakochałam się w tobie nieprzytomnie w tym tygodniu.

Zwichrzył ręką włosy.

– Nie rozumiem. Zawarliśmy umowę, Simms. Jak to się stało?

– Nie wiem. Vauxhall, księgarnia, pierwsze pocałunki w twojej bibliotece… Kiedy staram się zrozumieć, jak to się zaczęło, cofam się i cofam. Nie wiem, jak do tego doszło, ja tylko… – Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć. – Jestem raczej pewna, że to się nie skończy. Nigdy.

– Pauline. – Ujął jej twarz w dłonie.

– A jednak nie mogę tego żałować. Nie będę. Wiem, że musimy się rozstać i że serce mi pęknie. Ale nawet jeśli boli, to chociaż wiem, że je mam. – Uśmiechnęła się lekko. – A niegrzeczne książki będą miały większy sens.

Zacisnął usta w surową kreskę. Wciągnął powoli powietrze. Potem podniósł rękę i uderzył pięścią w dach powozu, dając znak woźnicy.

– Dość. Wracamy do domu.

– Bo jesteś nieszczęśliwy?

– Nie. – Rzucił jej spojrzenie, które mówiło: Czy to nie oczywiste? – Ponieważ uprawianie miłości w jadącym powozie nie daje tylu wrażeń, ile powinno.

– Och.

Porwał ją na kolana i niemal udusił w namiętnym pocałunku.

– Pauline – wyszeptał przy jej ustach. – Moje serce, moja najdroższa miłości.

Dość tej przejażdżki. Żeby zrobić ci każdą nieprzyzwoitą, cudowną rzecz, o jakiej myślę, potrzebuję łóżka. I czasu.

# 23

**N**ie dało się temu zaprzeczyć. Pomimo tygodniowego szkolenia, jakie zafundowała jej księżna, Pauline pozostała w głębi duszy dziewczyną ze wsi. Po raz kolejny obudziła się przed świtem.

Griff, obejmując ją ciasno, leżał, pochrapując cicho. Jego ciemna głowa spoczywała ciężko na jej piersi. Żałowała, że nie może mu pozwolić spać całe przedpołudnie. Po nocnych wyczynach w tymże łóżku należał mu się porządny odpoczynek.

Ale świt nadszedł zbyt szybko. Na dole służba zaczynała codzienną krzątaninę.

– Griff – szepnęła. Wsunęła palce w ciemne, wzburzone fale jego włosów. – Griff, muszę iść. Już prawie rano.

Ścisnął ją mocniej w pasie.

– To nie może być rano. Nie pozwolę, żeby było rano.

Uśmiechnęła się.

– Nie wierzę, żeby nawet książę Halford potrafił zatrzymać czas.

– Może próbować.

Pociągnął ją w dół i narzucił prześcieradło na nich oboje, tworząc rodzaj namiotu. Wczesne poranne słońce przeświecało przez płótno, malując ich nagie ciała ciepłym, miodowozłotym blaskiem.

Pauline przestała się martwić tym, co miało się stać później tego dnia i przez resztę jej życia. W tej chwili była tutaj. W jego ramionach. Jego dotyk sprawiał, że zapominała o wszystkim.

Poza skrzypieniem, szuraniem i innymi odgłosami sprzątania na dole. Tego nie dało się ignorować.

– Czy drzwi są zamknięte na klucz? – zapytała. Kiwnął głową, całując jej pierś.

– Tak jest.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien. – Wsunął rękę między jej uda.

Powstrzymała go, kładąc mu rękę na piersi.

– Idź, proszę, i sprawdź. Poczuję się bezpieczniej.

Patrzył na nią przez chwilę.

– No, dobrze. – Ukucnął na pościeli. – Nie chcę, żebyś się nie czuła bezpieczna w moim łóżku.

Pocałowawszy ją szybko w czoło, zszedł z łóżka i ruszył w stronę drzwi. Pauline ułożyła się na boku, przyglądając mu się.

Szedł swobodnym krokiem, a ona podziwiała jego długie, szczupłe łydki oraz rzeźbę ramion i pleców. A jego tyłek… Wielki Boże. Świat nie widział tak wspaniale uformowanego tyłka od czasu szóstego dnia Stworzenia. Jego pośladki stanowiły napięte, zaokrąglone kopuły czystych mięśni. Kiedy szedł, na każdym z nich pojawiały się na zmianę pociągające dołeczki.

Prawa, lewa, prawa…

Podszedł do drzwi i poruszył klamką.

– Zamknięte – potwierdził głośno.

Potem odwrócił się – niebu niech będą dzięki – i ruszył z powrotem.

Jeśli jego widok od tyłu był podniecający, to widok drugiej strony zniewalał bez reszty.

– Poczekaj – powiedziała. – Zatrzymaj się.

Przystanął.

– Czy coś jest nie w porządku?

– Nic, tylko… okłamałam cię co do czegoś.

Jego ciemne brwi ściągnęły się jak burzowe chmury.

– Tak?

– Nie obchodziło mnie tak bardzo, czy drzwi są zamknięte – oznajmiła. – Chciałam tylko na ciebie popatrzeć, jak idziesz przez pokój.

Parsknął śmiechem, zaskoczony. Mięśnie jego brzucha napięły się w zachwycający sposób.

Oparła się na łokciu i westchnęła tęsknie.

– Jesteś taki piękny. Jeśli „piękny” to właściwe słowo dla mężczyzny.

– Nie mam pojęcia. Nieczęsto zdarza mi się komplementować nagich mężczyzn. – Pociągnął się za ucho, odrobinę zmieszany. – Zaczynam się czuć jak eksponat w British Museum.

– Twoje miejsce jest na wystawie. – Potrząsnęła ze zdumieniem głową. – Jak to robisz, że masz takie sprawne ciało? Jesteś arystokratą, ale żaden chłopak ze wsi by ci pod tym względem nie dorównał.

Przesunął ręką po twardym brzuchu.

– Po prostu zachowuję aktywność. To dla mnie ważne. Pewnej zimy w Oksfordzie zachorowałem na zapalenie płuc. Miesiącami leżałem w łóżku i o mało

nie umarłem. To był trudny czas.

Pauline mogła to sobie wyobrazić. Nie tylko dla niego, ale także dla jego rodziców. Griff jako jedyny pozostał z czwórki dzieci i gdyby stało się coś złego…

Potwierdził jej podejrzenia.

– Już byli mną rozczarowani. Ale wydawało się, że najmniej, co mogę zrobić, to pozostać przy życiu, rozumiesz? Jak tylko wyzdrowiałem, zacząłem ciężko pracować, żeby odzyskać siły. – Wyciągnął i zgiął rękę. – Nie tylko siłę, ale także równowagę, refleks. Od tamtej pory robię wszystko, żeby zachować sprawność. Ostatnio uprawiam głównie fechtunek.

Uśmiechnęła się.

– Te wszystkie pchnięcia dobrze ci posłużyły.

– Fechtunek to nie tylko pchnięcia. – Podszedł bliżej. – To także bystrość umysłu i szybkość ruchów. Zwinność. Koncentracja. Strategia.

Zmysłowy ton w jego głosie budził w niej na nowo pożądanie. Sądząc po reakcjach jego ciała, on także pragnął jej gorąco… a to jeszcze wzmagało jej poczucie nienasycenia.

Żeby go trochę podrażnić, przesunęła się na środek łóżka.

– Pozwól, że jeszcze sobie popatrzę. To może być moja ostatnia szansa.

– To nie będzie twoja ostatnia szansa.

Materac ugiął się, kiedy do niej dołączył. Położył się na niej, wsuwając pomiędzy jej uda. Krótko był poza łóżkiem i miał chłodne ciało. Chłodne i twarde jak marmur.

– To będzie ostatni raz – szepnęła.

Wsunął się w nią jednym, potężnym pchnięciem.

– To nie może być ostatni raz.

Otoczyła go nogami. Poruszał się, opierając na łokciach i patrząc na nią, zaglądając jej w oczy. To było niezwykłe. Czuła się taka bezradna i bezbronna. Jej ręce na jego ramionach zaczęły drżeć. Miała nadzieję, że tego nie zauważy.

Znieruchomiał i zmarszczył lekko brwi.

– Co się stało? – zapytała.

– Nic – odparł. – Niczego nie chciałbym zmieniać. Jesteś doskonała.

Jej serce biło gwałtownie. Na koniec, znowu to słowo. I nie padło wtedy, gdy miała na sobie jedwabną suknię i mnóstwo klejnotów, ale właśnie teraz. Kiedy leży pod nim naga, w pełnym świetle dnia. Kiedy niczego nie można ukryć. Kiedy otula ich tylko ciepło i ich własny zapach.

Warto było czekać tydzień, żeby to teraz usłyszeć.

Przesunęła mu ręce na plecy i wygięła biodra, przyciągając go bliżej.

– Weź mnie brutalnie. Nie szczędź niczego. Chcę być obolała. Chcę czuć cię całymi dniami.

Nie musiała prosić dwa razy. Zrobił, jak sobie życzyła, unosząc jej nogi i układając je sobie wokół bioder.

Wbijała paznokcie w jego plecy, kalecząc go lekko – tak, żeby on także o niej pamiętał.

Przycisnął czoło do jej czoła.

– Nie chcę się wycofywać. Chcę być głęboko w tobie, kiedy osiągnę rozkosz.

– Griff, nie. – To ją zaskoczyło. – Za duże ryzyko.

– Chcę ryzykować. – Pocałował ją w usta. – Nigdy bym nie pomyślał, że znowu to powiem, ale chcę tego. I chcę ciebie, na zawsze.

To był wyraz szaleństwa. Żądza zmąciła mu umysł. Ona musi odejść; on musi zostać. Żadne nie umiałoby dać sobie rady z takimi konsekwencjami. Ale jakąś szaloną, bezrozumną częścią swego umysłu pragnęła tego samego. Klamka by zapadła. Nie dałoby się tego odwrócić. Nie mógłby jej wyrzucić ze swojego życia. A jak byłoby cudownie kołysać pewnego dnia w ramionach jego gaworzące, zdrowe dziecko! Serce jej topniało na samą myśl.

Mogła mu dać tyle szczęścia.

Zatrzymał się nad nią, napinając mięśnie. A kiedy znowu zaczął się poruszać, poczuła zmianę w dobrze już sobie znanym rytmie. Był bliski spełnienia.

– Nie powstrzymuj mnie. Nie mogę pozwolić ci odejść.

– Weź mnie – szepnął, wsuwając się w nią głęboko. – Przyjmij wszystko. Po prostu mnie kochaj.

– Tak. – Fala rozkoszy porwała ją w miejsce, gdzie nie istniała rozsądna myśl czy logika. – Tak.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Pauline krzyknęła przenikliwie. Odskoczyli od siebie i Pauline zakopała się w pościeli, wciąż jeszcze drżąc z rozkoszy.

O mój Boże. O mój Boże. O mój Boże.

Griff zaklął i przekręcił się na plecy, zasłaniając ją własnym ciałem.

– Co, u diabła?

W drzwiach stał lord Delacre. Podniósł rękę, żeby zasłonić oczy.

– Gorzej niż myślałem. A niech mnie.

– Myślałam, że drzwi są zamknięte – szepnęła Pauline, przyciskając prześcieradła do piersi.

– Były zamknięte – syknął Griff przez zaciśnięte zęby.

– Włamałem się – oznajmił Delacre. – To pilne, Halford. Czy wiesz, że kobieta,

z którą się pokazywałeś w dobrym towarzystwie, to pospolita pomoc w szynku?

Och, Boże. Twarz Pauline spłonęła rumieńcem wstydu. Ręka Griffa, którą obejmował ramiona Pauline, osunęła się bezwładnie. Usiadł powoli i potarł twarz obiema dłońmi.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Wszyscy wiedzą – oznajmił Delacre. – Eugenia Haughfell dogrzebała się prawdy i teraz całe miasto o tym mówi.

Powinna to przewidzieć. Przeklęte babska.

– Bez wątpienia ten tydzień dostarczył ci świetnej zabawy, panno Simms. Ale to już koniec. – Wszedł parę kroków do pokoju, podniósł porzucone bryczesy Griffa z podłogi i cisnął w przyjaciela. – Parę razy ledwo się wywinąłeś, Halford, a i ja w swoim czasie miałem do czynienia z pozbawionymi skrupułów łowczyniami majątku. Ale to przerasta wszystko. Uwiedziony przez zwykłą barmankę w rodzicielskim łożu.

Griff chwycił spodnie spokojny i milczący. Odwrócił się na bok, tyłem do Pauline, i wsunął w nie nogi jedną po drugiej. Wstał i wciągnął bryczesy, wciąż tyłem do niej.

Żegnaj, pomyślała ze smutkiem. Żegnaj, najwspanialszy tyłku w dziele Stworzenia.

A zatem to koniec. Wiedziała, że to ich ostatnie chwile rozkoszy, ale zakończenie okazało się wyjątkowo upokarzające.

Chciała zniknąć pod materacem.

– Nikt przynajmniej nie może oczekiwać – ciągnął Delacre – że ożenisz się z tą dziewczyną. Plotkarze uznają, że to kolejny z twoich wybryków. Daj jej trochę pieniędzy i odeślij. Mam nadzieję, że byłeś na tyle ostrożny, żeby nie zrobić jej bękarta. Pewnie to przed tobą ukryła, ale ta krew niesie ze sobą imbecylizm.

Griff zastygł w momencie zapinania guzika w rozporku. Zerknął przelotnie na Delacre’a.

– Del – odezwał się niskim, spokojnym głosem. – Zapięcie tych guzików zajmie mi około dziesięciu sekund. Tyle masz czasu, żeby uciec.

Lord Delacre potrząsnął głową.

– Nigdzie nie pójdę, póki nie zyskam pewności, że ta…

– Biegnij. – Griff zapiął ostatni guzik. Opuścił ręce, potrząsając palcami, rozluźniając je. Miał marsowy wyraz twarzy. – Mówię poważnie, Del. Lepiej uciekaj. Bo zamierzam cię zabić.

Sądząc po wyrazie twarzy Dela, stary „przyjaciel” mu nie wierzył.

– Daj spokój, Halford. – Podniósł ręce. – Nie możesz mówić poważnie.

Griff odciągnął do tyłu prawą pięść i z całej siły grzmotnął Dela w żołądek.

– Przekonałem cię?

Del zgiął się wpół, oczy o mało nie wyszły mu z orbit ze zdumienia.

– Jezu.

– W porządku. Odmów modlitwę. To ci się przyda. – Znowu machnął pięścią, tym razem trafiając Dela w szczękę.

Zdawszy sobie sprawę, że jest na przegranej pozycji, Del wywlókł się na korytarz.

– Przestań i zastanów się, Griff! – zawołał. – Zawarliśmy umowę, pamiętasz? Próbuję być twoim przyjacielem. Chcę cię wyrwać z pułapki. Uratować przed znacznie większym skandalem.

– Lepiej sam się ratuj.

Pobiegli w stronę salonu, gdzie tyle razy zaczynali razem dzień.

Dzisiaj nie używaliby niegroźnym szabli ćwiczebnych.

Griff zerwał krótką szpadę ze ściany i machnął nią w powietrzu.

– Coś ci powiem, Delacre. Te wszystkie lata, kiedy byliśmy tak znakomicie dobranymi partnerami w szermierce… – Podniósł szpadę. – Dawałem ci fory.

Jak tylko Del wziął broń do ręki, Griff ruszył na niego, wymachując dziko szpadą, zmuszając przeciwnika, żeby się cofał, aż przycisnął go do ściany.

Griff przytknął lekko ostrze do policzka Dela, aż pojawiła się cienka, krwawa kreska.

– Och, niedobrze. Może zostać blizna.

– Kobiety szaleją za mężczyznami, którzy mają blizny. I tak jestem od ciebie o niebo przystojniejszy. – Del uśmiechnął się kpiąco. – Może barmanki nie są wybredne.

– Ty draniu. Ona nie jest barmanką i już nigdy nią nie będzie.

– Czy chcesz powiedzieć, że wiedziałeś? – Del uniósł nogę i kopnął Griffa w pierś, aż ten zatoczył się w tył.

Griff szybko odzyskał równowagę, ale Del zdążył przez tę chwilę unieść szpadę i przyjąć postawę obronną.

– Czekaj, czekaj, czekaj – wydyszał Delacre. – Czy ty… Boże! Chyba sam sobie nie wierzysz, że się zakochałeś w tej dziewczynie.

Griff potrząsnął głową, ale nie w geście zaprzeczenia. Miłość to było zbyt słabe określenie na to, co teraz czuł. Przed chwilą, kiedy pod nim leżała… Nigdy by nie pomyślał, że znowu dozna czegoś takiego. Gotów był zmierzyć się z każdym smutkiem, byle zachować ją przy sobie. Może to pragnienie nie miało w sobie nic z logiki czy rozsądku, ale było rzeczywiste i prawdziwe. Było zwycięstwem nadziei

nad rozpaczą. Wyborem jedynej cudownej możliwości spośród mnóstwa nijakich.

To była ona. Cała ona.

Jego dusza umarła. A ona przywróciła ją do życia.

– Umarłbym dla niej – powiedział. – A także dla niej zabił. Reszta nie ma prawa cię obchodzić.

– Niech mnie diabli. Ty ją kochasz. – Del uchylił się, parując wściekły cios Griffa. – Och, to nawet gorzej. Jak myślisz, do czego to doprowadzi? Chcesz z niej zrobić swoją kochankę?

– Zgaduj dalej.

– Cóż, wiem, że nie myślisz o ożenku. – Delacre parsknął śmiechem. – To byłoby doskonałe. Już widzę tytuły brukowców: „Barmanka księżną”.

Zwarli szpady. Griff naprężył mięśnie ramienia, popychając skrzyżowane ostrza, aż oparły się o gardło Dela.

– Myślę, że gazety zamieszczą jutro inną historię. Tę o zmarłym lordzie Delacre, który przeniósł się do wieczności.

Przygotował się do zadania ostatecznego ciosu.

– Griff!, Griff, nie!

# 24

**P**auline zatrzymała się gwałtownie w progu, zdyszana po biegu, w pośpiesznie nałożonej sukni z poprzedniego dnia.

– Nie rób tego! – zawołała. – To twój najdawniejszy przyjaciel. Nie chcesz go przecież zranić.

– Och, chcę go zranić – odparł spokojnie Griff. – Bardzo chcę go zranić.

I słusznie. Nie mogła zaprzeczyć, że po okrutnych słowach, jakie padły z jego ust, widok lorda Delacre, wijącego się pod ostrzem szpady, nie sprawiał jej szczególnej przyjemności. Ale na tym należało poprzestać.

– Griff, proszę.

Podeszła ostrożnie do obu mężczyzn.

– Jego życie nie jest warte jednej dziesiątej twojego. Twoja matka jest gdzieś w tym domu. Nie chciałbyś, żeby to zobaczyła. A jeśli nic cię nie wzrusza, pomyśl o służbie. Będzie koszmarny bałagan.

– Słyszysz, Del? Nędzna barmanka błaga o twoje życie. Kobieta, którą obraziłeś, błaga, żebym oszczędził twoją podłą skórę. Myślę, że powinieneś jej podziękować. – Przez zaciśnięte zęby dodał: – Teraz.

Delacre odchrząknął nerwowo.

– Dziękuję.

– Dziękuję, panno Simms – poprawił go Griff. – I spraw, żebym ci uwierzył.

– Dziękuję, panno Simms. Jestem wdzięczny, że uratowałaś moją podłą skórę.

Griff wolno wciągnął powietrze nosem. A potem powoli je wypuścił. Po długiej chwili odsunął się i obie szpady stuknęły o ziemię.

Delacre skulił się na podłodze, przejęty ulgą.

Pauline miała ochotę zrobić to samo.

– Kiedy ją zobaczysz następnym razem – powiedział Griff, wymierzając Delacre'owi lekkiego kopniaka w żebra – powitasz ją z szacunkiem i zwrócisz się do niej stosownym imieniem: jej wysokości księżnej Halford.

Teraz pod Pauline naprawdę ugięły się kolana.

– Co?

– Co? – zawtórował jej Delacre. – Halford, zawarliśmy porozumienie!

– Na miłość boską. Daj sobie spokój z tym głupim paktem. Mieliśmy po dziewiętnaście lat. W tym wieku uważaliśmy, że nocne polowanie na kuropatwy to też świetny pomysł.

Griff podszedł do Pauline i ujął jej ręce w swoje.

– Nie mogę ci pozwolić dzisiaj odjechać.

Potrząsnęła energicznie głową.

– Nie, nie, Griff, nie mogę zostać. Moja siostra. Obiecałam jej.

– Zajmę się nią – oznajmił. – Będę się troszczył o was obie. Zawsze. Od tej chwili nie będziesz już musiała pracować. Nie będziesz się musiała martwić czy bać. Ja się wszystkim zajmę.

Och, Boże.

– Ale musisz ze mną zostać i pomóc mi to przeprowadzić. Jeśli dzisiaj uciekniesz, plotkarze ogłoszą zwycięstwo. – Pogładził kciukiem jej rękę. – Możemy mieć wspólną przyszłość, ale musimy o nią walczyć już teraz. Wziąć dzisiaj ślub.

– Dzisiaj? Czy ty zwariowałeś?

– Wcale nie. Jest tylko kilku ludzi w Anglii, którzy mogą wydać specjalne pozwolenie w tak krótkim czasie. Ja jestem jednym z nich. Dzisiaj się pobierzemy, a wieczorem wystąpisz w towarzystwie jako księżna Halford. Nikt nie śmie cię zranić, choćby brukowce zamieszczały nie wiadomo jakie plotki. Jesteś piękna, pełna wdzięku i bystra, a w dodatku znasz na pamięć całą tę głupią książkę o etykiecie. Pokażemy im dziś wieczorem. Jesteś w stanie tego dokonać.

Chciała mu wierzyć. Wierzyła. Ale jak mogła czuć się spokojna po tym, jak potraktował ją najlepszy przyjaciel Griffa?

– Ona nigdy nie będzie jedną z nas – powiedział Delacre. – Nawet jeśli się z nią ożenisz. Wiesz o tym dobrze, Halford. Bądź uczciwy wobec siebie i wobec niej. Plotkarze was rozniosą. Stracisz niemal wszystkie koneksje towarzyskie. – Podniósł się z trudem. – Nie sprawia mi przyjemności, że to mówię. Ale próbuję postępować jak przyjaciel.

– Nie jesteś moim przyjacielem – warknął Griff. – Wynoś się. I módl się, żebym wieczorem nie przysłał sekundanta.

– Ja jestem twoim sekundantem – zauważył Delacre, wychodząc z pokoju. – Nie masz nikogo innego.

Widzisz? Chciała krzyknąć. To już się działo. Może Delacre’a nie warto żałować, ale za nim pójdą inni. Nie chciała patrzeć, jak Griff traci wszystkich przyjaciół.

Co do niej, nie musiała się zastanawiać. Dziś wieczorem musi wrócić do domu. Jeśli nie wróci, jak obiecała, Daniela poczuje się zdradzona i opuszczona. Pauline nigdy nie odzyskałaby spokoju. Przysięgła sobie, że już nigdy nie postawi siostry w takiej sytuacji.

Musi to przeciąć teraz. Zdecydowanie.

W tej chwili wkroczyła księżna, odziana w spokojną suknię z szarego jedwabiu, ożywioną kołnierzem z szafirów i brylantów.

– Wielkie nieba, a co tu się dzieje? – Omiotła pomieszczenie bystrym wzrokiem. – Griffin, wyjaśnij to zamieszanie.

– Delacre to osioł. A ja kocham Pauline.

– Cóż – odezwała się księżna po chwili. – Byłam już świadoma obu tych rzeczy. Żadna nie tłumaczy stanu mojego salonu.

Griff nie spuszczał oczu z Pauline.

– Zamierzam ją poślubić.

– Nie, wasza wysokość – sprzeciwiła się Pauline. – Nie zrobi tego.

Księżna uniosła brew.

– Czy to znaczy, że do mnie należy ostateczna decyzja?

– Nie – zawołali jednocześnie Griff i Pauline.

Wydawała się nieprzekonana.

– Zobaczymy.

Pauline odciągnęła go na bok, szepcząc:

– Griff, to się nie może zdarzyć.

– Dlaczego nie?

– Ile razy mam powtarzać to, co oczywiste? Ty jesteś księciem. Ja służącą.

– Dziś wieczorem nie będziesz służącą. Będziesz księżną. Piękną, dumną kobietą, która może pokazać się wszędzie z podniesioną głową. A ja będę najdumniejszym mężczyzną na świecie, mogąc stać u twego boku.

– Ale jak mogę być dumna, udając kogoś, kim nie jestem?

– Nie proszę cię, żebyś udawała.

– Owszem, tak. – Głos jej się załamał. – Powiedziałeś mi, że nie jestem dla ciebie „kimkolwiek”. Nazwałeś mnie „doskonałą” i zapewniłeś, że nie chciałbyś niczego zmienić.

– Tak, ale…

– Ale co? Nie zamierzasz przecież stanąć wobec całej londyńskiej socjety i oznajmić, że mnie kochasz. Służącą, córkę prostego gospodarza ze wsi i siostrę dziewczyny niespełna rozumu. Prawda?

Nie odpowiedział. Co starczyło za odpowiedź.

– Nie. Zamierzasz przebrać mnie w piękną suknię, okryć swoim nazwiskiem jak peleryną i udawać, że barmanka, o której wszyscy plotkują, po prostu nie istnieje. Jakbyś się mnie wstydził. – Przycisnęła rękę do piersi. – Nie mogę ukryć prawdy o tym, kim jestem.

– Proszę cię, żebyś żyła zgodnie z prawdą, kim jesteś. Całą prawdą. – Jego głos zabrzmiał teraz niecierpliwie. Ujął jej ramiona i potrząsnął lekko. – Jesteś kimś o wiele więcej niż zwykłą służącą, Pauline. Wewnątrz kryje się niezwykła kobieta, która nasiąkła poezją, lekcje etykiety ma w małym palcu, okrucieństwo przekuła w marzenia i plany, wiedząc, że stworzono ją do czegoś lepszego. Dostrzegłem tę kobietę pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy. Nie wiem, dlaczego nie chcesz pozwolić, żeby świat także ją ujrzał.

– Ty chcesz mi robić wyrzuty z powodu sekretów? Że nie żyję prawdą? Ty, z tym zamkniętym pokojem na górze?

Krew odpłynęła z jego twarzy. Rzucił szybkie spojrzenie na matkę i zniżył głos do szeptu.

– To nie ma nic wspólnego z…

– Oczywiście, że ma. – Cofnęła się o krok. – Prosisz, żebym ci zaufała, że będziesz mnie kochał otwarcie. Że nigdy nie będziesz zakłopotany ani nie będziesz miał mi za złe pochodzenia i rodziny. Jak mogę wierzyć w te obietnice, skoro własnej matce nie mówisz o niej?

Księżna wysunęła się do przodu.

– Griffin, o kim ona mówi?

– O nikim.

Pauline sapnęła zaszokowana.

– Wypierasz się jej? Nie jest nawet „kimś”, tylko „nikim”?

Posłał jej gniewne spojrzenie.

– Dałaś mi słowo. Przyrzekłaś. Przestań, Pauline. Albo już nigdy nie będę mógł ci zaufać.

Poczuła ukłucie winy. Dała słowo i wiedziała, że pcha go w niebezpieczną stronę. Ale ktoś musiał. Wiedziała, że dzisiaj to jej jedyna szansa.

– Nigdy nikomu nie wspomniałeś o jej istnieniu, Griff. Umarła i twoje serce rozpadło się na tysiąc kawałków, a ty dalej milczałeś. Jak mogę wierzyć, że będziesz chronił mnie i moją siostrę? Jak mogę wierzyć, że nie zamkniesz Danieli w jakimś sekretnym miejscu, żeby się jej nie wstydzić?

– Jak możesz sugerować, że się jej wstydzę?

– No to udowodnij, że tak nie jest! Na Boga, miłość nie powinna być tajemnicą. Dałeś jej imię i nie możesz go nawet używać.

Oczy mu błysnęły.

– Kochałeś ją?

– Wiesz, że tak. Kocham.

Podniosła głos.

– To wymów jej imię.

– Mary! – rozbrzmiał w pokoju gniewny okrzyk.

Pauline znieruchomiała, przyjmując na siebie jego wściekłość. Wiedziała, że nigdy jej tego nie wybaczy. Ale przynajmniej, w końcu, może czas zaleczy jego rany.

– Miała na imię Mary – powiedział. – Mary Annabel York. Urodzona czternastego dnia października zeszłego roku, zmarła w tydzień później. Żyła całe sześć dni, a ja kochałem ją bardziej niż własne życie. – Odwrócił się od niej, przewracając wściekłym kopnięciem mały stolik. – Niech to diabli.

– Och. – Księżna przycisnęła rękę do ust.

Pauline podbiegła do niej, bojąc się, że starsza kobieta zemdleje. Podprowadziła ją do najbliższego krzesła.

– Przykro mi. Tak bardzo mi przykro.

Powtarzała to w kółko. Słowa żalu, pociechy. Wiedziała jednak, że to nie wystarczy.

– Przykro mi. Ale oboje staliście mi się bliscy i widzę wyraźnie, jak bardzo się nawzajem kochacie. A także jak się wzajemnie ranicie. Proszę. Możecie mnie znienawidzić, ale rozmawiajcie ze sobą.

Griff wyjrzał przez okno z nieruchomą twarzą.

– Każę przygotować powóz. Możesz wyjechać w ciągu godziny.

– Nie chciałam w ten sposób tego skończyć. Miałam nadzieję, że rozstaniemy się jako…

– Przyjaciele? – Postukał palcem w szybę. – Jeśli nie wierzysz, że zmieniłbym wszystko, oddał wszystko, poruszył niebo i ziemię, żeby zatrzymać kogoś, kogo kocham, nawet jeśli to trwało tydzień… To nie znasz mnie wcale. – Spojrzał na nią zimnym wzrokiem. – Wydaje się, że ja także pomyliłem się co do ciebie.

Zatoczyła się do tyłu i uciekła z salonu. Potem skręciła i pobiegła korytarzem w stronę holu.

– Pauline! – zawołała za nią księżna. – Poczekaj.

Tylko przyśpieszyła. Co jeszcze mogła powiedzieć? Nic by się nie zmieniło.

Dotarła do drzwi frontowych, otworzyła je jednym szarpnięciem i wypadła na dwór.

Na zewnątrz stał tłum, który zawył na jej widok.

Wielkie nieba. Plac był zapchany powozami i ludźmi; wszyscy tłoczyli się przy schodach rezydencji Halford, wykręcając szyje, żeby mieć lepszy widok.

Widok, jak się wydawało, na nią. Lord Delacre nie przesadzał. Mówiono o niej w całym Londynie i cały Londyn zgromadził się na progu domu księcia Halford.

– Tam jest! To ona!

– Panno Simms! – krzyknął jakiś mężczyzna. – Czy to prawda, że jest pani barmanką?

– Pięć funtów za wywiad dla „Prattlera”!

Pauline skuliła się w drzwiach. Nie mogła wrócić i stanąć znowu twarzą w twarz z Griffem. Ale ten tłum był wyraźnie tak podniecony i ciekawski, że mógłby ją zemleć na proszek i przepuścić przez sito. Nawet gdyby zdołała uciec tym ludziom, dokąd pójdzie? Nie miała pieniędzy. Nie miała niczego, poza ubraniem na grzbiecie.

Nie miała nawet butów na nogach.

– Pauline! – Znajomy głos przebił się przez gwar. – Pauline! To ja, Susanna.

Serce zabiło jej radośniej. Osłaniając oczy dłońmi, rozejrzała się w tłumie, aż dostrzegła, jak ktoś macha przyjaźnie dłonią w rękawiczce; zauważyła też koronę płomiennie rudych włosów.

Przyjaciółka.

Kiedy przedzierała się przez tłum, ludzie chwytali ją za ubranie i przepychali się, żeby zajrzeć jej w twarz. Czuła się jak korek podskakujący na wodzie.

W końcu jej i Susannie udało się do siebie dopchać.

– Och, lady Rycliff. Nie mogę… Nie wiem, jak… – Głęboko przejęta, zakryła usta dłonią.

Susanna otoczyła ją opiekuńczo ramieniem.

– Wszystko w porządku, moja droga. Wszystko w porządku. Wracasz ze mną do domu.

# 25

**R**ozgościwszy się z Pauline wygodnie w rezydencji Rycliff, lady Rycliff – która nalegała teraz, żeby Pauline zwracała się do niej „Susanno” – nalała jej kolejną filiżankę herbaty.

– Ależ miałaś tydzień, kochana.

Pauline patrzyła, jak pachnący płyn wypełnia porcelanową filiżankę. Lady Rycliff podawała jej herbatę. Świat stanął na głowie.

– Wiele się zdarzyło. – Opowieść zajęła prawie dwie godziny, od cukrowych początków po gorzki koniec.

Rzecz jasna, nie opowiedziała wszystkiego. Pominęła romansowe wątki. Griff zasługiwał także na prywatność, jeśli chodzi o Mary Annabel. Nie zamierzała nikomu więcej o niej mówić.

– Wiedziałam, że Halford jest draniem. – Lady Payne, która nalegała, żeby Pauline nazywała ją Minervą, wzięła herbatniczek z tacy i wgryzła się w niego ze złością.

– Mylisz się – powiedziała Pauline. – To dobry człowiek. Najlepszy gatunek mężczyzny.

A ona go zraniła. Ilekroć zamykała oczy, widziała gniewny, zawiedziony wyraz jego twarzy. Ten obraz wrył jej się w pamięć, towarzyszyło mu poczucie winy. Może nie należało naciskać, ale tak się o niego martwiła…

I tak się bała.

Griff miał rację. Tak bardzo bała się o siebie.

– Oświadczył się naprawdę? – zapytała lady Rycliff.

Pauline skinęła głową.

– A ty odmówiłaś?

Ponownie kiwnęła.

– Musisz uważać, że jestem głupia.

– Nie jesteś głupia. – Susanna wyciągnęła rękę, żeby ścisnąć współczująco dłoń Pauline.

Nie, Pauline przypuszczała, że nie jest. W gruncie rzeczy była tchórzem.

Spanikowała i odepchnęła go.

To, o czym mówił, było zwykłym szaleństwem. Oni mieliby się pobrać? Ona zostać prawdziwą księżną? Elegancką damą, podziwianą przez elitę Londynu?

Niemożliwe. Tłum przed rezydencją Halford znał prawdę. Wciąż czuła, jak szarpią ją za ubranie, krzyczą do uszu.

Griff mógł twierdzić, że plotki go nie obchodzą – ale księciu łatwo przychodzi powiedzieć coś takiego. Nigdy nie padał ofiarą kpin i pretensji. Nie wiedział, jak to jest znajdować się na samym dole drabiny i gdyby Pauline próbowała przenieść się do jego świata, właśnie to by ją czekało. Zawsze. Nawet gdyby zdołała znieść ciągłe szyderstwa i subtelne okrucieństwo, nie mogła narazić na takie traktowanie Danieli.

– Miałaś rację, odmawiając – stwierdziła Minerva. – Ale nie możemy pozwolić, żeby to się skończyło w ten sposób.

My?

Co obie te damy mogło obchodzić, jak skończył się jej tydzień? Pauline była im wdzięczna, że zabrały ją gdzieś, gdzie mogła pozbierać myśli, a potem pomogą dostać się z powrotem do Spindle Cove.

– Ten bal dzisiejszego wieczoru – ciągnęła Minerva. – Musisz na niego pójść.

– Dlaczego miałabym to zrobić? Wątpię, żeby książę wziął w nim udział.

– Nawet jeśli go nie będzie. Idź dla siebie samej. Żeby plotkarze zobaczyli cię niepokonaną i dumną. Żeby udowodnić, że cię na to stać.

Udowodnić, że ją na to stać.

Ale czy tak istotnie było?

Pauline potrząsnęła głową. W Spindle Cove słuchała jednym uchem, jak Minerva Highwood robi innym damom wykłady o zupełnie niemożliwych rzeczach – wielkich podwodnych jaskiniach i ogromnych prehistorycznych jaszczurach. Ten ostatni pomysł wydawał się nie lepszy.

– Nie mogę pójść na ten bal – powiedziała. – Nie mam nawet pojęcia, dokąd miałabym pójść ani jak się tam dostać. I nie mam się w co ubrać.

– Zostaw to nam. – Minerva poklepała ją po ramieniu. – Potrzebna ci jest jedynie odwaga. Damy ze Spindle Cove trzymają się razem.

– Nie jestem damą, proszę pani.

– Stałybyśmy przy tobie, nawet gdybyś była zwykłą służącą – oznajmiła Susanna. – Ale wierzę, że zawsze byłaś kimś więcej.

Pauline trochę się wypogodziła. Miała w sobie coś więcej i może Griff nie był jedynym, który to zauważył. No, z pewnością nie spełniała wymogów lady Haughfell i jej grona i, rzecz jasna, nie była księżną. Ale Susanna i Minerva też

nimi nie były, ani żadna z dam, szukających schronienia w Spindle Cove.

Tam było jej miejsce. W tej chwili nie miała żadnych co do tego wątpliwości. Wiedziała, po co zjawiła się na tym świecie. Będzie miała swoją przytulną, przyjazną, cudownie pachnącą bibliotekę, która stanie się domem dla każdej dziewczyny, która będzie tego potrzebować.

I będzie z siostrą – jedyną osobą, która kochała ją bez zastrzeżeń i bez wstydu. Tego nie mogła kupić nawet czwarta co do wielkości fortuna w Anglii.

– Chcę jechać do domu – powiedziała. – Najszybciej, jak się da.

– Najpierw idź na bal – nie ustępowała Minerva.

Pauline potrząsnęła głową.

– Jutro muszę być w Spindle Cove. Przyrzekłam siostrze.

– Możesz zrobić jedno i drugie. Dyliżans pocztowy to najszybszy środek, żeby wrócić do domu, a nie opuszcza Londynu wcześniej jak po północy. Zgadza się, Susanno?

– Przypuszczam – odparła lady Rycliff. – Pauline, gdybyś chciała wziąć udział w balu przez godzinę czy dwie, to i tak zdążymy dostawić cię na dyliżans na czas.

Pauline wahała się.

– Proszę pani? – Do pokoju weszła pokojówka z przepraszającym wyrazem twarzy. – Najmocniej przepraszam, ale przyszedł ktoś do pani Simms.

Serce Pauline zadrżało.

– Jeśli to książę, to ja…

Pokojówka zmieszała się.

– Nie widziałam żadnego księcia, proszę pani. To kobieta. Przyniosła mnóstwo pakunków.

Do bawialni weszła młoda kobieta z całą górą paczek. Pauline nie widziała nawet jej twarzy.

– Panno Simms, to j-ja.

– Flora? – Pauline podniosła się z krzesła. – Co ty tutaj robisz? – Pomogła dziewczynie rozłożyć pakunki.

Pozbywszy się ciężaru, Flora spuściła wzrok.

– W-wylali mnie.

– Wylali cię? Och, nie.

– Zasłużyłam na to. Jej wysokość odprawiła mnie bez referencji, a ja nie mam jak zdobyć nowej p-pracy. Pomyślałam, że jak p-panią przygotuję na dzisiejszy bal… tak żeby wszyscy b-byli olśnieni pani u-urodą i żeby napisali o tym w g-gazetach… może ktoś mnie mimo wszystko zatrudni. – Chwyciła Pauline za ramię. – P-proszę, panno Simms. To pani mi odda przysługę.

– Floro, chciałabym pomóc. Ale nie wiem. Może mogłabyś ubrać lady Rycliff albo lady Payne…

Flora potrząsnęła głową.

– To musi być pani. Chcę, żeby pani to zrobiła, panno Simms. Tak ciężko pani pracowała cały tydzień. My wszyscy p-pracowaliśmy. I jest jeszcze to. Specjalnie dla pani. Na nikogo innego nie będzie pasować.

Z największego pudła wydobyła coś, co zalśniło srebrem, zapierając dech w piersiach.

Och, Boże.

Suknia wydawała się w co najmniej trzech czwartych składać ze spódnic. Maleńki, ciasny, usztywniony fiszbinami stanik ozdobiono bufiastymi rękawkami. Spódnice tworzyły chmurę. Wielką, lśniącą, leciutką chmurę tiulu na satynie. Do tiulu przyczepiono tysiące drobniutkich błyskotek. To był naprawdę mały cud.

– Och, Pauline – powiedziała Susanna. – Jeśli jakiś mężczyzna na ciebie spojrzy i nie padnie przed tobą na kolana… – Głos jej się załamał.

– To zje własny kapelusz – dokończyła radośnie Minerva. – Zrób to. Zrób to dla wszystkich młodych kobiet, które kiedyś poczuły się skrzywdzone albo zlekceważone. To twoja szansa, Pauline.

Pauline musnęła dłonią piękny, srebrzysty materiał, usiany perełkami i maleńkimi kryształkami. Nie musiała nikomu udowadniać swojej wartości. Nie potrzebowała wspaniałych strojów ani bogactw, jakie towarzyszyły tytułowi księżnej.

Ale musiała włożyć tę suknię, chociaż ten jeden raz. Była dla niej stworzona. Dosłownie.

– Doskonale – powiedziała. – Zróbmy to.

– Jedno pytanie – odezwała się Susanna. – Mówimy o tym mężczyznom?

– Nie – stwierdziła stanowczo Minerva. – Colin przypisałby sobie całą zasługę. To będzie nasz wielki sukces. Pokażemy wszystkim, na co stać panie ze Spindle Cove.

Pauline nie miała pewności co do tego „sukcesu”. Wciąż wątpiła, żeby czuła się w takiej sytuacji na swoim miejscu.

Ale po tym wieczorze wróci do domu pełna dumy. Nikt nie powie, że nie starczyło jej odwagi, żeby spróbować.

– Korynckie. – Kiedy powóz zajechał przed wspaniałą rezydencję księcia regenta, to słowo samo spłynęło z jej ust.

– Co takiego, Pauline?

– Te kolumny w portyku. Są korynckie.

Zdumiewające. Podczas tego tygodnia w Londynie nauczyła się przedziwnych rzeczy. Co za niezwykłą kolekcję wiadomości przywiezie ze sobą do domu.

Nadal jednak nie nauczyła się, jak ukrywać niepokój. Podnosiło ją na duchu, że Susanna i Minerva też się wyraźnie denerwowały.

– Też nie mamy specjalnego doświadczenia z balami – wyznała Minerva. – Może należało cię wcześniej uprzedzić.

– Wszystko w porządku – stwierdziła Susanna. – Wchodzimy w to jako grupa.

Kiedy znalazły się w holu, Susanna – najwyższa z nich – wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć ponad tłumem.

– A niech to – mruknęła. – Sprawdzają nazwiska według listy.

To nie była dobra wiadomość. Pauline wiedziała, że w zeszłym tygodniu na pewno się na niej znajdowała. Ale świeże plotki pewnie spowodowały, że ją usunięto. Albo przeniesiono na inną listę – wypisaną czerwonym atramentem i noszącą nagłówek: *Nie wpuszczać pod żadnym pozorem*.

– Mogłabyś podać inne nazwisko – zasugerowała Minerva. – Mogłabyś wystąpić pod moim, nie mam nic przeciwko temu. Wszyscy uznają po prostu, że raz zdjęłam okulary i rewolucyjnie się zmieniłam.

– Nie. – Pauline uśmiechnęła się. – To miłe z twojej strony, ale nie mogę. Wejdę tutaj pod swoim nazwiskiem albo wcale.

Kiedy tłum się przesunął, niepostrzeżenie pozostała w miejscu, pozwalając przyjaciółkom się oddalić. Jeśli wieczór okaże się taką katastrofą, jak podejrzewała, nie chciała, żeby odium spłynęło na lady Rycliff czy lady Payne, z którymi przyszła. Przywiodły ją aż tutaj, ale dalej musi radzić sobie sama.

Musiało być jakieś inne wejście na salę balową. Przejście dla służby. Pracowała jako służąca, zdoła je znaleźć.

Porozglądawszy się dyskretnie przez chwilę, ruszyła wąskim korytarzem. Minęła pełne hałasu i pary miejsce, które musiało być pałacową kuchnią. Kiedy wypatrzyła lokaja, wracającego z tacą pustych kieliszków, wiedziała, że musi iść w kierunku, skąd on przyszedł.

Pauline przeszła korytarz ze schodami. Na szczycie przystanęła, nasłuchując gwaru głosów i muzyki. Kierując się w stronę hałasu, minęła róg…

I zatrzymała się gwałtownie, o mało nie zderzywszy się z wystrojonym dżentelmenem.

– Przepraszam – zaczęła. – Ja…

Kiedy przeniosła wzrok z jego butów na twarz, sapnęła ze zdumienia.

Och, niech to.

Dopasowany frak. Białe rękawiczki. Gniewna czerwona kreska biegnąca wzdłuż lewego policzka.

– Lord Delacre.

Griff miał rację – po tym skaleczeniu prawdopodobnie zostanie blizna. Nie szpecąca. Takie nieznaczne, ale nieusuwalne przypomnienie.

Dobrze.

– Wiedziałem, że to ciebie tu widziałem.

– Proszę wybaczyć.

Kiedy próbowała go wyminąć, chwycił ją za ramię.

– Nie pozwolę ci tego zrobić. Znam Halforda całe życie i wiem, co jest dla niego najlepsze, nawet jeśli on sam tego nie wie.

Serce w niej zadrżało. Czy miał na myśli to, że Griff jest tutaj?

Szarpnęła się.

– Proszę mnie puścić.

Nie bała się Delacre'a – ale to był mężczyzna, dużo większy i silniejszy od niej. Ponadto był na swoim terenie. Miał w pobliżu setki przyjaciół. Ona mogła policzyć swoich na palcach jednej ręki, a i tak parę palców zostawało.

Ustępowała mu wzrostem, rangą, klasą. Jeśli nie zdoła go jakoś wyminąć, na zawsze pozostanie poza tą salą balową.

– Czy to o pieniądze ci chodzi? – Puścił jej ramię i wysunął banknot z kieszeni na piersi.

Pięć funtów.

Machnął nim w jej stronę.

– Weź to zatem. I wyjdź drzwiami dla służby. To nie miejsce dla ciebie.

To nie dla ciebie, dziewczyno.

Jej policzki płonęły. Te słowa sprawiły, że przestał być Delacre'em. Był wszystkimi książkami, które kiedyś wyrwano jej z ręki. Każdymi drzwiami, które zamknięto jej przed nosem.

Chciała walczyć. Czymś rzucić. Splunąć mu w twarz.

Ale ta sytuacja wymagała panowania nad sobą.

Wyprostowała się, uniosła brodę i spojrzała mu chłodno prosto w oczy.

– Idź do diabła.

Zagotował się ze złości, a ona przebiegła obok niego i dołączyła do tłumu przy wejściu do sali. Zanim straciła tupet, przesunęła się na początek kolejki gości. Pewnie nie zachowała się uprzejmie. Ale plotkarze wiedzieli już, że jest służącą – nie mogli więc o niej pomyśleć dużo gorzej.

Podała swoje nazwisko majordomusowi, a ten zaanonsował:

– Panna Simms z Sussex.

W sali zapanowała niezmącona cisza, jeśli nie liczyć łomotania jej serca. Ręce u jej boków drżały.

Oddychaj, powiedziała sobie.

A potem: Idź.

Dała się pociągnąć przezroczystej lince od pępka i ruszyła naprzód, schodząc po niskich schodkach. Szła, a w jej sukni odbijało się światło setek świec i lamp, posyłając promienne strzały na wszystkie strony.

Zszedłszy po schodkach, schroniła się za kępką doniczkowych palm, szukając w tłumie znajomych twarzy. Gdzie podziała się Minerva i Susanna? Pamiętała, że postanowiła przejść przez to sama, ale teraz opuściła ją odwaga.

I nagle…

Griff.

Podszedł do niej – w nienagannie skrojonym czarnym fraku, z szelmowskim błyskiem w oku. Taki pewny siebie, taki przystojny.

Och, drżała. Drżała na całym ciele. Tak silnie, że nie mogła nad tym zapanować.

– Nie sądziłam, że przyjdziesz – szepnęła. – Miałam nadzieję, oczywiście. Chciałam cię po prostu jeszcze raz zobaczyć. Powiedzieć ci, że jest mi przykro, że miałeś rację. Bałam się. Prawdę mówiąc, wciąż się boję. Nie sądziłam, że w ogóle się na to zdobędę. Ale jeśli ty…

Nie pozwolił jej skończyć.

– Nie powinno cię tu być.

Przejął ją strach. Nie obchodziło jej, że reszta tych ludzi może nią gardzić. Ale nawet jeśli Griff chciałby ją wyrzucić…

Nie wyrzucił jej.

Ujął ją za rękę.

– Nie powinnaś tu być – powiedział znowu, tym razem łagodniejszym tonem. – Najpiękniejsza kobieta w sali nie powinna kryć się w kącie z palmami. Wyjdź stąd. Inaczej Flora trudziła się na próżno.

Podniosła gwałtownie głowę i spojrzała na niego, szeroko otwierając oczy.

– Ty. To byłeś ty. Ty przysłałeś Florę. I suknię. Wcale jej nie zwolniłeś.

Uśmiechnął się leciutko.

– Nie przyszłabyś, gdybym to ja cię poprosił.

Ach, te sztuczki. Nie mogła w to uwierzyć.

– Myślałam, że jesteś na mnie wściekły.

– Byłem na ciebie wściekły. Przez jakieś… dziesięć minut. Może cały kwadrans. Potem się opamiętałem. – Pociągnął ją lekko. – Chodź. Mamy coś do załatwienia.

Jest tu ktoś, komu trzeba cię przedstawić, jak należy.

Nie książę regent, błagała w myślach.

Gorzej.

Skierował ją prosto w stronę pań Haughfell. Wszystkie trzy – matka i córki – zaciskając gniewnie usta, nie raczyły nawet spojrzeć na Pauline.

W co się teraz bawił Griff?

– Lady Haughfell. – Skłonił się. – Jakże szczęśliwie się składa. Wiem, że pragnęłaś pogłębić swoją znajomość z panną Simms. Oto i ona.

Przez upudrowaną twarz matrony przemknął wyraz najwyższego przerażenia.

– Ale to idealny moment i miejsce. Nie moglibyśmy znaleźć lepszego. W istocie – wyjął z ręki starszej panny Haughfell karnecik do zapisywania tańców z przyczepionym do niego maleńkim ołóweczkiem – najlepiej będzie zapisać najważniejsze fakty. Żeby jutro w brukowcach nie było żadnych niedomówień. Panna Simms pochodzi ze Spindle Cove, uroczej wioski w Sussex. Jej ojciec jest gospodarzem z trzydziestoma akrami ziemi i pewną liczbą bydła.

Pauline słuchała ze zdumieniem, jak opowiada całą historię. Podstępne plany księżnej, ich przyjazd do Spindle Cove. Pojawienie się Pauline Pod Bykiem i Pączkiem Róży – obsypanej cukrem i ubłoconej. Wizyta w rodzinnej chacie Pauline, targ, jakiego dobili. Nie szczędził szczegółów. Opowiadał całą historię zgodnie z prawdą i z poczuciem humoru. Od czasu do czasu notował coś w karneciku:

*Pod Bykiem i Pączkiem Róży*

*Trzydzieści akrów.*

*Tysiąc funtów*.

– Proszę zrozumieć – powiedział. – Sprowadziłem pannę Simms do Londynu, żeby zniweczyć matrymonialne plany mojej matki. Miała być kompletną porażką. Zwykłym żartem.

Jedna z panien Haughfell zaczęła chichotać. Matka plasnęła ją po nadgarstku złożonym wachlarzem.

– Nie, nie – zawołał Griff. – Proszę się śmiać. To niezwykle zabawne. Barmanka, pobierająca lekcje u księżnej. Możecie to sobie wyobrazić? Najlepsze w tym wszystkim to lekcje dykcji. Moja matka ćwiczyła z nią bez końca wymowę dźwięcznego i bezdźwięcznego „h”, a także „ą” i „ę”.

– Czy tak? – Lady Haughfell wygięła brew. – Nie sądzę, żeby poczyniła znaczące postępy.

– Och, ależ tak. Pokaż im, panno Simms.

Pauline uśmiechnęła się.

– Ohyda. Jędza. Chamstwo. – Spojrzała na Griffa. – Proszę. Jak wypadłam?

– Wspaniale. – Uśmiechnął się do niej promiennie.

– Zapiszesz to?

– Oczywiście. – Notując epitety w karneciku panny Haughfell, nie przestawał mówić: – Ale nie słyszałaś jeszcze tego, co najzabawniejsze, lady Haughfell. Widzisz, sądziłem, że zażartuję sobie z własnej matki, i całego Londynu, ale, jak się okazuje, to ja byłem ofiarą żartu.

Matrona zesztywniała.

– Ponieważ straciłeś resztki honoru i dobrego imienia?

– Nie. Ponieważ rozpaczliwie zakochałem się w tej barmance i teraz nie wyobrażam sobie szczęścia bez niej. – Podniósł głowę i wzruszył ramionami. – Ojej.

Wszystkie trzy panie Haughfell patrzyły na niego w niemym przerażeniu, z otwartymi ustami. Pauline żałowała, że nie może mieć miniaturek uwieczniających ich miny, które mogłaby wyciągać z szuflady w nudne, deszczowe dni.

Griff zaostrzył ołóweczek paznokciem kciuka.

– Trzeba to koniecznie zapisać. To ważne. – Wymawiał słowa powoli, zapisując je. – Rozpaczliwie… zakochany.

– Nie zapomnij o „ojej” – powiedziała Pauline, zaglądając mu przez ramię. – To było najlepsze.

– Tak. – Podniósł wzrok i ich oczy się spotkały. – Masz rację.

Patrzyli sobie w oczy, zatopieni w miłości i cichym rozbawieniu.

Chwila była doskonała. On był doskonały. Pełen humoru, cudowny mężczyzna.

– Czy to walca grają? – zapytał nagle Griff. Spojrzał na zabazgraną karteczkę w swoim ręku, zanim ją oddał. – Szkoda, że pani kartka jest wypełniona, panno Haughfell. Więc chyba zatańczę z panną Simms.

Zaprowadził ją na środek sali i objął ramieniem, kładąc jej dłoń między łopatkami. Razem włączyli się do walca.

Niemal natychmiast inne pary zaczęły znikać. Początkowo jedna po drugiej. Później po dwie, po trzy. Im byli bardziej osamotnieni, tym większej nabierała pewności siebie. To była istna magia. Oto tańczyli we dwoje, otoczeni niechęcią socjety, która powinna ich przytłaczać. A mieli wrażenie, jakby orkiestrę, całą salę balową i całe piękne otoczenie przygotowano specjalnie dla nich.

– Przypuszczam, że dopełniłam zobowiązania ze swej strony – powiedziała. – Nie wzbudzę zachwytu śmietanki towarzyskiej Londynu ani tej nocy, ani żadnej następnej.

– Nie, nie wzbudzisz.

Myślała, że z tymi słowami Griff zakończy taniec, ale on wciąż wirował i wirował na parkiecie.

– Sądzę, że zrobiliśmy dosyć – szepnęła. – Okazałam się kompletną katastrofą.

– O, tak. Zupełna klapa. Piękna, doskonała porażka. – Odsunął się, żeby na nią popatrzyć. – Nie mógłbym być bardziej dumny.

To podziałało tak, jakby ją objął serdecznie i uścisnął. Oboje wiedzieli, że nigdy nie mogłaby udawać, że pochodzi z wyższych sfer. Rodziny takie jak Haughfell nie dałyby się oszukać. On zaś przyjął ją taką, jaka jest – publicznie, bez zastrzeżeń, w taki sposób, że pozostali nie mogliby jej nigdy uznać za swoją.

Ale jej upadek stał się dzięki temu sukcesem. Bo ostatecznie to ona triumfowała. Służąca, która podbiła nie socjetę, ale jej najbardziej opornego księcia. Łowczyni we wspaniałym futrze białego tygrysa.

Tylko na dzisiejszą noc.

Okręcił ją, patrząc na nią z zachwytem.

– Promienna. Tak jak tamtego pierwszego dnia.

Roześmiała się.

– Z pewnością ani trochę nie wyglądam jak tamtego pierwszego dnia.

– Ależ tak. Wtedy się iskrzyłaś.

– To był cukier.

– Nie jestem przekonany. Myślę, że to po prostu ty. – Zniżył głos do pieszczotliwego szeptu. – To zawsze byłaś ty.

Gardło jej się ścisnęło. Z trudem przełknęła ślinę.

Kątem oka Pauline widziała, jak paru huzarów księcia regenta konferuje w kącie sali, z dłońmi na szablach. Jeśli za chwilę nie zejdą z parkietu, zbrojni strażnicy mogą ich z niego przegonić. To dopiero byłaby pamiętna noc.

– Myślę, że zostało nam parę minut.

– No to niech sobie liczą – powiedział Griff. – Oto ja, książę. Tańczę ze służącą. Trzymam ją niestosownie blisko, tak żeby wszyscy widzieli. – Zatrząsł się dla efektu. – I co takiego czuję? Czy to może pruje się tkanka społeczna?

Skrzywiła się, usiłując się nie uśmiechnąć.

– To pewnie podagra. Słyszałam, że książęta mają skłonność do podagry.

– Cóż, słyszałem, że panny służące smakują jak dojrzałe jagody. – Dotknął ustami jej warg.

– Griff – sapnęła.

– No proszę. Teraz cię pocałowałem na oczach wszystkich. Szokujące. I popatrz, zrobię to znowu.

Zatrzymał się w tańcu, przyciągnął ją silnymi ramionami i pocałował namiętnie.

Kiedy się odsunęli od siebie, miał na twarzy hultajski uśmiech.

– Co by powiedziała pani Worthington?

Nie wiedziała, jaką opinię wygłosiłaby pani Worthington, ale usłyszała, jak gdzieś w pobliżu zegar wybija godzinę. Serce Pauline zabiło gwałtownie.

Dyliżans pocztowy.

– Muszę odejść – powiedziała. – Inaczej nigdy nie dotrę do domu na czas. – Wysunęła się z jego objęć. – Wybacz, obiecałam siostrze. Ty także jej obiecałeś.

Odbiegła od niego, wypadając z sali balowej, przebiegając przez zatłoczone przedpokoje do wejścia i w dół po schodach tak szybko, jak zdołały ponieść ją pantofelki.

– Poczekaj! – zawołał za nią ze szczytu schodów.

– Nie! – odkrzyknęła przez ramię. – Nie sprawiaj, żeby to było jeszcze trudniejsze, Griff.

– Pauline, nie możesz jeszcze odejść. Nie w ten sposób.

Usiłowała przyśpieszyć, ale dogonił ją bez wysiłku. Te głupie pantofle na obcasach. Znowu się potknęła i wtedy zrzuciła pantofel i cisnęła nim przez ramię.

Uchylił się przed lecącym bucikiem i chwycił ją za ramię.

– Poczekaj.

– Po prostu pozwól mi odejść.

– Nie próbuję cię zatrzymać.

Cała wola walki z niej wyparowała. Zamrugała.

– Nie?

– Nie, nie próbuję. – Jego twarz spoważniała. – Musisz odejść. Jedź do domu, do siostry i otwórz tę wysyłkową bibliotekę. To twoje marzenie i zapracowałaś na nie. Co do mnie… ja też mam pewne zadanie do wykonania. Myślę, że już pora, żebym dorósł do chlubnej spuścizny Halfordów.

– Naprawdę?

Skinął uroczyście głową.

– Na początek zamierzam stać się człowiekiem, który dotrzymuje danego słowa. Obiecałem odstawić cię do domu w sobotę i tak zrobię.

A więc to tak, uświadomiła sobie Pauline. On naprawdę pozwala jej odejść. Wróci do Spindle Cove i otworzy sklep, a on stanie się szacownym księciem. Oddalą się od siebie bardziej niż kiedykolwiek.

Och, Boże. Mogą się już nigdy nie spotkać.

– Mój powóz i najszybsze konie czekają, żeby cię odwieźć do domu. Ale wpierw… jestem ci coś winien. – Pogrzebał w kieszeni.

Na myśl o tym, że jej zapłaci, poczuła skurcz w żołądku.

– Nie mogę. Nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy – szepnęła bezwiednie.

– Ale zawarliśmy umowę.

– Wiem. Ale to było przedtem, a teraz… – Zadrżała, przypomniawszy sobie Delacre'a i jego banknot pięciofuntowy. – Poczułabym się… tania. Po prostu nie mogę.

– Cóż. Przynajmniej tyle musisz wziąć. – Wyjął monetę z kieszeni i włożył jej w dłoń. Zamknął na niej jej palce, wciąż oddychając ciężko. – Dla Danieli. Nie mam pensa.

Och, Griff.

– Spodziewam się po tobie wielkich rzeczy, Pauline. – Dotknął jej policzka. – Zrób to dla mnie i myśl o mnie w ten sam sposób. Bogu wiadomo, że nikt inny nie będzie.

Kiedy wycofał się do swojego błyszczącego, arystokratycznego świata, Pauline rozsunęła palce i popatrzyła na złotego suwerena na dłoni.

Książęta i ich problemy.

# 26

Griff pilnie obserwował matkę, kiedy ta się kręciła, przyglądając się ścianom wymalowanym w dziwaczne tęcze i hasające arabskie kucyki.

– Chciałem ci powiedzieć. – Usiadł na drewnianym stołku przykrytym holenderską serwetką. – Tylko nie wiedziałem jak. Odeszła tak szybko, a potem…

Głos mu zamarł, a księżna uniosła w górę dłoń zdecydowanym gestem, dając mu znać, że dalsze słowa są zbędne. Nie było jej obce ciche cierpienie, które wystawiało jej arystokratyczne maniery na rozmaite próby. Wiedział, że ta wiadomość zrani ją głęboko – właśnie dlatego nie chciał jej o tym powiedzieć. Ale była księżną. O ile znał matkę, to nie straciłaby panowania nad sobą. Ugięłaby się pod ciężarem, ale nie załamała.

Może w ogóle nie znał własnej matki.

Odwróciła się do niego ze łzami w oczach.

– Och, Griffin. Tak się o ciebie martwiłam. Wiedziałam, że cierpisz i domyślałam się, że powód jest czymś strasznym. Wyglądałeś okropnie.

Griff potarł twarz obiema dłońmi.

– Naprawdę. Po prostu strasznie.

Podniósł rękę bezradnym gestem.

– Wybacz.

Westchnęła.

– Miałam taką nadzieję, że do tego nie dojdzie. Zostań tutaj.

Wyszła i wróciła po paru chwilach, podeszła do niego tam, gdzie siedział, na środku pokoju.

Spod jej ramienia zwisał najbrzydszy, najniezręczniej wydziergany szalik, jaki zdarzyło mu się widzieć. Owinęła mu go na szyi raz, podwójnie, potrójnie.

To była najgorętsza, najserdeczniejsza pieszczota, jakiej od niej doznał.

Podniósł na nią oczy, zaskoczony.

– Skąd to się wzięło?

– Robótka? Czy uczucie, jakie wyraża? Wolałabym raczej nie mówić o robótce… Co do miłości… była zawsze. Nawet jeśli o tym nie mówiliśmy.

Wstał i pocałował ją w policzek.

– Wiem.

Przez tyle już lat byli dla siebie jedyną rodziną, jaką mieli. Podejrzewał, że nie chcą otwarcie przyznać, ile dla siebie znaczą ze zwykłego strachu – stałoby się wtedy oczywiste, jak niewiele ich dzieli od samotności.

Dotknęła chłodną dłonią jego twarzy.

– Mój drogi chłopcze. Tak mi przykro.

– Jak ty to zniosłaś? Jak zniosłaś te trzy razy?

– Nie tak dzielnie, jak ty. I nigdy sama. – Rozejrzała się po pomalowanych ścianach. – Każda strata była dotkliwa. W sercu mam dla każdego z nich pokój podobny do tego. Ale nawet w najstraszniejszych chwilach ja i twój ojciec czerpaliśmy pociechę z siebie nawzajem. I z ciebie.

– Ze mnie? Boże… Nigdy nie czułem się na tyle dobry, żeby być jedynym synem. A co dopiero zastępować czworo.

– Żałuję bardzo, że tak się czułeś. Teraz myślę, że należało bardziej o ciebie dbać. Baliśmy się jednak cię rozpieszczać, bo wiedzieliśmy, że musisz wyrosnąć na silnego mężczyznę. Gdyby to tylko ode mnie zależało, mogłabym cię przytulić do piersi i trzymać tak do twoich szesnastych urodzin.

– Cóż. – Uśmiechnął się krzywo. – Raczej jestem zadowolony, że stłumiłaś ten impuls.

Poklepała go po policzku.

– Griffin, zawsze, kiedy na ciebie patrzyłam, widziałam szlachetnego mężczyznę o dobrym sercu. Niecierpliwiłam się, nie wiedząc, kiedy ty sam to dostrzeżesz.

– Chciałem być lepszy dla niej. – Podniósł oczy do sufitu. – Nie ukrywałem tego, ponieważ wstydziłem się Mary Annabel. Wstydziłem się tylko siebie i swojego hulaszczego życia. Postanowiłem, że stanę się kimś lepszym. Nie chciałem, żeby ktoś, patrząc na moją córkę, widział w niej jeden z moich błędów.

Błędów, które, jak się wydawało, uporczywie powtarzał.

– Miała rację – stwierdził. – Pauline miała rację, że nie mamy szans na normalny związek, ale winę za to źle lokowała. Jeśli socjeta jej nie zaakceptuje, to nie z jej winy. Tylko mojej. Drętwy, nudny arystokrata może się zakochać w kobiecie z gminu i socjeta rozstrzygnęłaby wątpliwości na jej korzyść. A przynajmniej dała jej szansę, żeby się wykazała. Ale przy moim rozwiązłym trybie życia ludzie zawsze uważaliby ją za bohaterkę ostatniego, największego skandalu księcia donżuana. Ona zasługuje na coś lepszego. Chcę dla niej czegoś lepszego.

– Nie jest za późno – powiedziała księżna. – Pozwól jej tu wrócić. Nie tylko na tydzień, na całe miesiące. Zajmiesz miejsce w Izbie Lordów, a w przyszłym roku

powoli wprowadzimy ją w towarzystwo. Zobaczysz, ludzie w końcu…

– Nie. Nie w tym rzecz. Ona nie chce takiego życia i wcale jej o to nie winię. Ja też go nie chcę, ale teraz wiem, że mam pewne obowiązki. – Westchnął. – Dziewiąty książę Halford może się nigdy nie pojawić, ale chcę, żeby ósmego zapamiętano dobrze. Ze względu na moją córkę.

– A co z Pauline?

Pauline, Pauline, Pauline. Odeszła z jego życia przed paroma godzinami, a on już tak bardzo za nią tęsknił. Spędzi życie, zmagając się z takimi smutkami.

– Ja tylko chcę, żeby urzeczywistniła wszystkie swoje marzenia.

Czy chata zawsze była taka mała?

Pauline stała w uliczce, patrząc na nią. Niepewna, jak zbliżyć się do własnego domu. Gąsior strażnik podszedł do niej z głośnym gęganiem, ostrzegając mieszkańców.

– Pauline? – Twarz matki pojawiła się w oknie. – Pauline, to ty?

Starła łzę z policzka.

– Tak, mamo. To ja. Wróciłam do domu.

Później, na strychu, który służył za sypialnię, Pauline i Daniela ściskały się serdecznie i płakały. Potem uczesały i zaplotły sobie nawzajem włosy, a także przygotowały suknie na niedzielę.

Jak zwykle, suweren Griffa trafił do skarbonki kościelnej.

Podczas mszy Pauline czuła, że ciekawość całego miasteczka skupia się na niej. Wiedziała, że będzie musiała odpowiedzieć na mnóstwo pytań, ale nie miała na to dość siły.

I mimo że udało jej się odwlec wizytę w sklepie Brightów o ładnych parę dni, wciąż nie była na to gotowa.

Sally Bright osaczyła ją, jak tylko przestąpiła próg. Niezależnie od tego, że była jej najstarszą i najlepszą przyjaciółką, Sally charakteryzowała się wyjątkowym wścibstwem i skłonnością do plotek. Pauline wiedziała, że ciekawość szarpie przyjaciółkę wilczymi kłami.

– Pauline! – zawołała, machając plikiem gazet. – Musisz tyle wyjaśnić! Czy naprawdę wzięłaś udział w balu? Sprawiłaś, że książę zakochał się w tobie do szaleństwa?

– Sally, nie chcę jeszcze o tym mówić. Nie mogę. To wszystko jest zbyt… – Głos jej się załamał.

Sally nie nalegała. Wybiegła zza kontuaru i objęła Pauline w ciasnym uścisku.

– Cicho, cicho. Mamy całe lata, żeby sobie o tym opowiadać, prawda?

Pauline skinęła głową.

– Niestety, myślę, że tak.

Hołubiła w sobie absurdalną nadzieję, że Griff przyjedzie po nią, może pojawi się w chacie pewnego ranka, nieogolony, pachnący wodą kolońską. Ale w miarę jak upływały dni, jej nadzieja zaczęła się wydawać jedynie niemożliwym do spełnienia marzeniem. To nie była bajka, jaką jej obiecał.

– Mam pewną wiadomość, która cię pocieszy – powiedziała Sally.

– Och, jaką?

– Ta okropna, stara pani Whittlecombe. Przenosi się do Dorset, żeby zamieszkać z bratankiem.

– Naprawdę? To chyba dobra wiadomość. Dla wszystkich, z wyjątkiem bratanka. Myślałam, że już nigdy nie opuści tej ruiny.

Sally wzruszyła ramionami.

– No, zrobiła to. Szybko się wyniosła. A ja zostałam z półtuzinem butelek tej jej trucizny, „toniku zdrowotnego". Nie przypuszczam, żeby ktoś się na niego skusił. – Uniosła brwi. – Jest coś jeszcze. Coś dla ciebie.

– Co takiego?

– Chodź, zobacz.

Sally wciągnęła ją na zaplecze. Na środku podłogi stała wielka drewniana skrzynia, podpisana imieniem Pauline.

– Dostarczył ją wczoraj specjalny posłaniec – powiedziała. – Nie przyjechała z regularną pocztą. I miała zostać koniecznie tutaj. Kazano mi czekać, aż panna Simms przyjdzie do sklepu i nie mówić o tym nikomu ani słowa. To takie boleśnie tajemnicze. – Niecierpliwie potrząsnęła ramieniem Pauline. – Czy nie możemy jej teraz otworzyć? Jest ciężka jak licho. Umieram z ciekawości, co jest w środku. Umieram.

Pauline skinęła głową.

– Oczywiście.

Sally pisnęła z podniecenia. Przy użyciu małego łomu podważyła wieko skrzyni i przesunęła dłońmi w wierzchniej warstwie słomy.

– Och – powiedziała bezbarwnym głosem. – Cóż za rozczarowanie. Mam nadzieję, że nie robiłaś sobie zbyt wielkich nadziei. To tylko książki. – Podniosła z góry książkę w czerwonej oprawie i zerknęła w głąb skrzyni. – Tak. Książki, do samego dołu.

– Daj mi spojrzeć – powiedziała Pauline, wyrywając Sally książkę z ręki. Przesunęła dłonią po świeżym, czerwonym marokinie okładki, zrzucając źdźbła słomy, żeby przeczytać tytuł: *Fanny Hill. Wspomnienia kurtyzany*.

– Kto to jest ta pani Radcliffe? – Sally podniosła parę książek. – Mnóstwo napisała.

– Traktuj je ostrożnie, proszę. – Pauline podeszła do niej i zaczęła przeglądać książki. Radcliffe, Johnson, Wollstonecraft, Fielding, Defoe. Wszystkie książki, których tytuły Griff podyktował tamtego dnia w księgarni Snidlinga.

Pamiętał. I wiedział, że nie wolno ich posyłać do jej domu, gdzie ojciec mógłby je wszystkie wrzucić w ogień. Podniosła książkę do nosa i wciągnęła jej aromat głęboko – to był jej drugi ulubiony zapach – zanim ją odłożyła, żeby przejrzeć pozostałe.

Gdzieś w połowie skrzyni znalazła mały tomik, który nie był oprawny w marokin, tylko w mięciutką, zupełnie niepraktyczną skórę płowej barwy. *Poezje zebrane Williama Blake'a*.

Otworzyła książkę ze łzami w oczach. Wewnątrz, na pięknej marmurowej wyklejce, umieszczono ekslibris z pieczątką.

*Z biblioteki panny Pauline Simms*.

– Och, Griff.

Skrzynia nie była po prostu wyładowana książkami. Była pełna znaczeń. Przesłań zbyt trudnych, żeby je wyjaśnić i zbyt ryzykownych, jak na list.

Znam cię, mówiła skrzynia z książkami. Znał ją włącznie z najgłębszymi, najskrytszymi zakamarkami jej duszy. Szanował ją jako osobę, z jej myślami, marzeniami, pragnieniami.

Kochał ją. Naprawdę.

A co najbardziej przejmujące, skrzynia zawierała jedną jasną, niepozostawiającą wątpliwości wiadomość:

Żegnaj.

# 27

***Parę miesięcy później***

Jeśli istnieje coś lepszego niż zapach książek, to jest to zapach książek przemieszany z aromatem mocnej herbaty i korzennych herbatniczków – a to wszystko w deszczowe popołudnie.

Było co świętować. Biblioteka Dwóch Sióstr obchodziła dokładnie miesiąc swojego istnienia.

Wszystkie damy ze Spindle Cove stawiły się na uroczystość. W sklepiku tłoczyło się mnóstwo młodych kobiet, przeglądających skandaliczne książki i moczących herbatniczki w filiżankach z mleczną herbatą.

Pauline kochała ten sklep, choć nigdy by nie przypuszczała, że może żywić takie uczucia wobec czegoś, co przecież było pracą. I pracowała ciężko – codziennie, od brzasku do zmroku – ale ta harówka stanowiła rodzaj męczącej przyjemności. Do Spindle Cove przybyła gromada nowych kobiet na wakacje i wszystkie rozglądały się za czymś do czytania.

Zdarzało się, że młoda kobieta wchodziła do sklepu i na jej twarzy malowało się zagubienie. I oto odkrywała na półce starego przyjaciela w marokinowej okładce. Albo zawierała jakąś nową, ekscytującą znajomość. Wychodziła z książką w ręku i uśmiechem na twarzy. Takie dnie sprawiały, że warto było pracować.

I nigdy nie pracowała sama. Miała siostrę.

Razem z Danielą zamieniły jeden strych na drugi. Teraz mieszkały nad sklepem. Odwiedzały mamę w niedziele, ale poza tym trzymały się własnych godzin, same przyrządzały posiłki, sprzątały tak mało, albo tak dużo, jak miały ochotę. Jeśli chodzi o świece, były niezwykle rozrzutne, paląc je długo w nocy i czytając sobie nawzajem wiersze.

To miejsce było prawdziwym domem.

– Kto tam idzie przez plac? – zapytała jedna z dam, wyglądając przez okno. – Znamy go?

Inna młoda panna parsknęła śmiechem.

– Jakoś mi się wydaje, że chyba tak.

– O mój Boże – zawołała Charlotte Highwood. – Tylko nie on, znowu.

To niemożliwe. Nie przyjechałby. W końcu jednak zwyciężyła ciekawość. Pauline podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz, w deszcz.

O Boże. O Boże. To był on. Nawet w deszczu, wszędzie poznałaby te zdecydowane rysy twarzy i szerokie ramiona. Książę Halford kierował się wprost do jej sklepu.

Griff.

Czuła łomotanie w piersi. Co tutaj robił, po tylu miesiącach bez jednego słowa? Akurat wtedy, kiedy udało jej się jakoś sklecić do kupy potrzaskane serce.

– Nie martw się, panno Simms – odezwała się Charlotte. – Wystraszę go, zanim znowu przysporzy ci kłopotów.

Pauline przeszła na tył sklepu, usiłując się opanować.

Otworzył drzwi, schylając głowę, żeby wejść.

– Czy to jest…

– Stop. – Charlotte zastawiła drzwi miotłą. – Szuka pan kogoś?

– Nie – odparł dźwięcznym głosem. – Z całą pewnością nie szukam „kogoś”. Szukam Pauline Simms i nikogo innego.

Jej serce zabiło żywiej.

Charlotte nie ustępowała.

– Za wejście trzeba zapłacić wierszem. Żadnych wyjątków.

Griff zajrzał w głąb sklepu, wiodąc wzrokiem od twarzy do twarzy, aż napotkał wzrok Pauline. Wielkie nieba. Był nawet przystojniejszy, niż pamiętała.

– Panno Simms – powiedział. – Czy mogę…

– Bez wyjątków – powtórzyła Charlotte. – Wiersz.

– Nie znam żadnych wierszy.

– To niech pan jakiś napisze.

– Dobrze, dobrze. – Przesunął dłonią po ciemnych, wilgotnych włosach. – Był sobie książę hulaka… co… na pstrąga i dorsza miał smaka… Miłość spotkał i porzucił, teraz serce mu się smuci…

Pauline odwróciła się, nie mogąc już na niego patrzeć.

– Nie przestałem o tobie myśleć od tamtej nocy, Pauline – zawołał za nią. – Ani przez chwilę.

– To okropny wiersz – stwierdziła Charlotte, trzymając miotłę w miejscu. – Fatalne rymy.

– Nie wiem, co się jeszcze rymuje z „hulaka”.

Damy zaczęły szeptać między sobą, rozważając różne możliwości.

– Mam. – Głos Charlotte zagłuszył pozostałe. – Draka! Miłość przyszła i odlata, to dopiero wielka draka!

– Tak nie może być – sprzeciwił się Griff. – To zupełnie nie to.

– Przynajmniej ma składne rymy – burknęła Charlotte.

– Nagana – wtrąciła zrozpaczona Pauline. – …Teraz serce mu się smuci. Co tu robić z takim panem, co zasłużył na naganę?

– Doskonałe – oznajmił Griff. – Biorę ten. Mogę wejść?

Daniela rzuciła herbatnik. Odbił się od czoła księcia.

– Odejdź, książę. Zostaw moją siostrę w spokoju.

– Daniela ma rację. Powinieneś odejść. Nie mogę sobie wyobrazić, czego chcesz po tych wszystkich miesiącach.

– Chciałem cię zobaczyć, sprawdzić, jak sobie radzisz. – Rozejrzał się po sklepie. – Wspaniale. Wiedziałem, że ci się uda.

I tyle? Przebył całą drogę z Londynu, żeby spojrzeć na swoją, hm…, inwestycję?

– Cóż, zobaczyłeś mnie – powiedziała. – Więc możesz odejść.

Pozostałe panie zgodziły się z nią, głośno wyrażając poparcie.

– Proszę posłuchać, jeśli dacie mi chwilę na osobności z panną Simms…

– Po prostu odejdź – krzyknęła; nerwy miała w strzępach. Zapach jego wody kolońskiej sunął podstępnie w jej stronę i groziło jej, że za chwilę zostanie z niej żałosna kałuża łez na niedawno pomalowanej podłodze. – Możesz być księciem, ale nie możesz zrobić z tego zwyczaju. Wpadać znienacka tam, gdzie pracuję i przewracać mojego życia do góry nogami. Nie zniosę tego. Po prostu nie mogę. Więc o ile nie przyszedłeś rzucić się na kolana, błagać o przebaczenie i prosić żarliwie, żebym zechciała cię poślubić, możesz zabierać się stąd w tej chwili i nigdy nie wracać.

Nie odszedł. Stał tylko, patrząc na nią.

A potem osunął się na kolana.

– Och, nie. – Pauline przycisnęła obie ręce do twarzy. – Griff, nie.

– Nie możesz odmówić, zanim nie zdążę zapytać. – Wzburzył włosy dłonią. – Dlaczego to wszystko dzieje się na opak? Wiedziałem, że cię zaskoczę i że na pewno będziesz zła, że to tak długo trwało. Myślałem jednak, że pozwolisz mi chociaż powiedzieć parę słów. Wiesz, przygotowałem całą mowę. Całkiem niezłą. Teraz jednak, kiedy już nici z niespodzianki…

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął małą, aksamitną sakieweczkę.

Pauline zerknęła na nią spomiędzy drżących palców. Teraz jednak łkała rozpaczliwie. Otarła niecierpliwie łzy nadgarstkami, usiłując zobaczyć pierścionek,

który wytrząsnął na dłoń. Szmaragd, osadzony w grubej złotej obrączce i otoczony maleńkimi brylancikami.

Cóż, była przynajmniej pewna, że sam go wybrał.

Był piękny.

Odwróciła się, chowając twarz w fartuchu. Griffin Eliot York, ósmy książę Halford, zjawił się tu we własnej osobie i klęczał przed nią. Dla niej. Z pierścionkiem w ręku, na oczach całej wsi.

To było zbyt wiele. Zbyt wiele niemożliwości, żeby to przyjąć. Zbyt wiele szczęścia, żeby je objąć umysłem.

– Kocham cię, Pauline Simms. Kocham cię, odkąd się spotkaliśmy. W istocie podejrzewam, że jakaś część mego serca kochała cię już znacznie wcześniej. Przed tobą nie było żadnej odpowiedniej dla mnie kobiety i jeśli mi odmówisz, po tobie także nie będzie żadnej. Wiem, że nie jestem wiele wart, ale…

Przerwała mu wybuchem niezbyt delikatnego śmiechu.

– Niewiele wart? – Odwracając się, otarła oczy. – Griff, jesteś księciem.

– Owszem, zauważyłem, a zatem?

– Zatem… to już ustaliliśmy. Książę nie może poślubić służącej. Ani nawet sklepikarki.

– Miałaś rację. Moje i twoje życie były zupełnie inne. Żebyśmy oboje mogli stworzyć wspólne, coś musiało się zmienić. Nie mogłem zmienić świata. I nie chciałem niczego zmieniać w tobie. Wydawało się jednak oczywiste, że to ja muszę się zmienić na lepsze.

– Na lepsze?

– Wiesz, jaka jest spuścizna Halfordów. Wywodzę się ze starego rodu uczonych, odkrywców, żołnierzy. Dokonali wielu wspaniałych rzeczy i zgromadzili pokaźny majątek. I w końcu uświadomiłem sobie, że jest jedna rzecz, której ja mogę dokonać, a żaden z nich nie mógł.

– Co takiego?

– Mogłem go w całości rozdać.

W sklepie zapadła głucha cisza.

– W całości? – powtórzyła Pauline.

– O nie – jęknęła Charlotte. – Teraz jest kimś gorszym niż arogancki, rozpustny książę. Jest biednym księciem.

– Nie jestem biedakiem – sprzeciwił się Griff. – Nie musisz przybierać takiej zbolałej miny. Książę nie może wyrzec się tytułu. Łączą się z nim majątki, fundusze. Nudne zajęcie dla prawników. Krótka wersja jest taka, że zawsze będę bogaty. Mogę spaść z czwartego miejsca w Anglii pod względem bogactwa na

jakieś czternaste. Ale i tak mogłem się rozstać z ogromną ilością pieniędzy. I łatwo mi poszło, kiedy się do tego przyłożyłem.

Pauline przyglądała mu się nieufnie.

– Nie rozumiem. Co chcesz mi powiedzieć?

– Odnalazłem w sobie wrodzony talent. Urodziłem się, żeby rozdawać pieniądze. Ale nie „parę tysięcy tu, parę tysięcy tam", to bzdura. To pełne, systematyczne pozbywanie się tej części rodzinnego majątku, który można oddać. Ósmy książę Halford zostanie zapamiętany jako największy darczyńca w historii Anglii. To będzie moja spuścizna.

Patrzyła na niego zaszokowana. Ale wydawał się szczęśliwy. W zgodzie ze sobą i swoim miejscem w świecie. Ściśle rzecz ujmując, wcale nie pokorny. Nie przypuszczała, żeby szelmowskie skłonności go kiedyś opuściły, ale wcale tego nie chciała. Wyglądał jak człowiek, który ma cel i wie, jak go osiągnąć.

A najlepsze, że, jak wiedziała, wcale nie zrobił tego dla niej. Zrobił to dla siebie.

– Wyznaję, że z samolubstwa dokonałem jeszcze jednego, ostatniego zakupu. – Uśmiechnął się prawdziwie po hultajsku. – Na wpół zrujnowany dom na wsi. W prowincjonalnym Sussex.

– Ty kupiłeś dom Whittlecombe? To ty?

– To była jedyna ziemia na sprzedaż w parafii. – Poruszył się z tłumionym przekleństwem. – Czy już zaraz powiesz „tak"? Ta podłoga jest wściekle twarda. A ty jesteś zbyt daleko.

Serce jej podskoczyło do góry z radości.

– Nie pamiętam, żebym słyszała pytanie.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, o co pytać. Czy zostaniesz moją „żoną", czy moją „księżną", czy po prostu będziesz moja… wszystko brzmi niebezpiecznie. Nie chcę używać żadnych nazw czy tytułów, bo znowu zaczniesz się kłócić. Nawet mnie nie obchodzi, czy będziesz nosić ten cholerny pierścionek. – Rzucił aksamitną torebeczkę na podłogę.

– Ja będę nosić pierścionek – zaoferowała Charlotte.

Nawet go nie dotkniesz, posłała jej ostrzegawcze spojrzenie Pauline.

Griff wyciągnął dłoń.

– Pauline, proszę cię, błagam cię, żebyś wzięła moją rękę. Po prostu weź moją rękę i przysięgnij przed Bogiem, że nigdy jej nie wypuścisz. Ja przysięgnę to samo. Czy możemy to zorganizować w niedalekiej przyszłości? W kościele? – Po chwili dodał cichym głosem: – Proszę.

Włożyła swoją dłoń w jego. Jego palce zacisnęły się wokół jej ręki tak serdecznie, jakby obejmował ją całą, i tak mocno i stanowczo, jakby składał

przysięgę. Wiedziała w głębi serca, że kościelne przysięgi będą jedynie formalnością.

To była ta chwila. Potem świat stał się lepszym miejscem.

Podniósł jej dłoń do ust i pocałował.

– Powiedz mi, że to znaczy „tak”.

– Tak. Tak, na wszystkie pytania. Tak, na każde. I będę zaszczycona, nosząc twój pierścień.

Z wyjątkiem Charlotte, która mruknęła: „A niech to”, wszyscy wznieśli okrzyk radości.

Parę godzin później, kiedy zjedzono wszystkie herbatniczki, w czajniczku na herbatę zostały jedynie fusy, a Daniela poszła spać na górę, stali oboje po przeciwnych stronach sklepowego kontuaru, trzymając się za ręce i wymieniając czułe spojrzenia.

– Coś właśnie zauważyłam – odezwała się Pauline. – Zawsze wydaje mi się, że kocham cię najbardziej, kiedy otaczają nas książki.

– No, cóż. Muszę porozmawiać z architektem, który zaprojektuje nasz dom. Polecę mu, żeby zainstalował w naszej sypialni regały na książki od podłogi do sufitu na każdej ścianie.

Uśmiechnęła się.

– Wystarczy, że jesteś. Muszę wyznać, że straciłam nadzieję. Przeczytałam w gazecie, że pojechałeś do domu, do Cumberland.

– Pojechałem. Razem z matką. Ustaliłem pewne sprawy z zarządcą ziemi, tak żeby móc nie wracać tam przez jakiś czas. I postawiliśmy pomniczek dla Mary Annabel na dziedzińcu rodzinnego kościoła.

– Och, Griff. Tak się cieszę, że mogliście to razem zrobić.

– Ja też. – Odchrząknął i rozejrzał się po sklepie. – Jak zdołałaś to zrobić bez pieniędzy?

– Zaczęłam, oczywiście, od książek, które przysłałeś. Panie pomogły mi zebrać ich więcej. A co do wynajmu sklepu, to wzięłam pożyczkę od Errola Brighta.

W jego oczach błysnęła zazdrość.

– Errol Bright udzielił ci pożyczki?

Skinęła głową.

– Po przyjacielsku. I tyle. Już spłaciłam prawie połowę.

– Założę się, że tak. – Pocałował jej rękę i pogłaskał ją czule. – Wiesz, musimy zawrzeć kompromis. Spindle Cove jest teraz naszym domem, ale mam inne posiadłości, których nie można zostawić samych sobie. Jak również obowiązki w

Londynie. Zarządzam obecnie kilkoma organizacjami dobroczynnymi. Sądzę też, że w ciągu mniej więcej roku dowiemy się, kto należy do naszych prawdziwych przyjaciół. Jeśli zaproszą nas na bal czy przyjęcie, to chciałbym pójść i pochwalić się swoją piękną żoną.

– Ja też bym tego chciała.

Zmarszczył brwi, studiując przerwę między jej drugim a trzecim palcem.

– Nie mogę obiecać ci dzieci. Wiesz o tym. Nie pragnę niczego bardziej, niż mieć z tobą rodzinę, ale… nie ma gwarancji.

– Wiem.

– Wszystko, co mogę ci ofiarować z całą pewnością, to oddany mąż i zbzikowana teściowa. Czy to dosyć?

– Więcej niż dosyć.

– No i nie możemy zapomnieć o Danieli. Ona także będzie z nami. Wiem, że zmiana jest dla niej czymś trudnym, ale dokładnie to przemyślałem. W każdej z naszych rezydencji urządzimy jej sypialnię, która będzie wyglądać dokładnie tak samo. Więc zawsze będzie się czuła jak w domu. I możemy jej nająć towarzyszkę, jeśli zechcesz. Doskonałą. Wiesz, że zatrudniam tylko najlepsze.

Tak mocno ściskało ją w gardle, że ledwie wydusiła:

– Dziękuję.

– Nie dziękuj mi. Wiesz, że dorastałem jako jedynak. Ucieszę się, mając siostrę. Jeśli się nią podzielisz.

Nie mógł powiedzieć niczego – niczego – co miałoby większe znaczenie. Był najlepszym z ludzi. Nie powinna była w niego wątpić ani przez chwilę. Już nigdy więcej tego nie zrobi.

– Przypuszczam, że moja matka i Daniela będą jak dwie papużki nierozłączki – powiedział.

Pauline uśmiechnęła się przez łzy, wyobrażając to sobie.

– Mój Boże. Jak pomyślę choćby o tych wyprawach do sklepu…

– Sklepy nieważne. Pomyśl o robótkach na drutach.

Oboje parsknęli śmiechem.

Dotknęła ręką czoła.

– To za wiele. Jesteś zbyt doskonały. Szybko powiedz coś okropnego, żebym wiedziała, że to nie sen.

– Doskonale. Mam pełzającą wysypkę skórną i pohukuję jak sowa w oborze, kiedy osiągam orgazm.

Roześmiała się.

– Ale wiem z pierwszej ręki, że to nieprawda.

– To była nieprawda parę miesięcy temu. Myślę, że powinnaś mnie rozebrać do naga i sprawdzić, czy nic się nie zmieniło.

– Hm, przychodzi mi do głowy pewien cichy strych.

Pochylił się nad kontuarem i pocałował ją. Ciepło. Leniwie. To był może najlepszy pocałunek, jaki od niego dostała.

To był pocałunek codzienny.

– Kocham cię – powiedział.

– Naprawdę wszystko będzie dobrze, czyż nie? – odparła.

Usta mu zadrżały. Ścisnął jej dłoń.

– Czasami wszystko będzie dobrze – zgodził się. – Ale na ogół będzie cudownie.

I było.

# *Epilog*

***Pięć lat później***

*W*ybrałeś już dla niej imię? – Victor Bramwell, lord Rycliff, odchylił się wygodnie w fotelu w Pod Bykiem i Pączkiem Róży, układając ręce na piersi.

– Dla niej? – zawtórował mu Colin. – Skąd wiesz, że to będzie „ona”?

– Na pewno dziewczynka – oznajmił Bram. – Susanna nazywa to efektem Spindle Cove. Jest moja Victoria. Thorne ma małą Bryony. Susanna dostała nawet list od Violet Winterbottom, bliźniaczki. Nam wszystkim rodzą się najpierw córki. – Przechylił głowę, wskazując na Griffa. – Oczywiście, z wyjątkiem Halforda.

Griff nie sprostował tego, mówiąc o Mary Annabel – to nie była odpowiednia pora – ale w zamyśleniu upił piwa ku jej pamięci.

– Nie zakładałbym się o to – powiedział Colin. – Nic z tego nie wyszło tak, jakby nakazywał obyczaj czy rozum. Minerva nie miała rodzić przed upływem miesiąca. Inaczej nie zwalalibyśmy się Halfordowi na głowę z wizytą.

– Równie dobrze się stało, że jesteście tutaj, a nie w Londynie – powiedział Griff. – W Spindle Cove ma dookoła siebie samych przyjaciół. A w domu z pewnością jest dużo miejsca.

Przed paru laty zrównali z ziemią stary, rozpadający się dom Whittlecombe, zastępując go domem dość świetnym dla księcia i księżnej, ale nie zbyt przytłaczającym dla Danieli czy rażącym oczy sąsiadów ostentacyjnym bogactwem. On i Pauline uważali go za swój dom „miodowego miesiąca” obok większych domów w Cumberland i Londynie. To była jedyna rezydencja, która należała wyłącznie do nich – nie mieszkały w nim przedtem pokolenia książąt.

I przez większość roku to był po prostu ich dom.

Ale chociaż mógł się pochwalić dwudziestoma pokojami i był niezwykle nowoczesny, jego ściany nie należały do dźwiękoszczelnych – ani też nie był na tyle duży, żeby pomieścić trzech zdenerwowanych arystokratów, podczas gdy kobieta na górze rodziła.

Susanna, wyczerpana asystowaniem położnej, zmuszona odpowiadać na ciągłe

pytania, jak się rozwija sytuacja, przegnała mężczyzn do wsi, do gospody. Obiecała ich zawiadomić, jak tylko będzie coś istotnego do przekazania.

Choć odwrót mógł się wydawać aktem tchórzostwa, mężczyźni przyjęli propozycję z wdzięcznością. Griff stawiał kolejkę za kolejką ale w przytulnej, znajomej tawernie i czas się dłużył, choć upływał w miarę przyjemnie. Jeśli mieliby tak siedzieć do nocy, Griff podejrzewał, że musieliby się przerzucić na coś mocniejszego. Brandy albo whisky.

– Będziesz miał dziewczynkę – powtórzył Bram. – Więc lepiej wymyśl jakieś imię.

– Minerva upiera się, żebym wybór imienia dla dziecka zostawił jej. – Colin opróżnił kufel. – Twierdzi, że ja z pewnością nazwałbym dziecko każdym, tylko nie tym właściwym imieniem. – Wydmuchnął powietrze i postukał palcami w blat stołu. – Ile godzin to potrwa? Tak długo czekaliśmy z Min, żeby powiększyć rodzinę, że moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. To tortura.

– Niech pan pomyśli, jak się czuje pańska żona. – Becky Willett podała im kolejne kufle. Fosbury nie stracił słabości do wygadanych barmanek.

– On myśli o swojej żonie – powiedział cicho Griff. – Dlatego nazywa to torturą.

Jeśli ktoś uważał pojękiwania Colina za przesadne, powinien żałować, że nie widział Griffa za pierwszym razem, kiedy Pauline wydawała dziecko na świat. Zadręczał wszystkich. Warczał na medyków, wrzeszczał na pokojówki, biegał wte i wewte po korytarzach. Musiał przybrać maskę pewności siebie, żeby nikt nie zauważył przerażenia, jakie zżerało go od środka. Gdyby coś jej się stało…

– Zaufaj mi – zwrócił się Bram do Colina. – Kiedy będzie po wszystkim, kiedy przekonasz się, że ona się dobrze miewa, a położna włoży ci w ramiona twoją czerwoną, pomarszczoną dziewczynkę, zapomnisz o tych wszystkich strachach.

Griff miał nadzieję, że tak będzie w wypadku jego starego przyjaciela. On sam nie przeżywał tego w taki sposób. Nie spał przez dwa tygodnie po tym, jak jego syn przyszedł na świat. Kręcił się przy kołysce, spacerował z dzieckiem na ręku po korytarzach.

W końcu Pauline znalazła go pewnego dnia wcześnie rano w bibliotece.

Zasnął w fotelu z małym Jonathanem wtulonym w zagłębienie jego łokcia. Obudziwszy się, zobaczył zjawisko w postaci swojej ślicznej żony – z rozpuszczonymi włosami, opromienionej słońcem. Była taka piękna, że można by ją wziąć za anioła.

Nie powiedziała ani słowa, tylko wyjęła mu dziecko z ramion, pocałowała Griffa w nieogolony od wielu dni policzek i uśmiechnęła się.

W tej chwili odzyskał spokój. Po raz pierwszy, odkąd dowiedział się, że Pauline

poczęła, przestał się martwić, co może pójść nie tak, a zaczął się cieszyć na to, co dobrego miało ich spotkać.

Minęło już cztery lata, a on nie wracał do przeszłości.

Był pewien, że ludzie z jego sfery przyglądają się jego życiu z mieszanymi uczuciami. Księżna prowadziła wypożyczalnię książek i pozostawała w najlepszej przyjaźni z wiejską sklepikarką. Ich dzieci chodziły często w workowatych, źle wydzierganych swetrach i bawiły się z dziećmi wiejskich gospodarzy i rybaków. Dla zrównoważenia działalności dobroczynnej na rzecz miejscowej szkoły i parafii św. Urszuli Griff organizował cotygodniowe spotkania przy grze w karty, o których krążyły legendy.

Prowadził zapewne niekonwencjonalne życie jak na księcia. Ale bezsprzecznie szczęśliwe.

– Cóż, czy to nie młody lord Westmore? – rozległ się tubalny głos Fosbury'ego z kuchni. – A z nim jej wysokość i mała lady Rose.

– Żadnych słodyczy, panie Fosbury. – To był głos Pauline. – Babcia dostatecznie ich psuje. Nie, Rose, nie ruszaj tego.

Griff uśmiechnął się do siebie. Tyle lat minęło, odkąd pracowała w tej tawernie, a jego żona – księżna – wciąż wchodzi do gospody tylnymi drzwiami.

A choć teraz była nieuczesana i ciągnęła za sobą dwójkę dzieci, jej widok zaparł mu dech w piersi. Tak było za każdym razem.

Colin skoczył na równe nogi.

– Co z nią?

– Z którą „nią"? – Pauline prowadziła Jonathana za rękę, a małą Rose trzymała na przeciwległym biodrze. – Masz na myśli swoją żonę czy córkę?

Bram walnął w stół, zachwycony sobą.

– Mówiłem, że będzie dziewczynka.

– Obie mają się dobrze – pośpiesznie dodała Pauline. – Są w doskonałym zdrowiu i zażywają dobrze zasłużonego wypoczynku.

– Ja… To jest… – Colin pobladł i opadł na krzesło, ponieważ kolana się pod nim ugięły. – Och, Boże.

Pauline podeszła do Griffa i kiwnęła głową w stronę oszołomionego Colina.

– To alkohol czy szok wywołany świeżym ojcostwem?

– Podejrzewam, że jedno i drugie. Daj mu chwilę, dojdzie do siebie.

Puściła rączkę Jonathana i przeniosła Rose na drugie ramię.

– Przypilnujesz ich, podczas gdy ja zajrzę do Sally? Spodziewam się nowej paczki książek do biblioteki.

– Oczywiście, ale spodziewam się nagrody za moje trudy.

Pocałowała go w policzek i wyszeptała zmysłowo:

– Później.

– Będę cię trzymał za słowo. – Chwycił Rose i podniósł ją do góry, szczypiąc lekko w zadarty nosek. – Spójrz tylko na siebie, kochana. Jesteś cała obsypana cukrem.

# *Od Autorki*

Wiersz, który cytuje Pauline, to *Kryształowa klatka* Williama Blake’a.

Foundling Hospital – przytułek dla dzieci naprawdę istniał w Londynie. Choć dzisiaj słowo „szpital” (hospital) odnosi się do zakładów, które zajmują się chorymi, w owym czasie oznaczało po prostu bezpieczne miejsce. Był to dom dla porzuconych dzieci samotnych matek. Odwiedziny w Foundling Hospital stanowiły modną formę działalności dobroczynnej zamożnych ludzi w owym czasie; jednakże te wizyty ograniczały się zazwyczaj do przyglądania się dzieciom w jadalni oraz, niekiedy, rozdawania im słodyczy.

Niektórych czytelników mogą interesować współczesne wyjaśnienia dotyczących pewnych przypadłości wspomnianych w powieści. Dlaczego całe rodzeństwo Griffa umarło w niemowlęctwie? Czy był to skutek jakiejś dziedzicznej choroby? Jeśli tak, to czy Griff i Pauline nie ryzykowali podobnych tragedii w przyszłości?

Choć tło historyczne nie wymaga wprowadzania do opowieści wyjaśnień medycznych, pisząc, biorę je pod uwagę.

Rodzice Griffa mieli problem z niezgodnością grup krwi. To dotyczy kobiet, które mają czynnik Rh ujemny i poczynają dziecko z partnerami, którzy mają ten czynnik dodatni. Pierwsze dziecko (w tym wypadku Griff) może się urodzić zupełnie zdrowe. Jednak przy następnych ciążach organizm matki jest już „uczulony” i traktuje Rh dodatni płodu jako zagrożenie. Takie ciąże kończą się często poronieniem, urodzeniem martwego dziecka albo dziecka zbyt słabego czy chorego na żółtaczkę, żeby przeżyć.

Na szczęście współczesna medycyna jest świadoma tego problemu. Lekarze rutynowo sprawdzają czynnik Rh i niezgodności można uniknąć. A co do naszej historii – czytelnicy mogą mieć pewność, że skoro Pauline ma czynnik Rh+ (jak przeważająca większość kobiet), nie ma powodu, dla którego ona i Griff nie mogliby wychować tylu szczęśliwych i zdrowych dzieci, ile by zapragnęli.

# *Podziękowania*

*Jak zwykle, jestem głęboko zobowiązana Tessie Woodward, Helen Breitwieser, Jessie Edwards, Pam Spengler-Jaffee i całemu zespołowi wydawnictwa Avon/ Harper Collins.*

*Courtney, Carey, Leigh, Bren, Laura, Kara, Susan oraz The Unnameable Loop – kocham Was i jestem wdzięczna z całego serca. Bez Waszej przyjaźni i wsparcia nie napisałabym nawet jednej książki. Byłabym głupia, gdybym w ogóle próbowała.*

*Na koniec chciałabym wyrazić bezbrzeżną wdzięczność dla mojego kochającego męża, rodziców i rodziny, którzy tak bardzo (i cudownie) utrudniają mi wcielanie się w postaci, które mają cięższe życie ode mnie.*

# *Przypisy*

[1] William Blake *Kryształowa klatka*, przeł Zygmunt Kubiak (przyp. tłum.).

[2] Trylobity – gromada wymarłych morskich stawonogów o owalnym i spłaszczonym grzbietobrzusznie ciele, z wyraźnie wyróżnioną częścią głowową, tułowiową i ogonową. Od strony grzbietu przykryte kalcytowym pancerzem (przyp. tłum.).